

 HARLEQUIN[®]
TM

ROMANS
HISTORYCZNY



DIANE
GASTON

Nowy początek

Diane Gaston

Nowy początek

*Tłumaczenie:
Barbara Ert-Eberdt*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ramsgate, Kent - kwiecień 1821 roku

- Pali się! Niech pani wstaje! - krzyczała pokojówka.

Lady Daphne Faville wyskoczyła z łóżka. Dym drażnił nozdrza i drapał w oczy. Z korytarza gospody dochodziły krzyki, ktoś walił w drzwi pokoju.

- Pali się! Wychodzić! - wołał męski głos.

Daphne panicznie bała się ognia. Wsunęła stopy w pantofle, a jej pokojówka w pośpiechu upychała rzeczy do walizki.

- Zostaw to, Monette. Wychodzimy! - Złapała sakiewkę z pieniędzmi, narzuciła pelerynę i położyła dłoń na klamce, ale dziewczyna zastąpiła wejście.

- Nie bój się, na korytarzu jest bezpiecznie - zapewniła Daphne i otworzyła drzwi.

Myliła się. Korytarz wypełniał dym, języki ognia lizały ściany. Lada chwila ogień mógł zagrozić im drogę. Daphne stanęły w oczach sceny z innego pożaru. A więc taka śmierć jest mi pisana? Mam zginąć w ogniu? - zadała sobie pytanie, ale zaraz się otrząsnęła.

- Uważaj, żeby nie zajęła ci się spódnica - krzyknęła do Monette i ruszyły na oślep korytarzem.

- Szybciej, Monette.

Daphne przeklinała w duchu chwilę, w której od oberżysty zażądała pokoiów najbardziej oddalonych od schodów.

- Ktoś jest w głębi korytarza - usłyszały męski głos.

Z dymu wyłonił się mężczyzna i zmierzał ku nim. Objął je i skierował się ku schodom. Z mijanych pokoiów uciekali inni goście, na ogół w nocnej bieliźnie. Na podeście klatki schodowej mężczyzna dał znak Monette, by weszła na schody. Posłuchała i ruszyła w dół, ale Daphne nie potrafiła się na to zdobyć. Szalejący na dole ogień przerażał ją.

- Przenieś panią - zaoferował nieznajomy i nie czekając na odpowiedź, zniósł ją z trzech zakrętów schodów. Wtuliła twarz w jego pierś, żeby nie widzieć płomieni. Uniosła głowę dopiero wtedy, gdy poczuła powiew chłodnego powietrza. Byli na zewnątrz gospody. Mężczyzna postawił Daphne na ziemi i uściskał ją z radości. Nie zdążyła mu jednak podziękować, bowiem już biegł z powrotem do płonącego budynku.

- Niech pani stąd odejdzie, milady. - Koło Daphne stanął jej lokaj, a następnie poprowadził ją ku grupie ludzi, przerażonych i w niekompletnych ubraniach. - Ja wracam podawać wiadra.

- Dobrze, Carter. Potrzebna jest każda para rąk.

Carter dołączył do łańcucha ludzi podających sobie wiadra z wodą. Inni wyprowadzali konie ze stajni, jeszcze inni wytaczali z wozowni powozy.

Daphne nie odrywała wzroku od drzwi gospody. Miała nadzieję, że ujrzy w nich swojego wybawcę. Nie zdążyła przyjrzeć się nawet jego twarzy, lecz wiedziała, że

go pozna. Był wysoki, ciemnowłosy i postawny, miał na sobie czarny żakiet i irchowe spodnie dżentelmena. W końcu ukazał się. Niósł pod pachą dwoje dzieci, a za nim biegła lamentująca ze strachu matka.

Daphne zrobiła krok w jego stronę, przecież do tej pory nie zdążyła mu podziękować, ale gdy do niego podeszła, zawrócił z powrotem do budynku.

- Boże, spraw, żeby wyszedł - szepnęła drżącymi ustami Daphne.

- Lady Faville? - zagadnął ją jakiś starszy dżentelmen.

Daphne nie chciała wdawać się z nikim w żadne rozmowy, interesowało ją tylko, czy w drzwiach gospody ukaże się ponownie jej wybawca.

- Pamięta mnie pani? - nie dawał za wygraną.

- Przepraszam, ale nie...

- Lord Sanvers. Znamy się z Maskarady.

Daphne wolałaby zapomnieć o istnieniu tego miejsca. Był to londyński dom gry, do którego można było przychodzić w maskach, jeśli chciało się zachować anonimowość. Niewiele brakowało, a spaliłaby budynek, w którym się mieścił.

- Dawno tam nie byłam.

Jeśli ją pamiętał z Maskarady, to musiał wiedzieć, jak każdy z ówczesnych bywalców, że przychodziła tam, żeby spotykać pewnego mężczyznę, którego miłości, jak się okazało, nie miała szansy zdobyć.

Po pożarze uciekła na kontynent. Schronienie i spokój ducha odnalazła ostatecznie w szwajcarskim opactwie w Fahr. Dopiero tam potrafiła skonfrontować się ze swoimi słabościami. Ale czy się zmieniła na tyle, by być gotowa na takie poświęcenie, na jakie zdobywał się ów śmiałek, który ją uratował?

Minuty przeciągały się w nieskończoność, w końcu jednak znowu wyłonił się z ogarniętego pożarem budynku, prowadząc dwie kolejne osoby. Ogień szalał i ryczał jak dzika bestia. Ze środka wciąż dobiegały krzyki. Czy on kolejny raz zaryzykuje życie?

Zawrócił. Jego sylwetka była widoczna na tle wejścia, kiedy z sufitu runęła płonąca belka. Budynek zatrzęsął się jakby w przedśmiertnych konwulsjach. Z dachu posypała się więźba. Mężczyzna uniósł dłonie do oczu. Daphne oniemiała z przerażenia, widząc, jak pada pod ciężarem wielkiej głowni.

- Nie! - ruszyła ku niemu z krzykiem.

Inni byli szybsi. Kilku mężczyzn wywlekło go za ubranie na środek podwórza. W tym momencie dach budynku zawalił się.

Daphne uklękła koło leżącego, ludzie dogaszali tłące się na nim ubranie.

- Żyje? - zapytała.

Przewrócono go na plecy. Ktoś przyłożył mu palce do szyi, by zbadać puls.

- Żyje. Jak na razie.

- Znam go! - zawyła.

Miał twarz umazaną sadzą, ale poznała go. Nazywał się Hugh Westleigh. Był bratem młodego hrabiego Westleigh. A także bratem kobiety, którą tak bardzo skrzywdziła w Maskaradzie.

Daphne podejrzewała, że nie byłby zachwycony spotkaniem z nią po tym wszystkim, co zrobiła. W tej chwili jednak był nieprzytomny.

- Trzeba zanieść go do lekarza - powiedział ktoś, podniósł Westleigha i zarzucił

sobie na plecy.

Lekarz przyjmował w pobliskim sklepie. Daphne również tam poszła.

- Mamy kogoś w ciężkim stanie, panie doktorze - powiedział mężczyzna, który przyniósł Westleigha.

Lekarz nakazał posadzić nieprzytomnego na krześle.

- Czy on przeżyje? - zapytała Daphne.

- Nie wiem, proszę pani - odrzekł lekarz.

- Otrzymał silne uderzenie w głowę. Sama to widziałam.

Lekarz obejrzał głowę Westleigha.

- Rzeczywiście, uderzenie musiało być potężne - przyznał doktor. - Niech się pan obudzi - zawołał do rannego, ale odpowiedzią było tylko jęknienie. - Wiadomo, kto to jest?

- Nazywa się Westleigh - powiedziała Daphne. - Jest młodszym bratem hrabiego.

- To prawda? - zapytał osiłek, który przyniósł Hugh. - Kto by się spodziewał: paniczek, a taki bohater.

- Panie Westleigh! - zawołał ponownie lekarz. - Proszę się obudzić!

Ranny znowu jęknął.

- Proszę otworzyć oczy!

- Nie mogę... - Chciał wykonać polecenie, ale skrzywił się z bólu i uniósł dłonie do oczu.

- Niech pan nie dotyka! - Lekarz chwycił dłonie Westleigha.

- Zabandażuję mu oczy. Opatrunek musi pozostać na miejscu przez dwa tygodnie, inaczej grozi mu utrata wzroku - powiedział do Daphne. - Zresztą, możliwe, że i tak jest już za późno. Bardziej martwi mnie jego głowa. Doznał wstrząsu. Wymaga troskliwej opieki.

- Jakiego rodzaju opieki?

- Potrzebuje odpoczynku i spokoju. Żadnych wzruszeń przynajmniej przez tydzień. - Zajrzał Westleighowi do ust i nosa. - Nie ma krwi. To dobry objaw.

- Moja głowa - jęknął Westleigh.

Lekarz pospiesznie dokończył zakładanie opatrunku i skinieniem głowy dał znać, żeby wyszli. Czekał kolejny ranny.

- Muszę się zająć innymi. Proszę dopilnować, by miał stale zabandażowane oczy i spokój. To bardzo ważne! - przypomniał.

Daphne sięgnęła do sakiewki po kilka monet i zostawiła je na stole. Tymczasem mężczyzna, który przyniósł rannego Westleigha, podniósł go z krzesła.

- Idziemy, proszę pana. A pani niech idzie za nami - rzucił do Daphne. Najwidoczniej myślał, że podróżowali razem.

Na dworze już świtało. Czekał na nich lokaj Daphne, Carter. Nieznajomy skorzystał z okazji - pchnął Westleigha lekko w jego ramiona i odszedł bez pożegnania.

- Milady, stangret znalazł stajnię dla koni. Czekają razem z Monette przy naszym powozie niedaleko gospody - wyjaśnił Carter i zaraz spytał: - A co ja mam z nim zrobić?

- Zanieś go do naszego powozu - zdecydowała szybko Daphne. - Potem pomyślimy, komu go przekazać.

Na pogorzelnisku wciąż panowała krzątanina. Dogaszano resztki ognia i wynoszo-

no ocalały dobytek. Kufry Daphne i jej pokojówki zostały na dachu powozu. Spaliły się jedynie te walizki, które wniesiono do pokojów.

Carter i stangret ułożyli Westleigha na siedzeniu w powozie.

- Weźmiemy go ze sobą? - zapytała Monette.

- Nie - odpowiedziała Daphne. - Nie życzyłby sobie tego. Musiał podróżować w jakimś towarzystwie. Dowiemy się z kim. Carter, wypytaj ludzi - poprosiła lokaja. - To Hugh Westleigh.

Westleigh poruszył się niespokojnie i sięgnął do bandaża zasłaniającego oczy.

- Proszę nie dotykać opatrunku, panie Westleigh. - Daphne podłożyła rannemu pod głowę poduszkę i okryła go pledem.

- Pić - jęknął.

- Monette, przynieś piwo i coś pożywne do jedzenia - nakazała pokojówce, przeklinając się w duchu, że wcześniej o tym nie pomyślała.

Daphne sięgnęła do sakiewki, podała pokojówce i lokajowi kilka monet.

- Kupcie też jakieś jedzenie sobie i nie zapomnijcie o stangrecie.

Monette wróciła po kwadransie z pobliskiej piwiarni z jedzeniem i pić dla Westleigha i stangreta.

- Mieli wolny pokój, w którym mogłaby się pani przebrać - oznajmiła. - Zamówiłam też posiłek.

Daphne była wdzięczna pokojówce, że o tym pomyślała. Nie uśmiechało się jej jedzenie w powozie na ulicy, gdzie powietrze zatruwał ciężki odór spalenizny.

- Popilnuję tego dżentelmena - zaofiarował się stangret. - I tak muszę zostać przy powozie.

Monette tymczasem zaprowadziła Daphne do piwiarni odległej o dwie przecznice od miejsca postoju powozu.

Lokal był zatłoczony gośćmi spalonego zajazdu, wywodzącymi się z różnych warstw społecznych. Daphne zemdlilo od zapachu potu, dymu i piwa. Damy z jej sfery zazwyczaj w takich spelunkach nie bywały. Zakryła dłonią usta, żeby nie zwymiotować. Naraz przypomniała sobie słowa opatki z Fahr: musisz nauczyć się znajdować w sercu współczucie dla wszystkich ludzi, wszyscy bowiem jesteśmy dziećmi Boga.

Kochana opatka, pomyślała. Wielka sympatia, jaką ją obdarzyła już na początku znajomości, była wzruszająca. Oczywiście Daphne wypełniły się łzami. Śmierć starej zakonnicy była dla niej silnym ciosem boleśniejszym nawet niż odejście matki i męża. Po pogrzebie zakonnicy Daphne opuściła Fahr. Wyjechała, lecz słowa staruszki zachowała w sercu na zawsze. Niekiedy odnosiła wrażenie, że stoi ona obok niej i szepce do ucha swoje nauki.

Spojrzała na stłoczonych w piwiarni ludzi innymi oczami. Zasługiwali na współczucie. Brudni, nieubrani, niektórzy w bandażach, mieli wypisane na twarzach zmęczenie i smutek. Daphne dziękowała losowi, że z nią obszedł się łaskawiej.

W drodze do zarezerwowanego pokoju natknęła się znowu na lorda Sanversa, który zapamiętał ją z Maskarady. Na jej widok wstał od stołu, przy którym siedział sam.

- Łaskawa pani, martwiłem się o panią. - Siwe włosy miał starannie uczesane,

ewidentnie zdążył się już przebrać. W porównaniu z innymi w piwiarni wyglądał nie-nagannie.

- Nic mi nie jest, proszę pana.

- Czy mógłbym pani pomóc? Jestem do dyspozycji.

Oczy Daphne zalsniły, a w jej głowie pojawiła się doskonała myśl: Sanvers mógłby zaopiekować się Westleighem! Czy to nie byłoby najlepsze rozwiązanie dla wszystkich?

Daphne spojrzała na stół, który lord Sanvers zajmował zupełnie sam, podczas gdy wielu innych nie miało nawet krzesła, żeby usiąść. Czy proponowałby jej pomoc, gdyby nie była piękną, majątną wdową po wicehrabim?

- Moi służący zajęli się już wszystkim, ale dziękuję. - Dygnęła i podążyła za Monette.

W pokoju opadła z ulgą na krzesło, ale zaraz nawiedziło ją poczucie winy. W tej zatłoczonej piwiarni miała cały pokój dla siebie. Czy oznacza to, że jest równie samolubna jak lord Sanvers?

Zdjęła nocną bieliznę i włożyła suknię przygotowaną przez Monette i szybko zjadły posiłek. Płacąc karczmarzowi, Daphne zostawiła dodatkowe pieniądze z prośbą, by udostępnił zwalniany pokój i trochę jedzenia najbardziej potrzebującym, lecz nie czekała, żeby się przekonać, czy spełnił jej prośbę.

Przy powozie, oprócz stangreta, zastały również Cartera.

- Rozmawiałem z właścicielem spalonej gospody - powiedział. - Twierdzi, że pan Westleigh podróżował sam. Nie miał nawet osobistego służącego.

- Jak on się ma? - zapytała Daphne stangreta.

- Śpi. Napił się piwa i zasnął.

- Musimy znaleźć kogoś, kto się nim zaopiekuje.

- To niemożliwe. Ramsgate jest pełne rannych i bez dachu nad głową. Trudno tutaj będzie znaleźć dla niego jakiś pokój. Nam zresztą też. Powinniśmy wyjechać jeszcze dzisiaj, milady. Jeśli niebawem wyruszymy, znajdziemy jakieś lokum po drodze, a pojutrze dotarlibyśmy do Faville.

Podróż z Ramsgate do majątku w Vadley koło Basingstoke w normalnych warunkach powinna zająć trzy dni. Mąż pozostawił tam Daphne wiejski dwór, żeby nie musiała przeprowadzać się do wdowiej rezydencji w Faville. Jednak Daphne nie zdążyła zadomowić się w Vadley, mieszkała tam bowiem tylko kilka tygodni po zakończeniu żałoby. Potem wyjechała do Londynu i na kontynent. Dopiero teraz planowała osiąść tam na stałe. Nie była tylko pewna, czy w ten sposób odpokutuje za próżność i bezmyślność, jakie cechowały ją w przeszłości.

- Nie możemy wziąć go ze sobą - oznajmiła. - Zresztą lekarz stwierdził, że podróż byłaby dla niego zbyt wyczerpująca.

- Nie mamy wyboru, milady - powiedział cicho Carter.

- Ruszajmy - wtrącił się stangret. - Może po drodze znajdziemy dla niego odpowiednią opiekę. Tutaj nie ma na to szansy.

- Nie zostawiamy go - odezwała się proszącym głosem Monette.

Daphne wciąż nie była przekonana o tym, jak powinna postąpić. Czy dlatego, że wiedziała, że Westleigh nie chciałby być doglądany przez kobietę, która wyrzuciła tyle zła jego siostrze? A może kierowała się wyłącznie myślą o własnej wygodzie?

- Dobrze - podjęła w końcu decyzję. - Ale pojedźmy w kierunku Londynu, nie do Vadley. Jestem pewna, że jego rodzina jest w mieście. Kiedy znajdziemy miejsce, w którym będziemy mogli go zostawić, powiadomimy ich, żeby po niego przyjechali. A jeśli nie uda nam się zostawić go pod niczyją opieką, zawieziemy go do samego Londynu. Nie nadłożymy więcej niż dwa dni drogi.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a w żadnym zajeździe ani w żadnej gospodzie nikt nie chciał podjąć się opieki nad rannym. Co gorsza, stało się jasne, że Westleigh nie wytrzyma kolejnego dnia podróży do Londynu. Droga była wyboista. Powóz trząsł się, Hugh krzyczał z bólu. Gorączka się nasilała.

Dojechali do Thurnfield, małej wioski przy gościńcu do Maidstone. W gospodzie brakowało miejsc, ale oberżysta wiedział o niewielkim domu do wynajęcia w bliskiej okolicy. Daphne dopełniła formalności, ale zanim wyruszyli do wynajętego domu, wzięła na rozmowę Cartera, Monette i stangreta.

- Powiedziałam tutejszym, że nazywam się Asher. Wydaje mi się, że pan Westleigh nie chciałby, żeby opiekowała się nim lady Faville, bowiem jego rodzina ma powód, żeby mnie nienawidzić. Asher to moje nazwisko panińskie...

Daphne wiedziała, że postępuje niezgodnie z naukami opatki klasztoru w Fahr, tym bardziej że nawet niewinne kłamstwo pociągało za sobą kolejne. Nie miała jednak wyjścia.

- Postarajcie się zapamiętać, że od dzisiaj nazywam się pani Asher, i nie zwracajcie się do mnie „milady”.

Służący pokiwali głowami na znak, że rozumieją polecenie, a Daphne nawiedziły wyrzuty sumienia, że nakłania ich do nieuczciwości.

- Jak sobie pani życzy, milady - powiedział Carter. - To znaczy, proszę pani.

- No to ruszajmy.

Podjechali pod otynkowany na biało domek z dobrze utrzymanym żywopłotem i niewielką stajnią dla koni. Na progu stali gospodyni i dozorca.

- Nazywam się Pitts, a oto moja żona. - Wskazał kobietę stojącą obok. - Do usług szanownej pani.

- Dzień dobry - przywitała się Daphne i przedstawiła swoich służących. - Mamy rannego. Trzeba go jak najszybciej zanieść do sypialni.

- Proszę za mną. - Gospodyni zaprosiła gestem do środka. - Niech pani wybierze pokój dla tego dżentelmena.

Dom był urządzony skromnie, ale w porównaniu z opactwem w Fahr wydał się Daphne wręcz luksusowy. Sprawiał przyjemne wrażenie. Nie miało to jednak znaczenia, bowiem zamierzała zatrzymać się tutaj tylko dwa dni, aż nie przyjedzie ktoś z rodziny Westleighów.

Wybrała dla Hugh najładniejszą sypialnię, narożną, z oknami na dwie strony, pełną światła i świeżego powietrza.

- Czy łóżka są pościelone? - zapytała gospodynię.

- A jakże - odpowiedziała pani Pitts. - Przygotowaliśmy pokoje, gdy tylko dostaliśmy wiadomość, że będziemy mieć gości.

Tak zrobiłaby każda dobra gospodyni, pomyślała Daphne. Pamiętała jednak, że nawet służący lubią być chwaleni.

- To ładnie z pani strony. - Uśmiechnęła się do kobiety. - Przynieście tutaj pana Westleigha - zwróciła się do dozorczy i Cartera, którzy wnieśli na górę jego kufer.

- Zechce pani obejrzeć resztę domu? - zapytała gospodyni.

- Później. Najpierw ranny.

- W takim razie dopilnuję przygotowania posiłku.

Gospodyni się oddaliła. Wkrótce Westleigh leżał już w łóżku.

- Gdzie jestem? - zaniepokoił się. - Dokąd mnie przywieźliście?

Daphne dotknęła jego ręki.

- Jest pan w domu przy gościńcu do Maidstone - powiedziała kojącym głosem.

- Ale ja nie jechałem do Maidstone, lecz do Londynu - próbował się podnieść.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jest pan zbyt słaby, by jechać do Londynu. - Tłumaczyła mu to za każdym razem, kiedy budził się w powozie i pytał, dokąd jest wiezony. - Odniósł pan poważne obrażenia podczas pożaru. Musi pan odpocząć i nabrać sił. Będziemy się panem opiekować do czasu, aż poczuje się pan lepiej. Wtedy pojedzie pan do Londynu.

Uspokoił się.

- Niech pani wyjdzie, mil... pani Asher. Ja rozbioreę pana Westleigha - wtrącił się Carter.

- A pan niech idzie po wodę, mydło i ręczniki - powiedziała Daphne do dozorczy. - Carter umyje rannego. Na pewno lepiej się poczuje czysty i przebrany w świeżą bieliznę. Proszę tylko ostrożnie z myciem twarzy.

- Woda, mydło i ręczniki są w pokoju. - Dozorca wskazał komodę, na której stały dzban z wodą i miska.

- Dam sobie radę, proszę pani - zapewnił Carter. - Może nas pani zostawić.

Daphne zdjęła dłoń z ramienia Westleigha, lecz on chwycił ją, nie pozwalając jej odejść.

- Niech mnie pani nie zostawia samego - jęknął.

Zrobiło się jej przykro. Nie wiedziała, co powinna powiedzieć; pogłaskała go więc tylko po wystających spod bandaża włosach.

ROZDZIAŁ DRUGI

Uciekał. Smok gonił go, zionąc ogniem. Mające przed oczami Hugh wyjście oddalało się, chociaż wyciągał z całych sił nogi. Naraz płomień otoczył go, a smok wybuchnął śmiechem, przypominającym ryk...

Nagle obudził się i usiadł. Otaczała go ciemność. Uniósł dłonie do oczu.

- Nic nie widzę! Dlaczego nic nie widzę?

Pomacał palcami bandaż i wtedy sobie przypomniał. Pożar mu się nie przyśnił. Zdarzył się na jawie. Ale czy ogień wypalił mi oczy? Czy będę niewidomy? - zadawał sobie pytania, czując narastające przerażenie.

- Zdejmijcie te bandaż! - krzyknął i chwycił dłonią kawałek materiału.

Zaraz usłyszał szelest sukni i wyczuł delikatny aromat róż. Chłodne dłonie spoczęły na jego dłoniach.

- Jest pan ranny - zabrzmiał kobiecy głos. - Bandaż musi pozostać na miejscu.

- Kim pani jest? - przełknął z wysiłkiem. Miał poparzone gardło.

- Jestem... pani Asher. Wyniósł mnie pan z pożaru...

Pamiętał, że niósł kobietę w dół płonącymi schodami.

- Gdzie jestem? - wychrypiał.

- Jest pan u mnie. W Thurnfield.

Znał tę nazwę. Przejeżdżał przez tę wioskę wielokrotnie w drodze do Londynu.

- Nie może pan podróżować, więc zatrzymaliśmy pana tutaj - ciągnęła.

Nie zrozumiał.

- Byłem w Ramsgate. Jeśli nie mogę podróżować, to jak znalazłem się w Thurnfield?

- Nie mogliśmy znaleźć żadnego lokum w Ramsgate. Takiego, w którym ktoś mógłby się panem zająć.

Zastanawiał się, kim jest ta kobieta. Chciał ją zobaczyć, spojrzeć jej w oczy. Dowiedzieć się, skąd bierze się ten ton niepewności w jej głosie.

- Powiedziała pani „my”.

- Moja pokojówka, lokaj i ja.

A zatem musi być zamożna, pomyślał.

- Pokojówka, lokaj i kto jeszcze?

- Gospodyni i jej mąż. Nikt więcej.

Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ukrywa coś jeszcze.

- Gdzie jest pan Asher?

- Jestem wdową - odpowiedziała miękko i to wzbudziło w nim gwałtowne emocje.

Przypomniał sobie, że kobieta, którą wyniósł z pożaru, była lekka niczym piórko. Z ufnością wtulała głowę w jego pierś, bojąc się ognia. Ponownie przeklął bandaż zakrywający mu oczy.

- Nazywam się Westleigh. - Wyciągnął dłoń, która na moment zawisała w próżni, ale ona zaraz ją ujęła. Miała delikatne, wypielęgnowane ręce kobiety z wyższych sfer.

- Wiem, kim pan jest - powiedziała już pewniejszym głosem. - Dowiedzieliśmy się

w gospodzie, że nazywa się pan Hugh Westleigh. Mamy pana kufer. Był w wozowni razem z naszymi, więc ocalał.

Czy dowiedziała się również, że jest bratem hrabiego i dlatego go tu przywiozła? Gdyby tylko mógł spojrzeć jej w oczy, poznałby prawdę. Docisnął dłonie do oczu i poczuł ból.

Delikatna, chłodna ręka odciągnęła jego palce od twarzy tak jak wcześniej.

- Niech pan nie dotyka bandażu. Lekarz kazał poczekać dwa tygodnie. Tyle czasu trzeba, by się wygoiły.

- Więc się wygoją? Czy będę ślepy?

- Lekarz zaznaczył jedynie, że oczy muszą pozostać zabandażowane. Nie potrafił powiedzieć, co stanie się później - dodała.

- Niewielka pociecha - odparł i zaśmiał się z goryczą.

- Powtarzam tylko jego słowa - odrzekła miękko.

Zreflektował się. Nie powinien okazywać zniecierpliwienia kobiecie, która mu pomaga i z własnej woli opiekuje się nim. Zwrócił pulsującą bólem głowę w jej stronę.

- Przepraszam. Zazwyczaj nie użalam się nad sobą.

- Naturalnie. - Przybrała ton podobny do tego, jakim kiedyś zwracała się do niego guwernantka. - Chce się panu pić?

Pokiwał głową. Był bardzo spragniony. Usłyszał znowu szelest spódnic i odgłos przelewania płynu. Chwyciła jego dłoń i włożyła mu pomiędzy palce szklankę. Upił łyk. Była to woda aromatyzowana miętą. Dlaczego wykazywała tyle dbałości o obcego?

- Jeszcze trochę. - Opróżnił szklankę duszkiem i wystawił ją przed siebie. Odebrała ją, napełniła ponownie i znowu umieściła mu w dłoni.

- Czuję się upokorzony swoją bezradnością - wyznał po chwili wahania.

- Naturalnie, to krępujące - kolejny raz przemówiła głosem guwernantki. - Ale niech pan się tym nie martwi i odpoczywa. Nie tylko poparzył pan oczy, ale także otrzymał potężne uderzenie w głowę. Według lekarza potrzebuje pan spokoju, żeby odzyskać siły.

Opadł ciężko na poduszki.

- Zje pan śniadanie? - zapytała. - Czy może woli pan najpierw trochę się zdrzemnąć?

Na wzmiankę o jedzeniu poczuł głód.

- Zjadłbym śniadanie, jeśli pani taka miła.

- Zatem niebawem wrócę. - Znowu zaszleściła spódnicami i wyszła.

Ogarnęły go chłód i niepewność. Będąc dzieckiem, nigdy nie bał się ciemności. Właściwie nigdy niczego się nie bał, ale na określenie tego, co przeżywał teraz, przychodziło mu na myśl tylko jedno słowo - przerażający koszmar.

Ostrożnie dotknął bandaża, który owijał grubą warstwą całą głowę, i spróbował otworzyć powieki. Poczuł silny ból.

Czy jego przeznaczeniem jest ślepotą i uzależnienie od innych? Nie bał się ciemności, ale uzależnienie przerażało go.

Przesunął dłońmi wzdłuż ramion, nóg i tułowia. Zmieniono mu koszulę i spodnie. Ubranie, które miał na sobie, pachniało świeżością. Ktoś musiał go umyć i przebrać. Czyżby tajemnicza panna Asher?

Skupił myśli. Pamiętał, że wyprowadził z płonącej gospody wiele osób. Pamiętał, płomień wspinający się po ścianach, ból poparzenia, kiedy przedzierał się przez kolejne pomieszczenia, i huk walącego się stropu. Później ktoś zaniósł go do powozu, ale te wspomnienia nie układały się w żadną spójną całość.

Pulsujący ból rozsadzał czaszkę. Hugh ścisnął skronie, a potem wyprostował ramiona i nogi. Wyglądało na to, że nie doznał żadnych innych obrażeń, nie licząc drobnych poparzeń, których ból był jak najbardziej do zniesienia.

Ostrożnie opuścił stopy na podłogę i wstał. Wykonał kilka kroków w pobliżu łóżka, zanim zdecydował się od niego oddalić. Nie wiedział, co napotka na swej drodze. Wyciągnął przed siebie ramiona. Czy tak będzie się poruszał, jeśli oślepnie? – zadał sobie w duchu pytanie. Czy już zawsze będzie czuł przed sobą tę pustkę i będzie się bał kolejnego kroku?

Usłyszał, jak otwierają się drzwi.

– Panie Westleigh! – poznał głos pani Asher. – Nie wolno panu wstawać!

Usłyszał chrobotanie naczyń, a kiedy podeszła bliżej, poczuł znajomy już zapach róż. Chwyciła go pod ramię.

– Zaprowadzę pana do łóżka.

– Nie jestem inwalidą! – Gwałtownie wyrwał ramię.

– Nie, ale musi pan odpoczywać, żeby nim nie być w przyszłości.

To brzmiało rozsądnie, ale nie chciał się podporządkować.

– Przyniosła pani śniadanie?

– Tak. Wszystko jest na tacy, ale zje pan dopiero w łóżku.

– Czy w tym pokoju nie ma jakiegoś stołu z krzesłami?

– Jest.

– Więc usiądę przy stole i zjem jak człowiek.

– Dobrze... – Westchnęła. – Proszę się nie ruszać. – Usłyszał, jak przesuwa meble.

– Teraz niech mi pan da rękę. – Posadziła go na krzesło, postawiła przed nim tacę z jedzeniem i wsunęła łyżkę w dłoń.

– Owsianka i herbata.

Poczuł dojmujący głód.

– Pani Asher? – Odwrócił głowę w stronę, z której się jej spodziewał.

– Słucham. – Wyczuł zniecierpliwienie w jej głosie.

– Przepraszam. Wiem, że znowu nie zachowałem się, jak należy. Powiniennem okazać pani wdzięczność.

– Już dobrze, panie Westleigh – odpowiedziała łagodniejszym tonem. – Niech pan je. Musi pan się wzmocnić.

– Wiem. Jestem bardzo głodny. – Spróbował trafić łyżką do miseczki, ale mu się nie udało. – Cholera!

Bez słowa naprowadziła jego dłoń. Nabrał trochę owsianki na łyżkę, ale nie trafił nią do ust i umazał je owsianką. Otarła mu ubrudzone usta serwetką. – Pomogę panu – powiedziała i naprowadziła jego dłoń.

Owsianka smakowała mu jak nigdy wcześniej. Poczuł napad wilczego głodu, ale nie mógł zaakceptować, że musi być karmiony jak dziecko.

– Dam sobie radę. – Postanowił zapomnieć o etykiecie. Jedną ręką uniósł miseczkę ku twarzy, drugą nagarniał owsiankę łyżką bezpośrednio do ust. Kiedy opróżnił

misczkę, odstawił ją na stół i wymacał filiżankę z herbatą. Była gorąca.

- Jaką pije pan herbatę? - zapytała, nie czekając, aż sam spróbuje.

- Z mlekiem i odrobiną cukru.

Usłyszał, jak miesza łyżeczką w filiżance, a w następnej chwili, ledwie odgłos mieszania ucichł, naprowadziła jego dłoń ku filiżance. Uchwycił ją obiema dłońmi i ostrożnie zbliżył do ust. Powąchał, rozkoszując się jej aromatem, po czym zaczął pić drobnymi łyżkami, żeby nie uронić ani kropli.

- Dziękuję, pani Asher. Jest pani dla mnie bardzo dobra - powiedział, kiedy zaspokoił pragnienie.

- Powinien pan teraz odpocząć - odparła. - Lekarz mówił...

- Nie będę się sprzeciwiał... Spróbuję samodzielnie trafić do łóżka. - Wstał i powoli, po omacku trafił na posłanie, świadomy, że cały czas jest obserwowany.

- Czy mam napisać do pańskiej rodziny i poinformować ją, gdzie pan jest i co się panu przydarzyło? - zapytała.

Poinformować rodzinę? Tylko nie to! Po tej podróży zamierzał zrzucić jarzmo odpowiedzialności za los rodziny. Był na każde jej skinienie, od kiedy opuścił służbę w armii.

- Niech pani tego nie robi. Nie mogą o niczym wiedzieć - odrzekł podniesionym głosem.

Nic nie odpowiedziała. Zdał sobie sprawę, jak to zabrzmiało.

- Przepraszam - odezwał się po chwili łagodniejszym tonem. - W mojej rodzinie nikt się nie nadaje do pielęgnowania chorych. - Nie wiedzieli o jego powrocie, nie będą się więc o niego martwili. Nie napisał do nich, kiedy opuszczał Brukselę. Nie chciał, żeby wymyślili mu jakieś nowe zadanie. - Bardzo proszę, by znalazła pani jakieś inne rozwiązanie. Wiem, że jestem dla pani ciężarem, ale mogę zapłacić za opiekę. Nie chcę wracać do rodziny.

- Dobrze. Nie napiszę więc. - Usłyszał, że ustawia na tacy puste naczynia. - Teraz proszę odpocząć. Ktoś zajrzy do pana później. I jeszcze jedno...

- Słucham. - Spodziewał się reprimendy.

- Nie jest pan ciężarem.

Drzwi zamknęły się za nią. Znowu został sam, w ciemnościach. Obecność pani Asher dodawała mu pewności. Bez niej miał wrażenie, że unosi się w pustce. Zaczął nasłuchiwać. Za oknem śpiewał ptak, gdzieś w oddali czekał pies. Znieruchomiał. Miał nadzieję, że ona wróci, ale jej kroki za drzwiami stawały się coraz bardziej przytłumione, aż ucichły zupełnie.

Wciąż bolała go głowa, gardło i oczy. Nie chciał jednak zasnąć, więc zaczął sobie przypominać wydarzenia z owej fatalnej nocy w gospodzie.

Szedł na górę do wynajętego pokoju, gdy rozległy się krzyki ostrzegające o pożarze. Zaczął dobijać się do drzwi na pierwszym piętrze i wzywać ludzi do opuszczenia pokoi. Pożar rozprzestrzenił się bardzo szybko, z każdą minutą zadanie stawało się niebezpieczniejsze, ale nie dbał o to. Myślał tylko tym, aby ratować ludzi. W takich chwilach nigdy nie brakowało mu odwagi. Zawsze postępował słusznie. Bez względu na ryzyko.

Wstąpił do armii i wyruszył na wojnę, bo Anglia tego potrzebowała. Co prawda, lubił wojenne przygody, czasem nawet szukał ryzyka i popisывał się odwagą. W cza-

się pokoju armia przestała go interesować. Sprzedał patent oficerski i zamierzał podróżować w poszukiwaniu przygód i niezależności.

Niestety, kryzys rodzinny zatrzymał go na miejscu w Londynie. Najpierw ojciec doprowadził rodzinę niemal na skraj ubóstwa, kiedy roztrwonił fortunę rodzinną na hazard, a potem usiłował oszukać człowieka, który przyszedł im z pomocą, swojego nieślubnego syna, Johna Rhysdale'a. Hugh, jego brat Ned i Rhysdale zmusili ojca do wyjazdu do Brukseli i przekazania wszelkich pełnomocnictw do zarządzania majątkiem rodzinnym Nedowi. Zadaniem Hugh było pilnowanie, by ojciec dotrzymywał warunków umowy, co oznaczało powtarzające się wyjazdy na kontynent. Ta podróż była ostatnia. Hugh został wezwany do Belgii, ponieważ ojciec zmarł po nocy spędzonej na pijaństwie i rozpuście.

Hugh nie opłakiwał ojca, wręcz poczuł się wolny. Los jednak nie pozwolił mu cieszyć się dopiero co odzyskaną swobodą. Tym razem nie miały ograniczać go obowiązki wobec rodziny ani wojna. Groziła mu ślepotą.

Z pokoju Westleigha Daphne poszła do ogrodu poszukać ukojenia nerwów pośród klombów z czerwonymi tulipanami i żółtymi narcyzami. Miała powód do zdenerwowania. Liczyła na to, że przekaze opiekę nad Westleighem jego rodzinie, tymczasem on nie chciał nawet jej zawiadamiać.

Planowała, że zostawi im list z wyjaśnieniami i wyjedzie tuż przed przyjazdem kogoś bliskiego Hugh. Wiedziała, że Westleighowie nie byłiby zadowoleni, że członkiem ich rodziny zaopiekowała się zniechęcona lady Faville. Hugh też zapewne nie potrafiłby się z tym pogodzić. Jej sumienie obciążała bowiem próba odebrania świeżo poślubionego męża jego siostrze, Phillipie.

Kiedy Xavier oparł się jej urowi, urażona, cisnęła lampą naftową o ścianę w Maskaradzie. Lampa roztrzaskała się, tak jak jej złudzenia, zapaliła się zasłona w oknie, a od niej zajęła się spódnica Daphne...

Daphne przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków. Jak mogła zrobić coś takiego! Wciąż czuła wstyd na myśl o tym, jak postąpiła. Hugh Westleigh niewątpliwie nią pogardza; zachowała się wyjątkowo tchórzliwie. Uciekła po tym, jak Phillipa uratowała ją, zrywając z niej palącą się spódnicę. Zresztą, nadal zachowuje się tchórzliwie. Powinna przyznać się, kim jest. Już na samym początku...

„Rób to, co nakazuje ci sumienie, moje dziecko. Nigdy nie zbłądzisz, jeśli będziesz słuchała głosu sumienia”.

Ale co robić, jeśli sumienie nie podsuwa jednoznacznych rozwiązań? Czy lepiej powiedzieć prawdę, czy ukrywać ją, by nie narażać się na jego niechęć?

Daphne chodziła tam i z powrotem. Za dwa tygodnie bandaż zostanie zdjęty i Hugh, jeśli oczy się zagoją, wyruszy w swoją drogę. Z całego serca błagała Boga, by go uchronił przed kalectwem. Miała nadzieję też, że zostanie wybaczone jej to małe kłamstwo, którego dopuściła się w dobrej wierze.

Naraz spostrzegła dwie dziewczyny idące w stronę domostwa. Nie miały więcej niż piętnaście lat.

- Przepraszamy, czy to pani jest panią Asher?

- Tak, to ja - odpowiedziała Daphne.

- Szukamy pracy - oznajmiła jedna z dziewcząt. - Powiedziano nam, że pani może

potrzebować pomocy...

- Możemy robić wszystko, co potrzeba - zapewniła druga. - Jesteśmy bardzo silne.

Były nadzwyczaj skromnie ubrane, właściwie nędznie. Daphne zastanawiała się, czy potrzebuje służących, skoro nie zostanie tu dłużej niż dwa tygodnie.

- Bardzo nam zależy, pani Asher. Udowodnimy, że potrafimy pracować. Przekona się pani.

Daphne miała dość pieniędzy, by im płacić, a opatka pochwaliłaby ją za dobry uczynek.

- Dobrze, moje dziewczęta. Chodźcie za mną. Jeśli pani Pitts się zgodzi, możecie przystąpić do pracy jeszcze dzisiaj.

ROZDZIAŁ TRZECI

Hugh przegrał walkę ze snem. Kiedy się obudził, nie miał pojęcia, jak długo spał. Czy wciąż jeszcze trwał dzień, czy już zapadła noc? Znajdował się w pokoju sam, czy ktoś przy nim siedział? Może tajemnicza pani Asher?

Leżał bez ruchu, wyteżając słuch. W pokoju panowała zupełna cisza. Oprócz sy-czenia ognia na kominku nie było słycać żadnych odgłosów. Zastanowił się, czy ktoś usłyszałby go, gdyby zawołał o pomoc albo o podanie wody. Prędzej jednak po-zwoliłby się pokroić niż tak jawnie okazać słabość, zreflektował się.

Miał spieczone z pragnienia gardło i postanowił sam znaleźć wodę, którą z pew-nością pozostawiono w pokoju. Wstał z łóżka i lekko się zachwiał. Pod stopami po-czuł gruby dywan. Ostrożnie wykonał krok w prawo i natrafił na stolik nocny. Powoli przesunął dłońią po jego powierzchni, ale nie znalazł dzbanka z wodą. Był jedynie lichtarz ze świecą – przedmiot, którego nie potrzebował.

Zrobił krok do przodu i wpadł na drewniany fotel. Cofnął się i przewrócił stolik, ale dywan wytłumił hałas i nikt nie przyszedł.

Hugh przykucnął, wymacał stolik, podniósł go i ustawił na miejscu. Lichtarz potoczył się gdzieś dalej, ale nie było sensu go szukać. Bardzo ostrożnie ominął fotel, dotarł do ściany i przesuwając się wzdłuż niej, zbliżył się do kominka. Czuł ciepło rozchodzące się z paleniska. Kontynuował wędrówkę wzdłuż ściany i tym razem na-macał drzwi wyjściowe na korytarz. Otworzył je i wyszedł. Na korytarzu było wy-raźnie chłodniej. Nie dochodziły go jednak żadne odgłosy. Zamknął drzwi i tą samą drogą, którą na nie natrafił, wrócił do łóżka. Okrążył je i odkrył drugi nocny stolik, a na nim szklanę i dzbanek z wodą. Od razu uniósł dzbanek do ust, wypił kilka po-tężnych łyków chłodnej wody o miętowym posmaku. Odetchnął z ulgą, ale nie za-mierzał od razu wracać do łóżka. Postanowił zbadać całe pomieszczenie.

W jednym kącie odnalazł swój kufer, a obok buty. Pachniały świeżym czernidłem. Pod oknem stał fotel na biegunach.

Okno! Hugh otworzył je i poczuł na twarzy podmuch wiatru niosący od pól zapach trawy, wilgotnej ziemi i kwiatów. Następnie odwrócił fotel na biegunach w stronę okna, usiadł i zaczął się kołysać. Jednostajny ruch uspokoił go, a powiew chłodnego powietrza łagodził wspomnienie piekielnego ognia, z którego ledwo uszedł z ży-ciem.

Zbudziło go pukanie i odgłos otwieranych drzwi. Hugh wiedział, że to nie ona.

– Pan nie w łóżku! – wykrzyknął męski głos.

– Kto tam? – Hugh otrząsnął się z resztek snu.

– Jestem Carter. Lokaj mil... pani Asher. Mam się panem zająć.

– Dziękuję – odpowiedział Hugh. Jego opiekunka wspominała, że będzie mu usłu-giwał jej lokaj. – Powiedz, Carter, która godzina.

– Siódma.

– Rano czy wieczorem? – Czy tak trudno domyślić się, że on nie może tego wie-dzieć?

- Rano, proszę pana.

- A jaki mamy dzisiaj dzień? - Hugh starał się nie okazywać irytacji.

- Och! Rzeczywiście, może pan nie wiedzieć. Przepraszam, zaraz wyjaśnię. Dzisiaj jest piątek. Przyjechaliśmy tu w środę, dzień po pożarze. Wczorajszy dzień niemal cały pan przespał. Dzisiaj jest piątek rano.

A więc upłynęły dwa dni, pomyślał.

- Ogołę pana. Może zechce pan położyć się z powrotem do łóżka?

- Nie. - Hugh powściągnął irytację. Nie było winy Cartera w tym, że on wymagał opieki. - Nie chcę wracać do łóżka. Proszę mnie ogolić i pomóc mi się ubrać z łaski swojej.

Panowie o wysokiej pozycji towarzyskiej zazwyczaj zatrudniali pokojowego, ale Hugh nigdy nie miał osobistego służącego. Kiedy było to absolutnie konieczne, bez oporów korzystał z doraźnych usług służących brata lub ojca, wołał jednak zawsze obywać się bez niczyjej pomocy. Dawało mu to poczucie niezależności. Teraz jednak był zdany na opiekę innych niczym niemowlę. Ogolony, umyty, uczesany i ubrany usiadł w fotelu na biegunach bardziej zmęczony, niż był skłonny się przyznać.

- Dziękuję, Carter. Co ze śniadaniem? Zaprowadzisz mnie do pokoju śniadaniowego?

- Wydaje mi się, że pani Asher wolałaby, żeby zjadł pan śniadanie u siebie. Nie wolno się panu przemęczać.

Hugh miał na ten temat inne zdanie.

- Dobrze, powiedz pani Asher, że pragnę się z nią widzieć w dogodnej dla niej chwili. I przekaż jej, że chciałbym, żeby odwiedził mnie miejscowy lekarz, w miarę możliwości jeszcze dzisiaj. Zapłacę za wizytę. - Hugh chciał osobiście usłyszeć z ust doktora, że rzeczywiście grozi mu ślepotą.

- Jak pan sobie życzy. Udam się po pańskie śniadanie.

Z tymi słowami lokaj wyszedł. Hugh słyszał jego oddalające się kroki na korytarzu. Wstał z fotela. Zdecydowanie lepiej poczuł się w ubraniu, nawet jeśli składały się na nie tylko koszula, spodnie i pończochy.

Okrzyżł łóżko. Jeśli dobrze zapamiętał, po tamtej stronie znajdował się nocny stolik, który wcześniej przewrócił, oraz stół, przy którym jadł owsiankę. Odnalazł stół, usiadł na krześle i czekał na śniadanie. Niby nic wielkiego, ale uznał to za sukces, choć nie zniósłby, gdyby w ten sposób miało wyglądać jego przyszłe życie.

Daphne pozostawiła dwie kandydatki na pokojówki z panią Pitts. Myślała, że gospodyni będzie wiedziała, co z nimi począć, ale okazała się mało samodzielna. Daphne postanowiła zatem sama, że powinny zamieszkać na miejscu, a do ich obowiązków będzie należało palenie w kominkach i sprzątanie domu. Było też oczywiste, że dziewczęta potrzebują odpowiedniego przyodziewku.

Następnie Daphne kazała pani Pitts nakarmić je do syta oraz zatrudnić kucharkę i dziewczynę do pomocy w kuchni, jak również lokaja i dwóch chłopców do stajni do asystowania stangretowi. Pan Pitts został wysłany do wioski z zadaniem wyszukania odpowiednich ludzi, a Monette pobiegła po zarzutkę i kapelusik, bo miała zabrać nowe służące do miejscowego sklepu z towarami łokciowymi po materiał na ich sukienki i fartuszki.

Daphne nigdy nie zajmowała się tak trywialnymi sprawami i poczuła dumę, że poradziła sobie tak dobrze. Stać ją było na zatrudnienie tej liczby służących, nawet gdyby jej pobyt w tym domu miał się przedłużyć do roku, a przecież spodziewała się, że nie potrwa dłużej niż dwa tygodnie.

W holu natknęła się na schodzącego z piętra Cartera.

- Jak się ma pan Westleigh? - zagadnęła go z uśmiechem.

- Dużo lepiej, proszę pani. Chciałby z panią pomówić.

- Wiesz o czym? - Daphne wolałaby uniknąć rozmowy.

- Będzie prosił, żeby wezwała pani miejscowego lekarza. Wydaje mi się, że myśli o zdjęciu bandażu i opuszczeniu pokoju. Prosi o lekarza jeszcze dzisiaj.

Prośba wydała się Daphne całkiem naturalna. Kiedy oglądał go lekarz w Ramsgate, Hugh był ledwo przytomny. Szkoda, że nie dowiedziała się o jego prośbie wcześniej, mogłaby nakazać panu Pittsowi, aby w drodze powrotnej do domu przywiózł doktora.

- Udasz się do wioski i znajdziesz doktora? Albo pana Pittsa i poprosisz go, aby doktora przywiózł? Dopiero co wyjechał.

- A nie powinienem najpierw zanieść śniadania panu Westleighowi? Czeka na nie.

Daphne nie pomyślała o tym. Biedak pewnie umiera z głodu. Od przyjazdu nie miał w ustach nic oprócz talerza owsianki.

- Ja je zaniosę. Przy okazji z nim porozmawiam.

Daphne z Carterem udali się do kuchni, gdzie pani Pitts wyjaśniła Carterowi, jak znaleźć w wiosce doktora, i przygotowała tacę ze śniadaniem dla Westleigha. Daphne zaniosiła ją na górę i zapukała do drzwi.

- Wejdz, Carter. - Głos Westleigha wydał się jej znacznie silniejszy niż poprzednim razem.

Westleigh siedział przy stole. Był w czystej białej koszuli i ciemnobrązowych spodniach. Ubiór eksponował jego szeroką pierś i wąskie biodra. Daphne przez chwilę nie mogła oderwać od niego oczu. Nieoczekiwanie przypomniała sobie, z jaką łatwością ją wynosił z gospody.

- Czuję zapach świeżego chleba. Postaw tacę na stole.

- To nie Carter, panie Westleigh, lecz ja, pani Asher.

Wstał, jak przystało na dżentelmena.

- Dzień dobry - powitał ją z lekkim zakłopotaniem.

- Proszę usiąść - odpowiedziała. - Carter wspomniał, że chciał pan mnie widzieć.

- Dziękuję, że przyszła pani tak szybko.

Postawiła przed nim tacę.

- Posłałam Cartera po doktora, nie chcemy, żeby pan długo na niego czekał. Jest pan głodny?

- Jak wilk. - Ostrożnymi ruchami znalazł jedzenie.

Daphne poinstruowała panią Pitts, żeby przygotowała tylko to, co da się zjeść rękami, bez konieczności posługiwania się sztućcami. Skończyło się na świeżym chlebie posmarowanym topniejącym masłem, dwóch jajkach na twardo, kilku kawałkach sera i dzbanku herbaty.

Zawahał się.

- Należę panu herbaty. Pamiętam, jaką pan pije: z mlekiem i odrobiną cukru.

Niech pan je, jest pan przecież głodny.

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pani moje maniery.

- Proszę się nie obawiać, potrafię zdobyć się na wyrozumiałość.

Sama się sobie dziwiła, bowiem niegdyś była bardzo wymagająca, zwłaszcza jeśli chodzi o maniery przy stole. Pobyt w klasztorze naprawdę ją odmienił.

- Sądziłam, że zastanę pana w łóżku. Zaskoczył mnie pan, przy stole i ubrany.

- Miałem już dość leżenia. Poczuję się na tyle dobrze, że postanowiłem wstać.

- Na pewno? Lekarz w Ramsgate mówił, że trochę potrwa, zanim odzyska pan siły. Sugerował też, aby pozostawał pan w łóżku.

- Pomylił się. Czuję się już doskonale. Być może tutejszy doktor pozwoli mi zdjęć bandażę i będę mógł kontynuować podróż. Powiedziałem Carterowi, że pokryję honorarium lekarza. Zamierzam wynagrodzić również panią za jej trud.

- Nie zależy mi na pieniądzach i z całą pewnością nie potrzebuję wynagrodzenia. Nie sądzę, by Carterowi udało się przywieźć doktora jeszcze dzisiaj. - Pani Pitts uprzedzała, że tutejszy lekarz bywa bardzo zajęty.

- Miejmy nadzieję, że jednak przyjedzie dzisiaj.

Daphne nie dziwiło, że zależało mu na kontynuowaniu podróży nie mniej niż jej na jego wyjeździe, ale czy należało polegać na opinii wiejskiego lekarza? Może powinna posłać do Londynu po swojego doktora? Wtedy jednak wydałaby się jej tożsamość...

- Czy mógłbym prosić o zegar? - zapytał, przerywając jej rozmyślenia. - Chciałbym mieć kontrolę nad upływającym czasem. W mojej sytuacji nie odróżniam dnia od nocy.

- Strasznie panu współczuję - wykrzyknęła. - Powinnam sama o tym pomyśleć. Dobrze by było, gdyby wybijał kwadranse. - Ciekawe, czy znajdzie się taki zegar w wiosce? Daphne widywała takie czasomierze tylko w londyńskich sklepach.

- Wystarczy zwykły zegar, niekoniecznie z kurantem - odpowiedział. - Mogę za niego zapłacić, jeśli w tym domu takiego nie ma.

- Bez obaw, znajdę go dla pana. - Daphne przypomniała sobie o zegarze na półce nad kominkiem w bibliotece.

- Proszę zaczekać - powiedziała i pobiegła na dół. Powróciła już po chwili. - Przyniosłam! Umieszczę go nad kominkiem. Każę Carterowi nakręcać go regularnie.

- Nie spodziewałem się, że tak szybko spełni pani moje życzenie. Dziękuję.

Skończył jeść. Wyciągnął dłonie po filiżankę z herbatą, którą pomogła mu odnaleźć.

- Czy mogłabym jeszcze coś dla pana zrobić? - zapytała ściszym głosem.

- Chciałbym wyjść z pokoju - odpowiedział. - Jest chyba w tym domu bawialnia lub biblioteka, gdzie nikomu bym nie wadził.

- Przecież pan i tak nic nie widzi.

- Ale mogę chodzić.

- Doktor z Ramsgate zalecał panu spokój i odpoczynek. Poczekajmy, co powie tutejszy.

Wypił herbatę. Daphne nachyliła się, żeby zabrać tacę.

- Pachnie pani różami - powiedział cicho.

Daphne zaczerwieniła się i od razu ucieszyła się, że Hugh nie może tego zauwa-

żyć. Zapach róż był jej ulubionym aromatem.

- Pójdę już, chyba że mogłabym się jeszcze panu przydać.

- To wszystko. Jestem pani wdzięczny za śniadanie i zegar. I za posłanie po doktora.

- Miejmy nadzieję, że szybko przyjedzie.

Wyszła, znowu nie wyznawszy mu prawdziwego nazwiska.

Lekarz przybył późnym popołudniem. Carter zaanonsował go Daphne zajętej w bawialni pisaniem listu do rządcy. Informowała go o swoim powrocie do Anglii i o tym, że zatrzymała się chwilowo w Thurnfield, naturalnie nie wyjaśniając przyczyny postoju.

Doktor Wynne był mężczyzną pięćdziesięciokilkuletnim, niezbyt przystojnym, lecz o miłym usposobieniu. Na widok Daphne rozpromienił się.

- Pani Asher! Miło panią poznać! Będzie pani prawdziwą ozdobą Thurnfield, jeśli wolno zauważyć.

- Dziękuję - odpowiedziała przyzwyczajona do komplementów. Tym razem jednak nie chciała odciągać doktora od celu jego wizyty. - Pan Westleigh nie może doczekać się pana wizyty. Carter zaprowadzi pana na górę.

- Za chwilę. Dowiedziałem się od pana Cartera, że widziała pani, w jakich okolicznościach pan Westleigh doznał obrażeń, i była pani obecna podczas badania go przez innego lekarza. Wydaje mi się, że najpierw powinienem porozmawiać z panią.

- Proszę zatem usiąść. - Gestem wskazała mu krzesło i opowiedziała wszystko, co wiedziała, z najdrobniejszymi szczegółami. Doktor zadawał liczne pytania, więc musiała ciągle się powtarzać. Cieszyła się w duchu, że nie kazała podać herbaty, bo ta indagacja ciągnęłaby się bez końca. Wreszcie jej cierpliwość wyczerpała się.

- Myślę, że najwyższy czas, by zbadał pan pacjenta. Bardzo długo na pana czeka.

- To prawda. Będzie mi pani towarzyszyła?

Daphne podzieliła się już z nim wszelkimi informacjami, jakie miała, i to kilkakrotnie. Nie chciała jednak sprzeciwiać się, żeby nie przeciągać rozmowy. Westleigh czekał na niego prawie cały dzień.

- Proszę za mną.

Kiedy znaleźli się pod drzwiami pokoju Westleigha, zegar wybijał kwadrans. Daphne zapukała.

- Proszę wejść. - W głosie Westleigha słychać było niecierpliwość.

- Panie Westleigh, przyprowadziłam doktora Wynne'a - powiedziała.

Hugh siedział w fotelu na biegunach pod otwartym oknem, przez które dochodziły do wnętrza pokoju podmuchy ciepłego, popołudniowego wiatru. Wstał i wyciągnął ręce w stronę wchodzących.

- Nie mogłem się pana doczekać, doktorze - wyznał.

- Witam pana. Pani Asher opowiedziała mi o pańskich obrażeniach.

- Tak? To może będzie pan łaskaw powtórzyć mi, co panu opowiedziała?

- Poinformowałam doktora o pożarze - odezwała się Daphne. - I o tym, że doznał pan kontuzji głowy i ma pan poparzone oczy, dlatego lekarz, który pana opatrywał, uznał, że musi pan nosić bandaż co najmniej dwa tygodnie.

- Sam mogłem poinformować o tym wszystkim doktora.

- Faktycznie. - Daphne nie chciała wdawać się w polemikę.

- No to zaczynajmy - doktor Wynne zainteresował się w końcu pacjentem. -

Niech pan siedzi, postawię sobie krzesło obok pana. - No więc, proszę powiedzieć, czy ma pan trudności z oddychaniem?

- Nie. - Westleigh wziął głęboki oddech.

Wynne pokiwał głową i wyciągnął z torby cylindryczny przedmiot. - Sprawdzimy. Proszę oddychać głęboko i powoli. - Przystawił jeden koniec rurki do piersi Westleigha, a drugi do swojego ucha.

- Płuca są czyste - orzekł po osłuchaniu klatki piersiowej w kilku miejscach. - Odczuwa pan zawroty głowy?

- Teraz już nie - odpowiedział Westleigh. - Nawet kiedy się poruszam. Stoję na nogach dosyć pewnie.

- Coś pana boli?

- Gardło i ciągle boli mnie głowa, ale ból jest do zniesienia. Najbardziej martwię się o oczy. Odczuwam w nich tępy ból. Też do zniesienia, chyba że poruszę powiekami, wtedy ból zaostrza się.

- Więc niech pan powiekami nie porusza - zachichotał doktor.

Westleigh obruszył się. Daphne miała ochotę zwrócić lekarzowi uwagę, że to nie jest temat do żartów.

- Przyjrzyjmy się. - Lekarz położył obie dłonie na głowie Hugh. - Zdziwiająco, jak mało rozległe są pańskie poparzenia. - Lekarz obejrzał odsłoniętą część twarzy. - Oczy są najbardziej wrażliwe na wysoką temperaturę. Co do włosów i oczu, to nie wiem, jak bardzo ucierpiały, bo zasłania je bandaż, ale uważam, że wyszedł pan z tej opresji względnie cało.

Daphne widziała oczy Westleigha. Były jakby zasłane mgłą.

- Teraz odwinę bandaż, ale musi mi pan coś obiecać - powiedział doktor.

- Tak?

- Proszę nie unosić powiek - rzekł doktor, akcentując każde słowo. - Jeśli pan nie posłucha, ryzykuje pan ślepotę. Czy pan zrozumiał?

- Zrozumiałem.

- Pani Asher - zwrócił się doktor do Daphne - czy możemy zamknąć okno i zaciągnąć zasłony?

- Naturalnie. - Daphne pospieszyła wykonać to, o co prosił.

Westleigh siedział bez ruchu, podczas gdy doktor odwijał bandaż. Pozostały dwa ruchy.

- Niech pan nie otwiera oczu - przypomniał doktor, odwinął dwie ostatnie warstwy i delikatnie dotknął palcem powiek.

Hugh skrzywił się.

- Boli?

- Trochę.

- Może mi pani podać palącą się świecę? - poprosił Daphne.

Sięgnęła po lichtarz na stoliku nocnym, zapaliła świecę drzazgą od ognia w kominie i podała Wynne'owi. Powieki Westleigha były zaczerwienione i pokryte żółtawymi strupkami. Gdyby teraz otworzył oczy, poznałby ją, ale Daphne przestała się o to bać. Jego zdrowie było w tym momencie ważniejsze od jej dumy... i wstydu.

Westleigh pozostał nieruchomy jak statua.

- Czy widzi pan światło? - zapytał lekarz.

- Tak!

- Niech pan nie otwiera oczu! - ostrzegł doktor.

- Czy to znaczy, że będę widział? - zapytał Westleigh.

- Chciałbym złożyć panu taką obietnicę... - Wynne sięgnął do torby po świeży bandaż. - Pańskie oczy muszą jeszcze pozostać obandażowane. Przez dwa tygodnie, jak zalecił poprzedni lekarz. Szczęśliwie nie widzę objawów infekcji, ale nie wiem, jakimi słowami pana przekonać, że musi pan się wstrzymać na dwa tygodnie przed jakąkolwiek próbą otwarcia oczu. To pana jedyna szansa.

Westleigh siedział nieporuszony. Nie wiedzieć dlaczego, Daphne poczuła dla niego podziw, że nie okazał żadnych emocji. Przecież wciąż groziła mu utrata wzroku.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wizyta doktora wlała w Hugh nadzieję. Doktor Wynne nie nakazał mu leżeć w łóżku. Jedyne, czego zabronił, to usuwanie bandaża. Zapowiedział, że wróci za kilka dni, jeszcze raz go zbada i zmieni opatrunki. Powiedział także, że Hugh mógłby kontynuować podróż, gdyby chciał. Od Londynu i tyranizującej całą rodzinę matki dzielił go jeden dzień drogi dylizanssem.

Hugh wolał jednak opiekę pani Asher, ale czy dżentelmenowi wypadało narzucać się tak kobiecie?

- Czy potrzeba panu czegoś? - Do pokoju zajrzał Carter, wytrącając go z zamyślenia.

- W tej chwili nie. O której jest kolacja?

- O której pan sobie zażyczy.

- Nie chciałbym sprawiać nadmiernych kłopotów. Mogę zjeść z panią Asher.

- Mil... to jest pani Asher jada o ósmej.

- O ósmej. Wspaniale. Poczekam do ósmej.

- Jak pan sobie życzy. - Carter wyszedł.

Hugh czekał, aż zegar wybije kolejną godzinę. Sześć uderzeń. Miał dość czasu, by się przygotować.

Po ścianie trafił do rogu pokoju, w którym stał jego kufer. Odnalazł żakiet, a pod nim kamizelkę. Potem jego palce natrafiły na wykrochmalony na sztywno kołnierzyk. O krawat nie obawiał się, od ośmiu lat wiązał go samodzielnie.

Ubrał się, a nawet włożył buty. Po raz pierwszy od dnia pożaru był kompletnie ubrany i nareszcie poczuł się jak mężczyzna. Pewnie ruszył w stronę drzwi, ale uderzył w ścianę. Niezrażony znalazł klamkę i poczuł dreszcz podniecenia. Czy tak czuje się człowiek wypuszczony z więzienia? Wolny, ale niepewny, bo nie wie, co znajduje się po drugiej stronie...

Wyszedł na korytarz i przystanął. Nasłuchiwał odgłosów dochodzących z dołu - to oznaczało, że schody są już niedaleko. Wykonał jeszcze jeden krok do przodu i natrafił na ścianę. Użył jej jak przewodnika i doszedł do balustrady schodów. Zaśmiał się triumfalnie i ostrożnie zszedł.

Przystanął na ostatnim stopniu. Drzwi wejściowe do domu mogły znajdować się na wprost, co oznaczało, że po lewej i po prawej stronie były pokoje. Ale po której stronie jest jadalnia?

Zaczerpnął powietrza i ruszył przed siebie. Dotarł do drzwi, a następnie oparł się o ścianę.

- Co pan robi, proszę pana? - usłyszał kobiecy głos i wyraźny wiejski akcent.

- Czy pani Pitts? - zapytał.

- Broń Boże, proszę pana. Jestem Mary, pokojówka.

Pani Asher nie wspominała o tym, że ma pokojówki.

- Co pan robi na dole? Powinien pan być w swoim pokoju na piętrze, może nie?

- Zszedłem na dół na kolację - odparł z przekonaniem, którego służąca nie śmiała zakwestionować. - Wiem, że jeszcze wcześniej, ale byłbym ci wdzięczny, gdybyś za-

prowadziła mnie do jadalni.

- A nie wolałby pan poczekać na kolację w bawialni? Pani Asher prosiła, żebyśmy tam ją zawiadomili o podaniu do stołu.

- Niech będzie bawialnia! - Hugh uśmiechnął się. - Zaprowadzisz mnie tam?

- Och! - Dziewczyna dopiero teraz zrozumiała sytuację. - Pan nie widzi i nie zna rozkładu domu! - Dotknęła jego ramienia. - Proszę za mną. - Skierowała go w prawo. - Ostrożnie, próg. Wydaje mi się, że pani Asher zaraz zejdzie.

- Miejmy nadzieję - powiedział.

- Pan wybaczy, ale ja muszę wracać do swoich obowiązków - wyznała z wyczuwalną dumą.

- Dziękuję, Mary. Mam tylko jedno pytanie.

- Słucham, proszę pana. - Musiała być bardzo młoda i niedoświadczona, inaczej nie mówiłaby tak wiele.

- Jak długo jesteś na służbie u pani Asher?

- To mój pierwszy dzień, proszę pana. Mój i mojej siostry, Ann. Nie powinnam marnować czasu. Czy mogę już iść?

- Ależ tak. - Czy to z jego powodu zostały zatrudnione dwie nowe służące? - Jeszcze raz ci dziękuję, Mary.

Zachichotała i znikła, zamknąwszy za sobą drzwi. Znowu znalazł się w nieznanym pokoju i nie wiedział, jak ustawione są meble. Zaczynał jednak się do tego przyzwyczajać. Kiedy zlokalizował kominek względem drzwi, zaczął szukać foteli lub innych mebli. Przesuwał się drobnymi kroczkami, aż natrafił na jeden. Usiadł i nasłuchiwał. Wyłowił uchem tykanie zegara. Dobrze, pomyślał, będzie świadomy upływającego czasu.

Zegar wybił pół godziny, a następnie trzy kwadranse. Zaraz potem drzwi otworzyły się i Hugh wyczuł zapach różanych perfum.

- Dobry Boże! Panie Westleigh, ależ mnie pan zaskoczył!

Wstał.

- Przepraszam.

- Co pan tu robi?

- Carter powiedział mi, że kolacja jest o ósmej. Skoro nie muszę leżeć w łóżku, uznałem, że nie ma powodu kłopotać pani służby przynoszeniem mi jedzenia do sypialni.

- Ale Carter mnie nie uprzedził...

- Nie konsultowałem tego z nim.

- A jak pan się tu dostał?

- W taki sam sposób jak każdy człowiek, przyszedłem.

- Sam?

- Do holu dotarłem sam, a do bawialni wprowadziła mnie Mary.

- Mary? Aha, Mary. Nowa służąca. Miło z jej strony. Więc... niech pan usiądzie, panie Westleigh.

Usiadł. Pani Asher stanowiła dlań zagadkę. Zadała sobie wiele trudu i wzięła go do domu, żeby go pielęgnować w chorobie, a jednocześnie sprawiała wrażenie niezadowolonej z jego obecności. Coś ukrywała, to pewne.

- Napije się pan czerwonego wina? - zapytała po chwili.

- Z miłą chęcią. - Zateśknął za winem, a jeszcze bardziej za brandy. Ciekawe, czy po kolacji będzie mógł dostać kieliszek brandy.

Otworzyła szafkę i napełniła kieliszki. Sam zapach sprawił mu przyjemność. Był intensywny i korzenny, Hugh delektował się nim przez chwilę, zanim pociągnął pierwszy łyk. Wino podziałało kojąco na jego obolałe gardło.

Usłyszał, że pani Asher siada.

- Dowiedziałem się, że zatrudniła pani dwie nowe służące. Jeśli to z mojego powodu, musi mi pani pozwolić pokryć koszty.

Hugh uważał, że takie sprawy należy stawiać jasno. Pani Asher mogłaby się krępować podniesieniem tej kwestii, ale on nie zamierzał chować głowy w piasek.

- Koszt nie gra istotnej roli. Zresztą nie zatrudniłam ich z pana powodu. Te dziewczyny potrzebowały pracy, więc pomyślałam, że wszystkim nam przyda się dodatkowa pomoc.

- Nadal jednak chciałbym odwdzińczyć się pani za kłopoty, jakich pani przysparzam.

- Proszę nie wspominać o pieniądzach. - Słowo „pieniądze” wymówiła z niejakim niesmakiem. - Nienawidzę o nich mówić. Jest pan tutaj po to, żeby odzyskać zdrowie, i tylko o tym powinien pan myśleć. Koszty, które ponoszę, nic dla mnie nie znaczą.

Dlaczego jest taka spięta? Hugh postanowił obrócić sytuację w żart.

- Zatem jest pani bogatą wdówką?

Milczała przez jakiś czas, po czym odpowiedziała poważnym tonem.

- Tak, jestem bogatą wdową.

Pili wino w takiej ciszy, że Hugh mógł słyszeć tykanie zegara i najłżejszy szelest jej spódnicy, na szczęście nie trwało to długo, gdyż wszedł Carter i zapowiedział kolację.

- Mil... - Urwał. - Podano do stołu. - Panie Westleigh! Pan tutaj?

- Pan Westleigh zje ze mną dzisiaj kolację w jadalni - wyjaśniła pani Asher tak, jakby nie było w tym nic dziwnego. Biegłe ukrywała emocje przed służbą.

- Dobrze, proszę pani - odpowiedział Carter. - Pójdę przodem i postawię na stole dodatkowe nakrycie.

Hugh usłyszał, jak pani Asher wstaje, i sam również wstał, wyciągając do niej ramię. Miał nadzieję, że nie zawiśnie ono w powietrzu. Zaraz poczuł dotyk jej palców.

- Zaprowadzę pana do jadalni.

- Dziękuję, inaczej mógłbym rozbić się o ścianę! - Roześmiał się.

- Bardzo zręcznie trafił pan do bawialni. - Nie wydawała się poirytowana.

- Przejdziemy przez hol - uprzedziła go. - Jadalnia jest położona po drugiej stronie, symetrycznie do bawialni. Ten dom ma wyjątkowo nieskomplikowany rozkład.

- Jakie jeszcze pokoje są na tym poziomie?

- Biblioteka, znajduje się za bawialnią.

- Nie sądzę, bym jej potrzebował - wtrącił ze śmiechem.

- Za jadalnią jest pokój kredensowy, gdzie przechowywana jest zastawa stołowa. Z kredensowego wiodą schody na dół do kuchni i mieszkania gospodyni.

Potrafił sobie to wyobrazić. Nie był to duży dom jak na bogatą wdowę.

W jadalni pani Asher podprowadziła go do miejsca u szczytu stołu. Hugh usłyszał

odgłos odsuwanej krzesła. Puściła jego ramię i usiadła. Podszedł Carter.

- Podam panu krzesło.

Hugh znalazł się obok pani Asher.

- Kolacja będzie raczej skromna - uprzedziła pani Asher. - Potrawka z jagnięciny i chleb.

Hugh już mógł wyczuć zapach jedzenia.

- Mnie to nie przeszkadza. Wrócił mi apetyt. Zjem wszystko, co postawi pani przede mną na stole.

Usłyszał, jak Carter rozlewa do kieliszków wino. Zresztą dawało się również wyczuć jego zapach.

- To dobry objaw, jak sądzę - powiedziała. - Może jutro będziemy mieli coś bardziej wyszukanego. Zatrudniłam kucharkę. A także nowego lokaja.

- Przyjmuje pani nowych służących?

- Tak... Wie pan, wróciłam z długiego pobytu za granicą.

- I urządza się pani na nowo?

- Tak. Właśnie tak - odparła z wahaniem.

Wyteńczył słuch. Dlaczego w jej głosie znowu pobrzmiwała nuta nieszczerości?

- Ja także przebywałem za granicą - powiedział zamiast niepokoić ją dalszymi pytaniami. - W Brukseli. Była pani tam kiedyś?

- Nie - rzuciła. - Byłam w Szwajcarii.

- W Szwajcarii? Wybieram się tam.

Carter postawił przed Hugh talerz.

- Chleb kładę po pańskiej lewej stronie - oznajmił.

- Dziękuję, Carter. Smakowity zapach. - Skierował głowę w stronę, gdzie, jak się domyślał, siedziała pani Asher.

- Niech pan je, panie Westleigh - zachęciła. Hugh słyszał, jak Carter wychodzi z jadalni.

Sięgnął po widelec. Nadziewanie kawałków mięsa wydawało mu się najprostszym sposobem zaspokojenia głodu. Udało się jednak dopiero po kilku próbach. Jagnięcina była delikatna i smaczna. Wyłowił następnie kilka kartofli.

- Smakuje panu? - zapytała.

- Nie widzi pani? - roześmiał się. - Pochłaniam jedzenie niczym nieokrzesany prostak. Sposób jedzenia też zapewne pozostawia wiele do życzenia.

- Nie zwracam uwagi na sposób, w jaki pan je. Jest pan usprawiedliwiony swoją... niedyspozycją.

Chciała powiedzieć ślepotą, ale powstrzymała się. Sięgnął po chleb i ułamał kawałek.

- Co panią skłoniło do zatrzymania się w Szwajcarii? - zapytał.

- Hm... Potrzebowałam wyciszenia.

Hugh słyszał o uzdrowiskach na kontynencie, które bogate angielskie wdowy chętnie odwiedzały ze względów zdrowotnych. Albo żeby wydać tam na świat nieślubne dziecko. Czy dlatego właśnie wyjechała? To tłumaczyłoby melancholię, jaką w niej wyczuwał.

Zrobiło mu się jej żal i pomyślał, że kobiety mają w życiu znacznie trudniej niż mężczyźni. To one płacą całą cenę za chwilę słabości i uległość.

Daphne straciła apetyt pod wpływem tych indagacji. Obecność Hugh w bawialni zaskoczyła ją. Wyglądał nieskazitelnie. Żakiet był znakomicie uszyty. Podkreślał szerokie, silne ramiona i wąskie biodra. Patrząc na niego, Daphne nie myślała o jego ułomności ani o tym, że należał do rodziny, która miała o niej jak najgorsze mniemanie. Jego postać absorbowowała całą jej uwagę, wszystkie myśli.

Zamilkł. Przełękła się w duchu, że wyczuł, że mu się przygląda. Wstrzymała oddech i z napięciem czekała na kolejne pytania na temat swojego pobytu w Szwajcarii.

- Mój pobyt w Brukseli nie miał nic wspólnego z odpoczynkiem - zmienił temat.

Daphne odetchnęła z ulgą. Był jak większość mężczyzn. Wolał mówić o sobie.

- Ach tak? - okazała uprzejme zainteresowanie.

- Większość czasu spędziłem na regulowaniu spraw ojca - ciągnął. - Mieszkał w Brukseli i tam przed kilkoma miesiącami umarł.

- Proszę przyjąć moje kondolencje.

Odczuwała szczere współczucie. Nie wiedziała o śmierci starego hrabiego. Słyszała, że wyjechał na kontynent po jakimś skandalu w Maskaradzie, ale nie znała szczegółów. Kiedy ona odwiedzała klub, nie obchodziło jej nic oprócz własnych spraw.

- Nie oczekuję współczucia - powiedział. - Był nikczemny, najgorszy z ojców. Może pani o nim słyszała. Niesławnej pamięci hrabia Westleigh.

- Owszem, słyszałam. - Należał do grona znajomych jej nieżyjącego męża. Był od niego tylko kilka lat starszy. - Ale znałam go jedynie z nazwiska. - Mówiła prawdę. Mąż nie plotkował o swoich znajomych.

- Mój brat, Ned, który odziedziczył tytuł hrabiowski, wysłał mnie do Brukseli, abym uregulował wszystkie długi, jakie mógł po sobie pozostawić. Od lat to robiłem i cieszę się, że odbyłem tę podróż po raz ostatni.

Daphne nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc zaproponowała dokładkę potrawy.

- Z miłą chęcią zjem jeszcze trochę - odparł z uśmiechem.

Był pierwszą osobą, która przyznawała się do tego, że nie zasmuciło jej odejście kogoś z rodziny. Może nie była z niej taka dziwaczka, jak sądziła, kiedy nie potrafiła wzbudzić w sobie wielkiego żalu po śmierci rodziców.

- Nie podobało się panu w Brukseli? - zapytała, żeby podtrzymać konwersację.

- To piękne miasto. Ale zbyt obciążone wspomnieniami. Nie umiem uwolnić się od myśli o bitwie pod Waterloo.

- Walczył pan pod Waterloo? - Daphne wiedziała o bitwie tylko tyle, ile wyczytała w gazetach, które docierały do Faville.

- Tak - odparł poważnym głosem.

Upiła łyk wina.

- Wojna i bitwy nie nadają się na temat do konwersacji przy kolacji, prawda?

- W żadnym wypadku. Proszę mi opowiedzieć o Szwajcarii. Widziałem Alpy francuskie, ale nigdy nie widziałem ich po stronie szwajcarskiej. Rzeczywiście są tak majestatycznie piękne?

Opactwo znajdowało się w dolinie. Postrzępione szczyty skalne nie były stamtąd zanadto widoczne.

- O tak - przyznała chętnie. - Mają wiele uroku.

- Chciałbym tam pojechać. Nie tylko tam. Mam zamiar podróżować, kiedy po powrocie do Londynu złożę rodzinie sprawozdanie.

- Jest wiele miejsc godnych obejrzenia - odpowiedziała swobodnym tonem.

Rozmawiali przez pozostały czas o różnych miejscach na kontynencie, które zdarzyło się im odwiedzić. Daphne widziała tylko te kraje, przez które przejeżdżała w drodze do Szwajcarii, oraz Włochy, dokąd zabrał ją kiedyś mąż.

Kolacja była przyjemna. Dawno nie jadła żadnego posiłku w tak miłej atmosferze.

Po kolacji przeszli do bawialni.

- Nie mogę zaproponować panu brandy, bo jej nie ma. Czy może być herbata? - Daphne postanowiła, że nazajutrz pośle Cartera do miasteczka po brandy.

- Oczywiście.

Rano był poirytowany, a teraz stał się miły i dowcipny. Daphne nieomal zapomniała, że nazywa się lady Faville, a on okazałby jej niechęć, gdyby się o tym dowiedział.

Zauważyła w końcu, że jest zmęczony.

- Chyba pójdę się położyć - oznajmiła, nie chcąc, aby musiał się do tego przyznać.

- Odprowadzi mnie pani na górę? Nie wiem, czy odnalazłbym swój pokój? - zapytał.

- Z przyjemnością - odpowiedziała.

- O której godzinie będzie śniadanie - zapytał w drodze na górę.

- O tej, o której pan sobie zażyczy.

- Proszę wyznaczyć godzinę.

Daphne powinna ustalić godzinę z panią Pitts, zanim mu odpowie. Gospodyni miała wyjątkowo ciężki dzień. Nowe służące, zamiast ulżyć, przydały jej tylko więcej pracy. Naraz uprzytomniła sobie, że nigdy wcześniej nie troszczyła się o swoich służących.

- Rano przyślę Cartera, żeby pomógł panu się ubrać. Śniadanie będzie gotowe wkrótce potem. Dobranoc, panie Westleigh. Carter pomoże się panu rozebrać.

- Dziękuję za miły wieczór. - Przesunął dłonią po jej ramieniu, żeby znaleźć dłoń i ją uściskać.

Serce Daphne zabiło z radości. Zawsze cieszyło ją uznanie dżentelmenów, jednak jego dowody nigdy nie wzbudzały w niej takich emocji. Naturalnie, nie dotyczyło to jej męża. I pewnego mężczyzny, który poślubił siostrę Westleigha.

Stwierdziła, że ta radość wynika zapewne z długiego pobytu w klasztorze. Hugh Westleigh był zapewne ostatnim mężczyzną na ziemi, który powinien wzbudzać w niej takie żywe emocje.

Przeszła na drugą stronę korytarza, gdzie naprzeciw pokoju Westleigha znajdowała się jej sypialnia. Była mała, ale za to przylegał do niej niewielki pokój doskonale nadający się dla Monette.

W klasztorze przyzwyczała się do pomieszczeń jeszcze mniejszych niż izdebka pokojówki. W jej celi było miejsce tylko na wąskie łóżko, stolik nocny i komodę na ubranie. Niczego więcej nie potrzebowała.

Monette czekała z koszulą nocną.

- Czy to pana Westleigha słyszałam z korytarza? Carter mówił, że samodzielnie zszedł na kolację.

- Tak. Przyprowadziłam go na piętro.

- Więc będzie poruszał się po domu?

- Tak. Nie pozwoli zamknąć się w czterech ścianach swojego pokoju. Niestety.

- Nie jest pani zbyt zadowolona - zauważyła dziewczyna.

Daphne nie dopuszczała dotąd Monette do bliższej konfidencji. Dziewczyna niewiele wiedziała o jej życiu, zresztą Daphne nikomu się nie zwierzała. Dla wszystkich, nawet dla opatki w Fahr, była po prostu wdową po wicehrabim i nikim więcej.

Jednak musiała coś odpowiedzieć.

- To dodatkowo wszystko komplikuje. Daleko mu do samodzielności.

- Więc dobrze się składa, że przyjęła pani nowe służące. Będzie nas więcej do pomocy.

To prawda, lecz Westleigh był jej gościem, a dobra pani domu nie pozostawia gościa wyłącznie na łasce służby. Monette nie musi jednak wiedzieć, jak trudno jej będzie dotrzymywać towarzystwa Hugh. Każda spędzona z nim chwila wiązała się z kolejną falą wyrzutów sumienia i wyczerpującą grą. Na dobitek zaczynał się jej podobać jako mężczyzna.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zgodnie z zapowiedzią Carter przyszedł rano, by przygotować Hugh do śniadania. Westleigh jadł je w towarzystwie pani Asher, która zabawiała go uprzejmą konwersacją, jakby miała do czynienia z kimś, kto widzi. Jedzenie nie nastęczało mu trudności. Hugh domyślał się, że pani Asher zadbała o to, by przygotowano je właśnie tak, by ułatwić mu zadanie.

Usłyszał, że odsuwa krzesło.

- Pan wybaczy, panie Westleigh, muszę porozmawiać z gospodynią. Zostawiam Cartera do pańskiej dyspozycji. Zajmie się panem po śniadaniu, ale proszę się nie spieszyć.

Siedzenie przy stole bez niej nie stanowiło żadnej atrakcji, więc szybko zakończył posiłek. Carter zaprowadził go do bawialni, ale Hugh nie miał pojęcia, co będzie tam robił. Usiadł w tym samym fotelu co poprzedniego dnia.

- Jak długo jesteś na służbie u pani Asher? - zagadnął lokaja.

- Niedługo. - Hugh wyczuł wahanie w jego głosie. - Zatrudniła mnie tuż przed powrotem do kraju.

- Byłeś w Szwajcarii? - Dziwny zbieg okoliczności; angielski lokaj do wynajęcia w Szwajcarii.

- Byłem, proszę pana. - Carter zdawał się ostrożnie dobierać słowa, tymczasem Hugh nie oczekiwał jakichkolwiek wyjaśnień od nieszczęśnika, po prostu miał chęć pogadać.

- Muszę pana przeprosić, wzywają mnie inne obowiązki - powiedział w końcu Carter. - Niebawem zajrzę do pana spytać, czy mógłbym być w czymś pomocny. Powiedzmy za godzinę, dobrze?

- Idź, Carter. Dam sobie radę. - Czy miał inny wybór?

Lokaj ruszył ku drzwiom, ale zanim zdążył opuścić pokój, Hugh ponownie go zawołał.

- Carter?

- Słucham, proszę pana?

- Nie znalazłbyś mi laski?

- Laski? Pan wybaczy, ale nie zauważyłem, żeby pan kulał.

- Prawda, ale pomyślałem, że gdybym miał laskę, przestałbym rozbijać się o meble. Mógłbym poruszać się po domu bez pomocy.

- Oczywiście, proszę pana.

Po odejściu Cartera Hugh nie wiedział, czym się zająć. Postanowił zwiedzić pomieszczenie, w którym się znalazł. Poruszał się bardzo ostrożnie, żeby niczego nie zniszczyć. Pokój był umeblowany bardzo skromnie. Hugh stwierdził, że znajdują się w nim trzy grupy foteli, a pod ścianami szafki. Z jednej z nich pani Asher wyjmowała wino. Hugh chętnie napiłby się, ale bał się, że napełniając kieliszek, zaleje podłogę i zaplamie dywan. Mógłby oczywiście napić się z karafki, ale uznał to za niedopuszczalne. Zresztą było dopiero po śniadaniu.

Posuwając się wzdłuż ściany, natrafił na okno. Chociaż dzień był chłodny nawet

jak na kwiecień, nie potrafił oprzeć się pokusie. Świeże powietrze miało zapach wolności. Był go spragniony jak pierwszego posiłku po odzyskaniu przytomności. Zacerpnął głębokiego oddechu i zamknął okno. Wiedział, że nie ma większego uprzykrzenia niż goście, którzy szarogęszą się, ale on bardzo źle znosił zamknięcie w czterech ścianach.

Kontynuując obchód pokoju, odkrył fortepian. Nacisnął palcem jeden klawisz. Instrument wydał dźwięk. To przypomniało mu o siostrze. Czy Phillipa nadal siedzi godzinami przy fortepianie i komponuje? Hugh słyszał jeden z jej utworów wykonywany przez orkiestrę w ogrodach Vauxhall. Dama z wyższych sfer i kompozytorka w jednej osobie to rzadkość.

Phillipa, lekceważona przez ojca i braci, terroryzowana przez apodyktyczną matkę, znalazła własną drogę. I to ze wspaniałym rezultatem: wyszła za Xaviera i sama została matką. Hugh miał nadzieję, że nie zaniedbywała muzyki po urodzeniu dziecka. Podziwiał ją szczerze, choć dawniej nie zwracał na nią większej uwagi. Była od niego o siedem lat młodsza. Kiedy dorastała, on był w szkole z internatem, a potem w wojsku.

Oszpecająca twarz Phillipy blizna, jej ucieczka w świat muzyki, lekceważenie, z jakim ją wszyscy traktowali, uwalniały ją od wszelkiej odpowiedzialności za rodzinę. Ned, spadkobierca tytułu hrabiowskiego, koncentrował się na zachowaniu majątku rodzinnego i dobrego imienia rodziny. Hugh natomiast przypadła rola konia pociągowego, któremu powierzano wykonywanie większości bieżących obowiązków.

Problemy z rządcą w majątku czy długi ojca – nieważne, Hugh musiał opuścić Londyn i załatwić sprawę. Postanowił, że teraz to się skończy i będzie wolny. Jeśli oczywiście odzyska wzrok.

Zaciśniętą pięścią uderzył w klawiaturę. Instrument wydał głośnie dysharmoniczne dźwięki i zabrzmiał równie gwałtownie jak jego emocje.

Szybko się opanował. Nie będzie się użalał nad sobą. Tym razem łagodniej uderzył w klawiaturę i usiadł przy instrumencie. W uszach rozbrzmiewały mu pasaże, które całymi dniami ćwiczyła siostra. Odnalazł środkowe C i zagrał prostą gamę C-dur. Na tym kończyła się jego umiejętność gry na fortepianie, ale nie zniechęcał się.

Powtarzał ćwiczenie długo, aż palce przestały stawiać opór i gama zabrzmiała równo i gładko. Popróbowował odegrać ze słuchu *Ostatnią wachtę*. Nie wychodziło bez błędów, ale nie zniechęcał się.

– Potrafi pan grać na fortepianie, panie Westleigh? – usłyszał głos pani Asher.

– Niestety, nie. To wszystko na co mnie stać. – Zdziwił się, że tak bardzo ucieszył się z jej przyjscia. – Załatwiła już pani wszystkie sprawy?

– Tak.

Nie powiedziała nic więcej. Nie poruszyła się. Jej rezerwa wobec niego zastanawiała go. Pochylił się znowu nad klawiaturą.

– Żeby brzdąkać na fortepianie, nie muszę widzieć.

Usłyszał szelest jej sukni, zapach różanych perfum stał się intensywny. Była blisko. Działała mu na zmysły, lecz nie miał pewności dlaczego. Czy z powodu tajemnicy, którą kryła, czy dlatego że czuł się tak bardzo samotny?

Daphne bardzo chciała unikać towarzystwa Hugh Westleigha, ale Carter był zajęty wprowadzaniem w obowiązki nowego lokaja. Musiała sama się nim zająć. Miała zamiar zapytać go tylko, czy czegoś nie potrzebuje, i wyjść, ale wydał się jej taki samotny, że zrobiło się jej go żal.

- Niech pani posłucha, potrafię już zagrać gamę. - Zaczął od niewłaściwego klawisza. Dotknęła jego dłoni. Miał smukłe palce. Postawiła jeden na środkowym C.

- Niech pan spróbuje teraz.

Posłuchał i odwrócił ku niej uśmiechniętą twarz. Zaczerwieniła się i z ulgą pomyślała, to dobrze, że nie widział, jakie wrażenie wywarł na niej ten uśmiech. Sama była zdumiona. To się nie może powtórzyć, upomniała się w duchu.

- Gra pani na fortepianie? - zapytał. - Domyślam się, że tak.

Przypomniała sobie dzieciństwo i długie godziny ćwiczeń.

- Uczyłam się, oczywiście, ale nigdy nie osiągnęłam biegłości.

W odróżnieniu od jego siostry.

- Co to za melodia, którą pan odgrywał, kiedy weszłam do pokoju? - zapytała. - Znam ją.

- To sygnał, jaki w wojsku trąbi się na koniec dnia. Niech pani coś zagra.

Daphne uzmysłowiła sobie, że nie siedziała przy fortepianie od śmierci męża. Nie miała ochoty grać i teraz, ale nie umiała odmówić. Usiadła obok niego i zagrała pierwszą lepszą melodię, która przyszła jej na myśl.

- Kompromitacja, prawda? - Zdjęła dłonie z klawiatury.

- Wcale nie. - Sięgnął po jej dłonie. - Z tą melodią wiążą się moje wspomnienia. Siostra grała ją tak często, że zatykałem uszy, żeby jej nie słuchać.

- Pańska siostra? - Daphne wyrwała mu swoje dłonie.

- Lady Phillipa. Fortepian był czymś najważniejszym w jej życiu do czasu, aż poznała męża.

- Och! - Mimo wszystko rok spędzony w klasztorze zrobił swoje. Ból nie był już tak silny jak kiedyś. Dojdiesz do siebie, zapewniała opatka, i chyba miała rację. Daphne zrobiła duży postęp.

- Proszę grać dalej.

Zagrała starą balladę *Barbara Allen*, a on zawtórował jej śpiewem. Miał przyjemny dla ucha baryton.

W miasteczku Scarlet, gdzie ujrzał świat,

Widziałem pięknych dziewcząt kwiat.

Lecz cóż poradzę, że tylko ona -

Barbara Allen - to ma wyśniona.

Po trzeciej zwrotce głos odmówił mu posłuszeństwa.

- Teraz ja się kompromituję.

- Przeciwnie! Wciąż boli pana gardło? - zmartwiła się.

- Przyjmijmy to za wymówkę. - Odkaslnął.

- Przepraszam. - Przypomniała sobie, po co przyszła. - Miałam pana zapytać, czy nie przynieść panu czegoś do picia.

- Wody, jeśli byłaby pani tak miła. - Ponownie odkaslnął.

- Proszę poczekać. - Wstała z taboretu i wybiegła z pokoju.

Niech to diabli! - zaklął w duchu. Wygnał ją swoim śpiewem. Ile razy zaczynała nawiązywać się między nimi nic porozumienia, coś ją od niego odpychało. A tak było przyjemnie siedzieć koło niej, gdy grała, i od czasu do czasu wymieniać niezobowiązujące uwagi. Czas nie dłużył się tak nieznośnie.

Jednym palcem wystukiwał kolejne dźwięki ballady, nie zawsze trafiając we właściwe klawisze.

- Pomyślałam, że chętnie napije się pan lemoniady. - Wróciła.

- Niech pani posłucha. - Wystukał przeciwioną podczas jej nieobecności melodię.

- *Barbara Allen*? - zapytała niepewnie.

- Tak! - Ucieszył się, że rozpoznała utwór. - Dziękuję za lemoniadę. - Wyciągnął dłoń w kierunku, w którym, jak się domyślał, stała. Podała mu szklanę. Wypił całą zawartość duszkiem.

- Bardzo pan spragniony. Powinam zapytać wcześniej, czy nie przynieść panu czegoś do picia.

- Niech pani nie czyni sobie wyrzutów. Potrafię poprosić, jeśli czegoś potrzebuję. - To było oczywiste kłamstwo.

- Naturalnie. - Znowu przybrała ten nieznośny ton guwernantki. - Proszę zatem powiedzieć, czego jeszcze panu potrzeba, zanim wyjdę.

Chce wyjść? A on liczył na to, że w jej towarzystwie szybciej upłynie mu czas. Nigdy nie lubił grymasić, co wcale nie oznaczało, że nie potrafił być egocentryczny.

- Potrzeba mi pani towarzystwa.

- Mojego towarzystwa? Po co? - Usłyszał w jej głosie leciutkie drzenie.

- Chciałbym wyjść na dwór. - Czekał na jej reakcję, ale nie odezwała się. - Chcę rozprostować nogi i poczuć słońce na twarzy. - Nadal milczała. - Jeśli nie może mi pani towarzyszyć, to może przyśle pani służącego, który pójdzie ze mną.

- Pójdę z panem - powiedziała tak, jakby była to dla niej jakaś uciążliwość. - Niech pan zaczeka. Wezmę kapelusz i szal.

Powinien jej powiedzieć, by wróciła do swoich obowiązków; że on zabawi się w inny sposób, ale z nią czas upływał znacznie szybciej. Poza tym lubił wyzwania, a w tej chwili wyzwaniem było odkrycie tajemnicy, jaką w jego odczuciu nosiła. Chyba że uznałby za wyzwanie ślepotę... ale tego nie chciał czynić. Ślepotą jest tymczasową niedogodnością. Za niecałe dwa tygodnie będzie widział. Nie może być inaczej.

Daphne pospieszyła do pokoju służących, gdzie Monette brała miarę na nowe sukienki dla Mary i Ann. Daphne obiecała pomóc.

- O, jest już pani - ucieszyła się Monette. - Właśnie zabieram się do krojenia materiału.

Monette sama szyła sobie suknie wzorowane na strojach Daphne.

- Nie na wiele się wam przydam - powiedziała. - Muszę dotrzymać towarzystwa panu Westleighowi. On chce wyjść na spacer.

- Nic nie szkodzi, proszę pani. Zajmiemy się szyciem w wolnych chwilach, kiedy

zrobimy wszystko, co do nas należy - zapewniła Mary za siebie i siostrę.

- Dobrze. Dołączę do was później.

Daphne nigdy nie zastanawiała się, ile pracy ma służba, a teraz przyszło jej do głowy, że szycie sukienek i wykonywanie wszystkich codziennych prac to za wiele dla tych dwóch dziewcząt.

- Dzisiaj zajmijcie się tylko szyciem - zaproponowała. - Sprząatanie i inne prace odłóżcie na jutro.

Pospieszyła do sypialni po kapelusz i szal, a także wstąpiła do pokoju Westleigha po jego kapelusz. Zastała tam Cartera i nowego lokaja, którego Carter wprowadzał w obowiązki.

- Zabieram pana Westleigha na spacer. Podasz mi jego kapelusz i rękawiczki? - spytała Cartera.

- Nie widziałem, by je miał, mil... proszę pani. Musiał je utracić w pożarze.

- Warto, by jeden z was wybrał się do miasteczka i kupił mu coś odpowiedniego.

- Zajmiemy się tym - zapewnił starszy lokaj. - Tymczasem mam coś, o co mnie prosił pan Westleigh. - Wyjął z kąta drewnianą laskę.

- Prosił o laskę? - zdziwiła się Daphne.

- Powiedział, że ułatwi mu chodzenie.

- Zaniosę mu ją.

Na schodach zatrzymała się. Co się stało z jej postanowieniem unikania towarzystwa Hugh? Mogła przecież poprosić Cartera, by poszedł z nim na spacer...

Bądź zawsze szczerą, zwłaszcza wobec siebie samej, przypomniawszy sobie nauki opatki. Dobrze, będzie szczerą, pomyślała i od razu stwierdziła, że jest jej przyjemnie w towarzystwie Westleigha. Nawet więcej. Przy nim budzą się do życia jej zmysły, a nigdy czegoś podobnego wcześniej nie doświadczyła.

To stwarzało dodatkowy powód, dla którego powinna go unikać. Byłoby źle, gdyby dowiedział się, kim ona jest naprawdę, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby dowiedział się, że nie jest jej obojętny.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Niestety, nie przyniosłam panu ani kapelusza, ani rękawiczek.

- Żaden kłopot! Obejdę się bez nich.

- Nie pomyśleliśmy o tym. Przepadły w pożarze.

Wraz ze wzrokiem, pomyślał posępnie Hugh.

- Mniejsza o kapelusz i rękawiczki. Chodźmy - zniecierpliwił się.

- Mam dla pana laskę. Dał mi ją Carter.

- Poczciwy gość! Muszę mu podziękować. Odzyskam choć część samodzielności.

- Musi być panu bardzo trudno nic nie widzieć... - urwała, bo zawiódł ją głos.

- Nie tak bardzo. - Wyciągnął ku niej ramię. - Proszę mnie poprowadzić.

Wyszli przez frontowe drzwi.

- Uwaga na stopień.

Poczuł bruk pod stopami i zdziwił się, jak niepewnie stawia kroki, kiedy nie wie, co napotka na drodze. Wsunął do przodu laskę i zbadał przestrzeń przed sobą. Daphne nie odstępowała go i, ku jego zaskoczeniu, wystarczyło to, aby poprawił mu się humor.

Chłodne powietrze orzeźwiało. W tak piękny dzień nie było miejsca na dąsy. Należało się cieszyć zapachem kwiatów, wilgotnej ziemi i trawy.

- Proszę mi mówić, co jest na drodze.

- Ścieżka. Proszę się nie obawiać. Nie potknie się pan, jest równo - zapewniła.

- Nie chodzi o to. Skoro nie widzę, chciałbym sobie wyobrazić, co mijamy. Czuję zapach stajni... Musi być blisko.

- Tak, stajnia jest po lewej stronie, jakieś sto kroków od nas. Ścieżka prowadzi do drogi, a stajnia jest właśnie przy drodze. Wiedzie ona koło kępy drzew i pola. Łączy się z szerszym gościńcem, którym można dotrzeć do miasteczka milę lub dwie dalej. Nad dachami okolicznych domostw góruje wieża kościelna.

Opis pasowałby do wielu miejsc, ale kiedy tylko wyobraził sobie ten widok, poczuł się pewniej.

- A jak wygląda stajnia? - zapytał.

- Jest bielona tak jak nasz dom. - Odwróciła się, jak gdyby chciała sprawdzić, czy nie mija się z prawdą. - Chce pan przejść się drogą?

- Chętnie, dziękuję.

Nie posuwali się zbyt szybko. Hugh był uzależniony od pomocy pani Asher bardziej, niż przypuszczał. Nie rozmawiali; ciszę przerywały tylko pojedyncze ostrzeżenia przed kałużą czy kamieniem. Czuł się bezradny i z trudem ukrywał narastającą w nim frustrację. Zauważyła to i podjęła rozmowę, żeby rozładować napięcie.

- Proszę opowiedzieć o swojej rodzinie, do której zabronił mi pan napisać.

- Jest wspianała. Mój ojciec był niechlubnym wyjątkiem.

- Dlaczego więc nie życzył pan sobie, żebym się z nimi skontaktowała?

Zmarszczył z niezadowoleniem brwi. Dlaczego pyta?

- Ponieważ przybiegliby na pomoc.

- I co w tym złego?

- Nic, ale... - Urwał, aby po chwili kontynuować wyjaśnienia: - Matka traktowała by mnie jak dziecko i próbowałaby we wszystkim mnie wyręczać. - Hugh nie wspomniał o stale obecnym u boku matki, zakochanym w niej generale Hensenie. - Mój brat Ned jako hrabia ma inne sprawy na głowie, musi przede wszystkim dbać o rodzinny majątek. Co gorsza, ożenił się z nierozgarniętą gąską, której towarzystwo na co dzień byłoby dla mnie mocno irytujące. - Hugh nie wspomniał o Rhysie, nieślubnym dziecku ojca. Nie miał prawa ani ochoty prosić Rhysa o cokolwiek. - Pozostaje jeszcze siostra...

- Siostra? - wtrąciła drżącym głosem, co od razu zauważył.

Zastanawiające, pomyślał.

- Phillipa potrafiłaby się mną zająć, jestem tego pewny. Ale wolałbym jej o to nie prosić. Ma dość obowiązków związanych z małym dzieckiem.

- Ma dziecko?

To pytanie na nowo obudziło w nim podejrzenie, że pani Asher pojechała na kontynent, żeby w sekrecie urodzić owoc romansu.

- Nie tak dawno powiła dziewczynkę.

- Musi być szczęśliwa - zauważyła ze smutkiem.

- Czy to dla pani przykry temat, pani Asher? - Otoczył ją ramieniem i poczuł, że zeszywniała.

- Nie. Dlaczego miałby być przykry?

Chciał zapytać, czy ma dzieci po zmarłym mężu. Jeśli nie, jej sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Bezdzienna wdowa zmuszona oddać nieślubne dziecko.

- A gdzie jest pani rodzina? Rodzice, siostry, bracia? Widuje ich pani?

- Nie mam żadnej rodziny.

Westchnął ciężko, żałując swej ciekawości.

- Przepraszam. Nie wiedziałem, że jest pani samotna.

- Nawykłam do tego... - Wzruszyła ramionami. - Rodzice zmarli wiele lat temu. Mąż również. Nie mam nikogo.

- Dawno temu? Dlaczego chce pani sprawiać wrażenie starszej damy? - Był przekonany, że jest młoda.

- Jestem stara - odparła z przekonaniem.

- Nie wierzę. - Zatrzymał się.

- Ale to prawda.

Powiesił laskę na ramieniu, wyciągnął dłonie ku jej twarzy i przesunął palcami po policzkach. Skórę miała gładką i jędrną; szeroko rozstawione kości policzkowe, duże oczy, wyrazisty podbródek. Kiedy delikatnie musnął kciukiem pełne usta, głośno zaczerpnęła powietrza.

Zalała go niespodziewana fala pożądania. Przybliżył się do niej i poczuł, że drży. Naraz opanował się i lekko cofnął.

- Nie jest pani stara, teraz mogę to powiedzieć z całą pewnością.

- Ależ jestem. Mam trzydzieści dwa lata.

Był zatem o rok od niej starszy. Oboje mieli swą młodość za sobą, ale zasługiwali co najwyżej na określenie „dojrzały”. Z drugiej strony Hugh musiał przyznać, że i on niekiedy czuje brzemię czasu.

- Ile miała pani lat, gdy umarli pani rodzice? - zapytał.

Nie tak powinna wyglądać rozmowa dżentelmena z damą, ale wolał rozmawiać o sprawach poważnych, nie o pogodzie czy lokalnych plotkach.

- Osiemnaście. Byłam od niecałego roku mężatką.

- Wyszła pani za mąż dość młodo.

- Mimo to rodzice nie zdążyli nacieszyć się w pełni swoim triumfem.

- Triumfem?

- Mój mąż - wyjaśniła po chwili milczenia - był bogatym człowiekiem. Zrobiłam bardzo dobrą partię...

- Zastanawiam się, czy kiedykolwiek o nim słyszałem. - Zaczął podejrzewać, że mąż pani Asher nie należał do towarzystwa albo Hugh był tak zajęty na wojnie, że nie śledził wieści z wielkiego świata.

- Nie bywaliśmy za często w mieście. Mąż wolał wiejskie życie.

- Proszę mi o nim opowiedzieć.

Nie podjęła wątku od razu, jakby zastanawiała się, czy może mówić szczerze z obcym człowiekiem.

- Mąż był bardzo dla mnie dobry. Zależało mu na moim szczęściu. Dawał mi wszystko, czego pragnęłam, jeśli to leżało w jego mocy...

Wszystko z wyjątkiem dziecka, dodał w myślach. Rhys i Phillipa byli w siódmym niebie, kiedy zostali rodzicami. Hugh wiedział, że żona Neda wręcz obsesyjnie pragnie potomstwa.

- Nigdy mnie pani nie zapytała, czy jestem żonaty - postarał się, żeby nie zabrzmiało to jak pretensja.

- Wiem, że nie jest pan żonaty - rzuciła po przejściu kilku kroków.

- Skąd? - zapytał zdziwiony.

Znowu nie odpowiedziała od razu.

- Lubiłam czytać kronikę towarzyską. Ślub syna lorda Westleigh nie uszedłby mojej uwagi.

Wyjaśnienie było logiczne. Mimo to Hugh nie wyzbył się przekonania, że ona coś przed nim ukrywa.

O Boże! Czyżby...

- Znała pani mojego ojca, pani Asher?

Daphne poczuła przyspieszone bicie serca. Zadawał zbyt wiele pytań. Był podejrzliwy, ale musiała też przyznać, że właściwie miał do tego prawo. W końcu go oszukiwała.

- Nie, nie znałam pańskiego ojca - odpowiedziała i była to prawda. Może spotkała go raz czy dwa na początku swojego małżeństwa, kiedy Faville przywiózł ją do Londynu w czasie sezonu towarzyskiego. Nie potrafiła go sobie jednak przypomnieć.

- To dobrze, bo przez moment bałam się, że mógł panią wykorzystać. Był zdolny do wszelkiej niegodziwości.

- Czytałam o nim w gazetach. A przynajmniej tak mi się wydaje. - Gazety nigdy nie podawały pełnych nazwisk.

Minęli stajnie i dwa inne pomniejsze budynki, których przeznaczenia Daphne nie знаła. Wzdłuż drogi rosły żywopłoty pokryte świeżą zielenią. Na łąkach kwitły jaskry i fiołki. Czy powinna opisywać piękno otoczenia? Czy byłoby mu przykro słu-

chać o tym, czego nie może zobaczyć?

- Nie wspomniała pani, jak dawno umarł jej mąż - odezwał się, jako pierwszy przerywając ciszę.

Dlaczego nie przestaje jej indagować? Skąd bierze się jego ciekawość?

- Ponad trzy lata temu - odparła po chwili.

- Tylko trzy? Wydawało mi się że mówiła pani, że było to dawno.

- Bardzo wiele zmieniło się w moim życiu od tamtej pory.

- Jak doszło do śmierci pani męża? - zapytał.

- Spadł z konia.

Lord Faville autentycznie ją kochał, a ona dopiero w opactwie zrozumiała, że był mężczyzną z krwi i kości, który miał swoje potrzeby i był spragniony uczuć. Dawała z siebie o wiele mniej, niż na to zasługiwał. Miała głowę zajętą fantazjami na temat Xaviera Campiona, męża siostry Westleigha.

Powinna to wyznać Hugh, ale obawiała się, że ją znienawidzi i potępi tak, jak sama siebie potępiała. Wtedy na pewno odrzuci jej pomoc i będzie skazany na swoją rodzinę...

- Dlaczego pan się nie ożenił, Westleigh? - zapytała znienacka, jej głos mimowolnie przybrał zalotny ton. Kiedyś uchodziła za mistrzynię niezobowiązującej, lekkiej konwersacji.

- Walczyłem z Napoleonem - odpowiedział żartobliwym tonem. - Nie miałem czasu na amory.

- Ale wojna już dawno się skończyła.

- Opuściłem armię dopiero trzy lata po wojnie. A wtedy mój brat odkrył, że ojciec doprowadził rodzinę na skraj bankructwa. To nie zwiększało moich szans na dobry ożenek, zwłaszcza jako młodszemu synowi.

Daphne nie miała pojęcia o trudnościach finansowych Westleighów.

- Bankructwa?

- O mały włos wszystkiego nie straciliśmy. Fale rzeki Tick pluskały nam u stóp^[1]. Wierzyście mogli lada dzień zapukać do naszych drzwi. - Potknął się, gdyż nie uprzedziła go o kamieniu na drodze. Chwyliła go mocniej za ramię, żeby nie upadł.

- Powinniśmy wracać. - Doszli do miejsca, w którym droga łączyła się z gościńcem do Thurnfield. Daphne porzuciła zalotny ton, szczerze zainteresowana. - Powiedział pan, że groziła wam utrata wszystkich pieniędzy. Nie utraciliście ich więc?

- Zebraliśmy wszystko, co mieliśmy, do ostatniego funta, i przekonaliśmy przyrodniego brata, aby w naszym imieniu otworzył dom gry. Na imię ma Rhysdale i wpadł na genialny pomysł. Otworzył klub i nazwał Maskarada. Jego drzwi są otwarte również dla kobiet z towarzystwa, które dla zachowania tożsamości mogą odwiedzać klub w maskach. Miejsce szybko zyskało popularność zwłaszcza wśród dam, które mogły grać bez obawy o utratę reputacji.

Daphne poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Jak mogła chodzić do Maskarady i nie wiedzieć, że klub był związany z Westleighami?!

- Czy... czy inwestycja okazała się udana? - Nie musiała o to pytać, była o tym przekonana. Kiedy odwiedzała Maskaradę, widziała, o jak wysokie stawki grano.

- Ponad wszelkie wyobrażenia - odpowiedział. - Majątek rodziny został uratowany i wciąż się powiększa.

Daphne nigdy nie grała o duże stawki. Była zanadto zajęta uwodzeniem Xaviera Campiona, którego chciała uczynić swoim kochankiem. Wmawiała mu, że ją kocha, nie wiedząc, że jego serce należy już do innej.

Poznała go na balu, kiedy miała dwadzieścia lat. Był pięknym mężczyzną niczym ożywiona rzeźba Fidiasza. Co więcej, jego ciemne włosy i śniada karnacja doskonale kontrastowały z jej delikatną urodą. Jego hipnotyzujące oczy miały dokładnie taką samą barwę jak jej niebieskie tęczęwki. Uważała, że są dla siebie przeznaczeni, idealna para pięknych kochanków.

Mąż zauważył jej zauroczenie i wywiózł ją z miasta, zanim cokolwiek między nimi zaszło. Daphne jednak nie przestała o nim marzyć. Nawet po dziesięciu długich latach.

Odetchnęła głębiej i odeгнаła wspomnienia. Czas było wrócić do rzeczywistości.

- Czy pański przyrodni brat nadal prowadzi ów dom gry? - zapytała, podtrzymując rozmowę.

- Tak.

Oczywiście Daphne słyszała o Rhysdale'u. Xavier przyjaźnił się z nim i zastępował go w Maskaradzie pod jego nieobecność. Ciekawe, czy wiedział, że Rhysdale jest przyrodnim bratem Westleighów? Spojrzała na mężczyznę u swojego boku, który wydawał się zatopiony w myślach.

- Z całej naszej rodziny Rhys jest najwartościowszy. On i Phillipa. Zrozumiałem to jednak dopiero niedawno.

Phillipa z pewnością, pomyślała Daphne przekonana, że nie może się z nią równać.

- Rhys jest nieślubnym synem naszego ojca. Wzrastałem w nienawiści do niego, ale on nas uratował, mimo że miał dobre powody, by tego nie robić.

- A teraz? Pana uczucia względem niego się zmieniły?

- Mam dla niego wiele podziwu. Wstydzę się swojego postępowania i żałuję, że źle go traktowałem.

- Przeszłości nie da się wymazać, ale można wyciągnąć z niej naukę. Liczy się terazniejszość - powiedziała sentencjonalnie.

- O tak, ja wyciągnąłem z tego naukę - przyznał. - Jednak nie spodziewam się, żeby Rhys zmienił zdanie na mój temat. Zawarliśmy swojego rodzaju rozejm. Na więcej i tak nie zasługuję. W dzieciństwie byłem dla niego okropny. Prowokowałem go do bójek... Uwielbiałem walkę na pięści... Obawiam się jednak, że wciąż jestem zadziorny.

- Lubi pan walkę na pięści?

- Nie unikałbym okazji, gdyby się trafiła... No, no, wyciągnęła mnie pani na zwierzenia. Jak tak dalej pójdzie, pozna pani wszystkie grzechy mojej młodości.

- Nie sądzę, by nasz spacer był wystarczająco długi.

Roześmiał się szczerze.

- Trzeba by na to przynajmniej dwóch tygodni mojej rekonwalescencji. Niech się pani nie obawia. Nie będę narzucał pani swojego towarzystwa...

Daphne paliły policzki. Rozmowa nabierała intymnego charakteru. Milczała jednak, ciesząc się, że nie może zobaczyć, że się zaczerwieniła.

- Teraz pani kolej - powiedział po chwili, przerywając ciszę.

- Moja?

- Na wyznanie grzechów... Chyba że zawsze była pani świętoszkiem.

Z całą pewnością nie byłam, pomyślała.

- Miałam swoje za uszami. Nie uchodziłam za zbyt mądrą.

- Nie wierzę.

- Z lekcjami dawałam sobie radę, ale często zapominałam prosto usiąść czy uśmiechnąć się... tego rodzaju rzeczy.

- Znowu pani żartuje?

- Nie.

Matka często ją karciała i ciągle strofowała: „stój prosto, nie chodź dużymi krokami, uśmiechaj się, więcej gracji, kiedy nalewasz herbatę, rozmawiając z dżentelmenem skłaniaj ku niemu głowę. Musisz być piękna i mieć ujmujące maniery”. Daphne ćwiczyła i powtarzała te nakazy, aż stały się jej drugą naturą. Już podczas pierwszego sezonu zaręczyła się z wicehrabią Faville.

Daphne nie chciała zdradzać Westleighowi, że zachowania, które dżentelmenowi mogą się wydawać u kobiety naturalne, są rezultatem „tresury”.

- Wcale nie żartuję - dodała, widząc jego rozbawione spojrzenie.

- Nie wątpię, że wychowanie chłopców różni się bardzo od wychowania dziewcząt.

- Przecież ma pan siostrę! - Phillipa Westleigh musiała przejść tę samą szkołę.

- Byłem od niej znacznie starszy, nie zwracałem na nią uwagi. Jej wychowanie musiało być jednak inne. W dzieciństwie jej twarz oszpeciła straszna blizna... która rzutowała na całe jej życie.

Daphne przypomniała sobie, jak okrutne słowa skierowała do Phillipy w Maskaradzie, i zawstydzila się. Dopiero niedawno zrozumiała, co to znaczy żyć z takim piętnem.

- Musiało być jej trudno.

- Zapewne. W pewnym sensie jednak ta ułomność dała jej wolność.

- Wolność? - Daphne zdziwiła się.

- Nie oczekiwano od niej zachowania właściwego córce hrabiego i mogła się poświęcić muzyce. Jest nie tylko wspaniałą pianistką, ale też sama tworzy... Czy pani wie, że jej kompozycje były wykonywane w Vauxhall i innych miejscach?

Daphne nie wiedziała.

- Jest pan bardzo dumny ze swojej siostry - zauważyła i w tej samej chwili poczuła ukłucie zazdrości. Sama nie osiągnęła niczego, czym mogłaby konkurować z Phillipą.

- Owszem. Ona robi to, co lubi, nie zważając na opinię innych. Ja też będę tak postępował, kiedy pozbędę się bandaży.

- Zacznie pan podróżować, czy tak? - pamiętała, że mówił o tym podczas kolacji.

- Tak.

Wszystko zależy od tego, czy odzyska wzrok.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po powrocie do domu Hugh zwolnił panią Asher z obowiązku dotrzymywania mu towarzystwa i poprosił o pomoc lokaja. Chciał obejść cały dom. Jeśli zapamięta rozkład pokoi, będzie mógł poruszać się samodzielnie, nie odrywać służby od ich obowiązków i nie narzucać się pani Asher, chociaż najchętniej spędzały z nią każdą sekundę dnia... i nocy.

Do jego dyspozycji oddelegowano Tollera, nowego lokaja. Był pogodnym młodym człowiekiem, dość gadatliwym, i nie przeszkadzało mu, że po raz któryś przemierzał wraz z Hugh drogę z sypialni na piętrze do bawialni na parterze, a stamtąd do jadalni i z powrotem do sypialni. Zabawiał go opowiadaniem o swojej rodzinie, ludziach z miasteczka, służących i państwu Pitts.

- Monette jest naprawdę ładna. Nie pokazuje się za często w pomieszczeniach dla służby, ciągle towarzyszy swojej pani. Ona chyba nie jest dla mnie.

Według Tollera Monette była osobistą pokojową pani Asher, która przyjechała wraz z nią ze Szwajcarii i lokaj nic więcej o niej nie wiedział. Hugh nigdy nie miał z nią do czynienia i nie był jej ciekawy. Jedyne raz, kiedy ją widział, było to w gospodzie podczas pożaru.

- A co wiadomo o mężu pani Asher? - postarał się skierować lokaja na nieco ciekawszy temat.

- Nic mi o nim nie wiadomo - odpowiedział chłopak.

- Przybyłeś do Thurnfield po jego śmierci?

- Mieszkam w Thurnfield od urodzenia. Wiem o miejscowych ludziach wszystko.

- Skoro tak, dlaczego nie wiesz nic o panu Asherze?

- Skąd mógłbym wiedzieć?!

- Pan Asher tu nie mieszkał?

- W Thurnfield? Nie, nigdy.

Czyżby pani Asher żyła w separacji z mężem?

- Jak długo pani Asher tu mieszka?

- Jakies trzy dni.

Trzy dni - czyżby się przesłyszał?

- Przyjechała do miasteczka i wypytywała, czy nie znalazłby się ktoś, kto chciałby się panem zaopiekować, albo czy nie znalazłoby się miejsce, w którym ona mogłaby się zatrzymać, by zająć się panem. Gospoda była pełna przyjezdnych z Ramsgate z powodu pożaru. Czy to aby nie wtedy pan doznał obrażeń? - Nie czekając na odpowiedź, Toller ciągnął: - Okazało się, że nikt nie chciał zobowiązać się do opieki, nie wiedząc, czy dostanie za to zapłatę, no a pan nie był zdolny do dalszej podróży. Pani Asher wynajęła ten dom. Poprzednio mieszkał tu kapitan marynarki wojennej z żoną. Wyprowadzili się miesiąc wcześniej. Od tamtej pory dom stał pusty.

Znajdowali się ponownie na schodach. Hugh oparł się o balustradę.

- Mówisz, że pani Asher przejeżdżała przez wasze miasteczko? Nie zamierzała się tu zatrzymać?

- Nie wiem na pewno, ale pan Brill, który wynajmował jej dom, mówił, że ona

chciała się zatrzymać tylko na dwa tygodnie, ale on nie chciał wynajmować domu na taki krótki okres, więc zapłaciła za trzy miesiące.

Dlaczego to przed nim ukryła? Dlaczego zapewniała go, że tu mieszka?

- Wracajmy do mojego pokoju - powiedział Hugh do lokaja. - Będiesz mógł przestać mnie niańczyć.

Poruszał się po schodach z dużo większą pewnością niż przedtem, zanim przećwiczyl tę drogę z Tollerem. Nauczył się też robić użytek z laski. W sypialni podziękował służącemu.

- Spisałeś się, Toller. Bez ciebie nie poradziłbym sobie. Jestem ci wdzięczny za pomoc.

Obiecał sobie, że przed wyjazdem hojnie go wynagrodzi. Tak jak i pozostałych służących, albowiem okazało się, że zostali wynajęci tylko dla niego. Ciekawiło go, dlaczego pani Asher ukrywa przed nim prawdę i gdzie naprawdę mieszka.

Był niemal pewny, że nie ma złych intencji i nie zależy jej na jego pieniądzach, bowiem jest zamożna. Nie rozumiał jednak, dlaczego sama się nim opiekuje zamiast powierzyć ten obowiązek służbie i odjechać w swoją stronę.

Pani Asher pozostawała dla niego zagadką. Intrygowała go również z innego powodu. Jej melodyjny głos, zapach różanych perfum czy dotyk delikatnych dłoni silnie działały mu na zmysły.

Pragnął ją zobaczyć, poznać, odkryć, co przed nim tak starannie ukrywa. Chciałby dowiedzieć się czegoś o jej życiu, o mężu; spytać, czy go kochała, czy był dla niej dobry, czy oprócz niego byli w jej życiu inni mężczyźni... I dlaczego samotnie podróżowała po kontynencie? Czy miał rację, kiedy myślał, że ukrywała się, żeby urodzić dziecko?

Prawdopodobnie nie powinien interesować się jej osobistymi sprawami, ale doszedł do przekonania, że fakt, że zadała sobie tyle trudu, by się nim zaopiekować, i w związku z tym naraziła się na poważne wydatki, upoważnia go do postawienia pytania. Postanowił, że zada je jeszcze tego samego wieczoru.

Pod koniec dnia Daphne zastała Westleigha w bawialni i tak jak poprzedniego dnia poczęstowała go winem. Był zamyślony. Nie podejmował rozmowy, na jej uwagi odpowiadał lakonicznie, ale chętnie przyjął drugi kieliszek wina. Mimowolnie zaczęła zastanawiać się, co wpłynęło na zmianę jego zachowania.

W końcu Carter zakomunikował, że podano do stołu. Westleigh wziął do ręki laskę i wstał.

- Czy mogę służyć pani ramieniem w drodze do jadalni?

Co to miało znaczyć? Poprzedniego wieczoru to ona musiała go prowadzić. Na dodatek pytanie brzmiało jak rozkaz, nie jak zaproszenie. Wsunęła mu dłoń pod ramię. Ruszył pewnie w kierunku drzwi, lecz przeliczył się. Gdyby nie Daphne, wpadliby na ścianę.

- Dziękuję - powiedział z uśmiechem. - Jutro lepiej się spiszę.

- Doskonale się pan spisuje - odparła łagodząco.

W jadalni nieomylnie trafił do stołu i podał jej krzesło.

- Poprosiłem Tollera, żeby mnie oprowadził po domu. Powtarzaliśmy obchód kilkakrotnie, tak długo, aż zapamiętałem rozkład pokoiów i przestałem wpadać na me-

ble.

- Bardzo to rozsądne z pana strony.
- Nie musi pani tego robić - obruszył się.
- Czego?
- Przemawiać do mnie jak guwernantka.
- Czy tak właśnie przemawiam? - zaniepokoiła się.
- Tak. Często przybiera pani taki ton, jakby mówiła pani do chłopca w wieku szkolnym.
- Nie wiedziałam... w taki sposób właśnie mówię.
- Nie zawsze.

Przerwali, bo do jadalni weszli lokaje, żeby podać zupę. Westleigh zanurzył łyżkę w talerzu i uniósł ją do ust, nie roniąc ani kropli. Daphne patrzyła w milczeniu. Jego wysiłek, żeby jeść normalnie, był ujmujący. Następnie podano pieczone, które ze względu na Westleigha zostało uprzednio pokrojone.

- Kawałek przepiórki? - zapytał Carter.

Westleigh skinął głową. Lokaj nałożył mu porcję mięsa, kilka pieczonych ziemniaków i racuszków z brzoskwini. Kiedy służący opuścili jadalnię, Daphne biła się z myślami. Nie była pewna, czy będzie nietaktem zapytać Westleigha wprost, co spowodowało zmianę w jego zachowaniu.

- Panie Westleigh, co pana gnębi? - zapytała wreszcie.

- Dlaczego myśli pani, że mnie coś gnębi? - zwrócił twarz w jej stronę, jak gdyby mógł ją zobaczyć.

Pokiwała głową, lecz przypomniała sobie, że tego nie widzi.

- Jest pan w innym nastroju niż przed południem, kiedy tak miło nam się spacerowało.

W milczeniu uniósł do ust widelec z kawałkiem mięsa. Przeżuwał je tak energicznie, że aż grały mu mięśnie szyi.

- Nie chciałbym przysparzać pani więcej kłopotów swoją osobą - powiedział w końcu.

- Nie uskarżam się na kłopoty, proszę mi wierzyć - odparła starannie modulowanym głosem, żeby nie zauważył jej napięcia.

Wykrzywił niedowierzająco usta. Daphne zacisnęła dłoń na nóżce kieliszka z winem. Niestety, nagle otworzyły się drzwi i weszli Carter z Tollerem, by uprzątnąć talerze.

- Dokończymy później - powiedział Westleigh tak cicho, że ledwo usłyszała.

Daphne poprosiła Cartera o podanie brandy dla Westleigha i owoców oraz herbaty w bawialni. Wstała, Westleigh również. Chwycił laskę i zaoferował jej ramię.

- Czy ta laska panu pomaga? - zapytała najbardziej obojętnym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć, gdyż czuła, że powinna coś powiedzieć.

- Owszem - odparł równie obojętnie. - Daje mi poczucie pewności... choć wiem, że jest złudne.

- Lepsze takie niż żadne. - Wyrażanie zgodnej opinii z mężczyzną było odruchem nabytym przez Daphne w toku wychowania. W tym przypadku jednak powiedziała to, co myślała.

- Ileż w pani rozsądku - zauważył zgryźliwie, imitując jej ton.

W drodze z jadalni do bawialni udało mu się uniknąć ściany.

- Naprawdę tak mnie pan odbiera?

- Przesadziłem - przyznał łagodniej. - Proszę nie zwracać na mnie uwagi. Jestem w nie najlepszym nastroju.

W bawialni karafka z brandy i dwa kieliszki stały już na stole. Daphne podziękowała Tollerowi.

- Niech pan siada, naleję panu brandy - powiedziała do Westleigha.

Podawała mu kieliszek i spojrzała na drugiego. Dlaczego nie miałyby się napić i ona? Kobiety piły brandy w Maskaradzie, przypomniała sobie, naląła solidną porcję i wypila jednym haustem. Opanowała odruch kaszlu i na wszelki wypadek głośno napełniła filiżanki herbatą z czajnika.

- Cały czas się zastanawiam - odezwał się - dlaczego pani nie chce, bym dowiedział się prawdy.

Daphne zbladła.

- N-n-nie wiem, o co panu chodzi. - Rzeczywiście nie wiedziała, co może mieć na myśli. Miała jedynie nadzieję, że jego przytyk dotyczy jej tożsamości. Dlatego postanowiła nadal grać.

- Dzisiaj dowiedziałem się czegoś, co jak sądzę, próbowała pani przede mną ukryć.

Daphne odetchnęła z ulgą. Upiła kolejny łyk brandy i tym razem poczuła jej dobroczynne, rozgrzewające działanie. Tylko Monette, Carter i stangret wiedzieli, kim ona jest. A na ich dyskrecji mogła polegać.

- Cóż, panie Westleigh - postarała się o swobodny ton - przegrałam. Jakąż to prawdę przed panem ukrywam?

- To z mojego powodu wynajęła pani ten dom na trzy miesiące, tymczasem sprawiała pani wrażenie, że tu mieszka na stałe.

- Naprawdę? - dzięki brandy poczuła się wyjątkowo swobodnie. - Zupełnie nieświadomie sprawiałam takie wrażenie, proszę mi wierzyć.

- Bardzo panią proszę, rozmawiajmy szczerze. Dlaczego zadała pani sobie tyle trudu i naraziła się na wydatki, żeby mi pomóc? Wywiozła mnie pani z Ramsgate, wynajęła dom i zatrudniła służbę...

Patrzyła na niego, rozważając, ile prawdy mu odsłonić. Dopiła pozostałą w kieliszku brandy i zaśmiała się.

- Zapewniam pana, nie planowałam tego. Myślałam, że znajdę kogoś w Ramsgate, kto się panem zaopiekuje, ale kiedy to się nie udało, postanowiłam zatroszczyć się o pana sama. Niech mi pan wierzy, pieniądze są w tej sprawie najmniej ważne. Nie jestem pod presją czasu, nikt na mnie, tak jak na pana, nie czeka. Dwa tygodnie zwłoki są dla mnie bez znaczenia.

- A zatrudnienie służby...

- Nie zatrudniłam ich ze względu na pana. Sądzę, że poradzilibyśmy sobie z Monette, Carterem i państwem Pitts. Ci nowi... cóż, potrzebowali pracy.

- Zatrudniła ich pani, chociaż ich pani nie potrzebuje? - zdziwił się.

- Mary i Ann, te dziewczyny, były nędznie ubrane i głodne, a dla mnie to drobiazg. Pani Pitts z kolei powiedziała o bezrobotnej kucharce.

- A czy oni są świadomi, że zostali przyjęci tylko na trzy miesiące?

- Och... - Przewróciła oczami. - Czy ja wiem? Była mowa o wynagrodzeniu rocznym i sądzę, że tyle im zapłacę.

- Pani Asher! - odezwał się tonem nagany.

- To moje pieniądze, mogę je wydawać, jak zechcę.

- Czy ma pani kogoś, kto odpowiada za pani finanse? Płaci rachunki, wynagrodzenie dla służby?

Westchnęła. Kochany pan Everard. Powiadomiła go listownie o powrocie do Anglii i o postoju w Thurnfield.

- Tak. Mam bardzo kompetentnego człowieka. Zarządzał finansami mojego męża, a teraz pomaga mnie.

Wiedział wszystko o szaleństwach, których dopuszczała się wobec Xaviera i Philipa i zachował wobec niej pełną lojalność.

Westleigh wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Pani Asher, nie zgadzam się, by ktokolwiek płacił na zaspokajanie moich potrzeb. Nie podoba mi się, że nie podzieliła się pani ze mną tymi informacjami. Nie miałbym nic przeciwko gościnie pod pani dachem, lecz wynajęcie domu i służby wyłącznie z myślą o mnie to całkiem inna sprawa. Musi mi pani pozwolić pokryć te wydatki.

- Wynajęcie domu i służby nie ma nic wspólnego z panem - zaprotestowała.

- Nie zrobiłaby pani tego, gdybym nie potrzebował opieki. - Wrócił na miejsce i sięgnął po kieliszek. Wychylił go do dna, a Daphne napełniła go na nowo.

- Stawiam przed panem herbatniki i kandyzowane owoce. - Umieściła obok kieliszka niewielki talerzyk.

- Pokryję wszystkie koszty - odparł, ignorując tę informację. - Czynnosc i wynagrodzenie służby.

Ależ to śmieszne, pomyślała. Prawdopodobnie nie był tak bogaty jak ona, zwłaszcza po niepowodzeniach finansowych, jakie ostatnio dotknęły jego rodzinę, ale musiała przyjąć propozycję, aby nie urazić jego męskiej dumy. Czyżby uważał, że ciejszy się ona zbyt dużą niezależnością? Mężczyźni nie lubili kobiet manifestujących niezależność, wciąż słyszała to od matki.

- Zgoda, panie Westleigh. Proszę zatem opłacić dom i służbę. Podliczymy rachunki, a pan je ureguje.

- Dobrze.

Daphne nalala sobie odrobinę brandy i powoli ją sączyła.

- Nie musi pani dłużej ze mną zostawać - odezwał się po chwili milczenia.

- Życzy mi pan dobrej nocy?

- Nie. Miałem na myśli to, że pani i pani służący nie muszą dłużej się o mnie troszczyć. Może pani kontynuować swoją drogę. Skoro ja płacę za dom...

- Życzy pan sobie, bym wyjechała? - Na myśl, że chce się jej pozbyć, nieoczekiwanie poczuła napływające do oczu łzy.

- Nie mam prawa pani zatrzymywać. Przecież nie mogę płacić pani za opiekę.

- No pewnie, że pan nie może! - Co za niedorzeczność.

Chciała uczynić dla niego coś dobrego, bezinteresownie, aby choć w części odkupić dawne winy... I oto kiedy wyciągnęła do kogoś pomocną dłoń, została odtrącona.

Hugh również czuł niesmak. Mimo że nie była wobec niego szczerą, żałował, że

doprowadził ją do płaczu.

- Dlaczego pani to robi? Dlaczego zaopiekowała się mną pani? Nie tylko panią wyniosłem z pożaru...

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu nie mogłam pana zostawić. I ma pan rację. Opłaci pan Tollera, Mary, Ann i resztę. Będą się panem zajmować. Mnie pan nie potrzebuje. Wyjadę, jeśli pan sobie tego życzy.

Zrobiło mu się przykro. Jak obyłyby się bez jej towarzystwa w otaczających go ciemnościach? Jego świat się skurczył do najbliższego otoczenia, a ona wypełniała całą przestrzeń, która wokół niego pozostała. Te dwa tygodnie bez niej byłyby najgorszym doświadczeniem w całym jego życiu.

Czuł ponadto, że nie wszystko sobie jeszcze powiedzieli.

- Nie chcę, żeby pani wyjechała. Z drugiej strony, nie mogę pani prosić, by pani pozostała.

Usłyszał, że nalewa brandy do kieliszka. Nie jego kieliszka. Ile już tej brandy wypija? - zastanowił się.

- Dlaczego to wszystko ma być tak skomplikowane? - zapytała. - Gdybyśmy byli przyjaciółmi, przyjąłby pan moją pomoc bez zbędnych ceregieli.

- Gdybyśmy byli przyjaciółmi... - powtórzył. Wolał, jak się irtowała. Jej smutek niepokoił go. - Wobec tego zostanmy przyjaciółmi. Co stoi na przeszkodzie? Wiele nas łączy. Ja pomogłem pani wydostać się z płonącego budynku, pani pomaga mi dojść do zdrowia po obrażeniach, które odniosłem, ratując panią.

- Moglibyśmy się zaprzyjaźnić? - W jej głosie zabrzmiała rezygnacja, jakby przez całe życie nie miała nigdy żadnych przyjaciół.

- Oczywiście. Zostanie pani i będzie mi dotrzymywać towarzystwa. Jako przyjaciółka... i przewodniczka. Przyznam się, że czułbym się dużo pewniej, wiedząc, że troszczy się o mnie zaprzyjaźniona osoba.

- Tak... - odpowiedziała rozmarzonym głosem, ale zaraz dodała pewniej: - Dobrze, panie Westleigh. Zostanmy więc przyjaciółmi.

- Wypada teraz ustalić powód, dla którego możemy zwracać się do siebie po imieniu - zażartował.

Zachichotała, co szczerze go ucieszyło.

- Jak pan sobie życzy.

- Wobec tego będę od tej chwili Hugh, nie pan Westleigh. Zgoda?

- Hugh - powtórzyła. - A ja mam na imię Daphne.

- Daphne - wyszeptał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Daphne wstała, zachwiała się i trąciła tacę. Hugh usłyszał brzęczenie porcelany.

- Ojej! Straciłam równowagę!

Ku jej zaskoczeniu chwycił ją za ramię.

- Nie wypła pani za dużo brandy?

- Skąd pan wie, że piłam?

- Odkąd mam zabandażowane oczy, wyostrzyły mi się inne zmysły. Nalewanie brandy daje inny odgłos niż nalewanie herbaty, a poza tym brandy ma bardzo charakterystyczny zapach.

Hugh podejrzewał, że wypła co najmniej trzy kieliszki i najwidoczniej nie była przyzwyczajona do takich ilości alkoholu.

- Nie miałam chęci na herbatę - zaczęła się tłumaczyć lekko niewyraźnym głosem i spróbowała stanąć o własnych siłach, lecz znowu zachwiała się i opadła na niego. - Przepraszam... Chyba powinnam pójść do łóżka.

- Mam zawołać Cartera, żeby pani pomógł wejść na piętro?

- Wolałabym nie.

- Wobec tego ja panią zaprowadzę - odparł i roześmiał się. - Ślepy poprowadzi kulawego.

- Czyżbym się upła? Jak to się stało? Potrafię wypić sporo wina bez żadnych efektów.

- Brandy jest mocniejsza od wina. Nie wiedziała pani?

- Nigdy dotąd nie piłam brandy.

Dlaczego więc piła dzisiaj? - w jego głowie pojawiło się pytanie, kiedy ruszyli w stronę drzwi.

W holu szybko odnalazł schody. Zawiesił laskę na ramieniu i z jedną ręką na balustradzie, podtrzymując Daphne drugą, rozpoczął mozolną wędrówkę w górę. Zdała się na niego, a on czuł się w obowiązku jej nie zawieść. Na szczycie schodów przystanęli.

- Teraz dokąd? - zapytał. Nie odpowiedziała, więc potrząsnął nią delikatnie. - Daphne, gdzie jest twój pokój?

- Tam - odparła, machnąwszy ręką, jakby zapomniała, że Hugh nic nie widzi, po czym pociągnęła go we wskazanym kierunku. Nie miał pewności, czy nie wprowadzi go na jakiś mebel, ale po kilku sekundach zatrzymali się. - To tu.

- Nie będę ci już potrzebny, zostawiam cię - oświadczył.

Nie otworzyła drzwi do pokoju, tylko objęła go i położyła mu głowę na ramieniu.

- Jak przyjemnie - szepnęła z westchnieniem.

- Rzeczywiście, przyjemnie - powiedział i uwolnił się od jej ciężaru.

- Przyjemnie mieć przyjaciół...

Ciepło jej ciała, aromat róż, niski timbre głosu działały na Hugh odurzająco. W tym momencie nie w głowie mu była przyjaźń, lecz uczucie znacznie od niej gołętsze. Przez krótką chwilę zastanawiał się nawet, czy nie mogliby zostać kochankami, ale szybko odegnał tę myśl.

- A zatem życzę ci po przyjacielsku dobrej nocy.

Z tymi słowami oparł łaskę o ścianę, ujął w obie dłonie jej twarz, pochylił głowę i ustami odnalazł jej usta. Musnął je najpierw delikatnie, po czym pocałował tak, jak czyni to spragniony kobiety mężczyzna. Zarzuciła mu ramiona na szyję i poddała się pieścizocie.

Kiedy poczuł jej krągłości, zapomniał o przyzwoitości i ze śmiałością chwycił dłońmi jej pełne piersi. Zapragnął wziąć ją tu, w holu, opartą o drzwi do pokoju. Nie miał wątpliwości, że ona również tego chciała. Jej intencje były oczywiste.

- Daphne - wyszeptał chrapliwie, ale w tym samym momencie w korytarzu rozległy się kroki. Szybko odsunął się i dodał: - Pożegnajmy się, zanim zrobimy coś, czego jako para przyjaciół moglibyśmy żałować.

- Ja niczego nie będę żałować.

- Nie teraz! - delikatnie, ale zdecydowanie ją odepchnął.

Rzeczywiście ktoś się zbliżał. Kroki stały się dobrze słyszalne. Hugh otworzył drzwi pokoju Daphne i wziął w rękę łaskę.

- Och, *madame!* - odezwał się głos z silnym francuskim akcentem. - Przyszłam pani pomóc. Nie przeszkadzam?

- Ty jesteś Monette? - zapytał Hugh. - Przyprowadziłem panią Asher na piętro. Ma trudności z zachowaniem równowagi...

- Milady! - krzyknęła dziewczyna. - Jest pani chora?

- Nie chora - odpowiedziała Daphne. - Dobrze się czuję, kręci mi się tylko w głowie.

- Pani Asher wypła trochę brandy, nie wiedząc, jaki to może wywołać skutek - wyjaśnił Hugh.

- *Je comprends.* Rozumiem. Zajmę się nią - powiedziała pokojówka, wprowadziła Daphne do pokoju i zamknęła drzwi.

Hugh został na korytarzu sam ze świadomością, że tej nocy będzie mu bardzo trudno zasnąć.

Daphne wstała rano z melodią *Barbara Allen* na ustach i we wspaniałym nastroju, choć nie wiedziała, dlaczego czuje się tak radośnie. Wydarzenia poprzedniego wieczoru pamiętała jak przez mgłę. Najpierw pokłócili się z Hugh o to, które z nich zapłaci za dom i służbę, a potem zawarli pakt o przyjaźni.

Cudownie mieć przyjaciela, nawet jeśli nie na długo, pomyślała. Nigdy nie miała przyjaciół. Raz nazwała Phillipę Westleigh tym mianem, lecz tak naprawdę próbowała wykorzystać ją w batalii o zdobycie Xaviera. Miała nadzieję, że z Hugh będzie inaczej i ich znajomość przerodzi się w szczerą przyjaźń. Ale czy naprawdę się całowali? To był chyba sen, tak jak niegdyś śniła o Xavierze.

Do sypialni weszła Monette, żeby pomóc w porannej toalecie. Daphne chciała poprosić ją o przygotowanie najpiękniejszej z trzech sukien, które miała w swoich bagażach, ale przypomniała sobie, że nie ma znaczenia, co włoży, bo on i tak jej nie zobaczy. Oznaczało to, że pierwszy raz w jej życiu komuś zależało na jej towarzystwie nie tylko ze względu na jej wygląd.

Na korytarzu natknęła się na Hugh. Właśnie wychodził ze swojego pokoju.

- Dzień dobry - rzuciła, przestraszona, czy nie zmienił zdania i wciąż będzie za-

dowolony, że zwraca się do niego po imieniu.

- Dzień dobry, Daphne - odwrócił się w jej stronę. - Idziesz na śniadanie?

- Tak! - Pojaśniała.

- Chcesz się przekonać, czy potrafię znaleźć drogę do jadalni? - Wyciągnął ku niej ramię.

- Chętnie. - Wsunęła dłoń pod jego łokieć.

- Jakies dolegliwości picia brandy? - zapytał.

- Nie warto nawet o nich wspominać. - Bolała ją lekko głowa, ale była za bardzo szczęśliwa, by na to zwracać uwagę.

Na ostatnim stopniu zawahał się.

- Idź przodem, poprowadzisz mnie.

- Dobrze, chociaż wiem, że nie lubisz być traktowany jak inwalida.

- Tak, to prawda. Nienawidzę odgrywać tej roli.

Po śniadaniu Daphne zaproponowała spacer. Zapowiadał się piękny dzień, a ona była w radosnym nastroju.

- Powiedz, jak jest na dworze. Tak ładnie, jak mi się wydaje?

- Dlaczego myślisz, że jest ładnie?

- Hm... Pachnie wiosną, świeżą zielenią, kwiatami. Czuję ciepło promieni słonecznych na twarzy. Słyszę świergotanie ptaków. Powiedz, co widzisz.

- W nocy padało, nad trawą unosi się lekka mgiełka, w źdźbłach zieleni błyszczą kropelki wilgoci. Na klombach mienią się kolorami wiosenne kwiaty. Niebo jest czyste i błękitne...

Zamilkła i wspomniała słowa zmarłego męża, który właśnie do błękitu nieba porównywał jej oczy. Zresztą często słuchała komplementów na temat swojej urody. Tym bardziej cieszyła się z towarzystwa Westleigha, bowiem po raz pierwszy czuła, że podoba się mężczyźnie ze względu na osobowość, a nie wygląd.

- Wychodzimy na drogę - podjęła po chwili. - Zbliżamy się do stajni. Widzę mojego stangreta.

- Dzień dobry państwu. Panie Westleigh, wygląda pan znacznie lepiej niż pierwszego dnia - zagadnął ich stangret.

Hugh wyciągnął do mówiącego rękę.

- Wy mnie tu przywieźliście? Dziękuję. Znacie moje nazwisko, a jak brzmi wasze?

Daphne nie przyszło do głowy przedstawić młodszego brata hrabiego woźnicy.

- Mówią o mnie John Stangret.

- Mój ojciec też tak zwracał się do swoich stangretów - pokiwał głową Hugh - ale matka znała ich imiona i nazwiska oraz imiona ich żon i dzieci. Interesowała się ich życiem i codziennymi sprawami.

Daphne nigdy nie zastanawiała się nad tym, czy jej stangret ma jakieś życie prywatne. Kiedy po niego posyłała, żeby ją zabrał z Ramsgate, nie pomyślała o tym, czy nie odrywa go od rodziny.

- Nie mam żony, sir. Dzieci też, o ile mi wiadomo. - Mężczyzna mrugnął do Hugh.

- Więc jak się nazywacie? - wtrąciła Daphne. - Nigdy o to nie zapytałam.

- Nie było potrzeby. Stangret John wystarcza na co dzień, ale jeśli pani rzeczywiście chce wiedzieć, to nazywam się Henry Smith.

- Od dzisiaj tak będę się do was zwracała. Jak sprawują się stajenni?
- Mam dzięki nim niewiele roboty. Dobre chłopaki, proszę pani.
- Więc weźcie sobie czasami trochę wolnego, Smith.
- Powinnam znać jego nazwisko - powiedziała ze skrucą Daphne, kiedy oddalili się od stajni.

- Nie wzoruj się na mojej matce. Ona przejawia przesadne zainteresowanie sprawami innych, czy to rodziny, czy służby.

Daphne niewiele wiedziała też o życiu Monette. Dziewczyna urodziła się w angielskiej rodzinie osiadłej w Szwajcarii. Została wczesnie osierocona przez rodziców i nie miała krewnych, którzy mogliby się nią zaopiekować. Wzięły ją pod swój dach zakonnice, ale Monette nie miała powołania do życia zakonnego. Propozycję pracy u Daphne przyjęła z wdzięcznością i ulgą.

Jeśli chodzi o Cartera, to wiedziała o nim tylko tyle, że został pozostawiony w Szwajcarii przez poprzedniego chlebodawcę i poszukiwał nowego. Uzmysłowiła sobie zaraz, że niewiele wiedziała nie tylko o tamtejszej służbie, lecz również o tych wszystkich, którzy jej służyli w Vadley, majątku pozostawionym przez męża, w którym była zresztą dość rzadkim gościem. Ciekawe, czy obawiają się jej powrotu?

- Daję pensa za twoje myśli! - Usłyszała głos Hugh.
- Myślałam o moich służących. Czy powitają mnie z radością?
- Długo byłeś poza domem?
- Ponad dwa lata. - Daphne mieszkała w Vadley tylko kilka miesięcy po wyprawdzie z Faville, kiedy rodowe włości przejął nowy wicehrabia. Był kuzynem jej męża. Jego żona nie mogła się wprost doczekać opuszczenia przez Daphne pałacu.
- I te dwa lata spędziłeś w Szwajcarii?
- Prawie.

Daphne wyczuła, że chętnie dowiedziałby się czegoś więcej o jej wyjeździe, choć nie zadawał dalszych pytań.

- Słyszę odgłos kopyt końskich - zmienił temat. - Ktoś nadjeżdża?
- Nie. To stajenny prowadzi konia do stajni.
- Zastanawiam się - zaczął lekkim tonem - czy tych stajennych też zatrudniłaś z dobrego serca?
- A jeśli tak, to co? - najeżyła się. - Jestem głupia?
- Jesteś wyjątkowo wspaniałomyślna. - Przytulił ją spontanicznie.

Do oczu Daphne napłynęły łzy wzruszenia.

- Nie widziałeś ich, ale te dwie nowe dziewczyny przedstawiały obraz nędzy i rozpacz. Jak mogłam im odmówić? A potem państwo Pitts wspomnieli, że w wiosce znalazłoby się więcej chętnych do pracy...

- Wojna się skończyła, bez pracy jest wielu byłych żołnierzy, a skutkiem wysokich ceł na importowane zboże jest droga żywność... Ludzie przymierają głodem.
- Ale czy możemy coś z tym zrobić? - zapytała.
- Już robisz bardzo wiele.
- Za twoje pieniądze! Sam chciałeś - wypomniała mu żartobliwym tonem. - Ja jednak chętnie zapłacę stajennym. Nalegam.
- Nie masz pojęcia, jak bardzo mi brakuje jazdy konnej. Czy w tej stajni nie znalaz-

złby się koń nadający się pod siodło? Kusi mnie, by poprosić któregoś ze stajennych, żeby mnie zabrał na przejażdżkę – powiedział Hugh.

– Niestety, są tylko konie zaprzęgowe.

Daphne uśmiechnęła się do siebie. W wiosce muszą się znaleźć jakieś konie wierzchowe. Stangret John – Henry Smith – w wolnych chwilach na pewno z przyjemnością wybierze się z Hugh na konny spacer. To będzie jej prezent dla przyjaciela.

Już następnego dnia, kiedy po śniadaniu mijali stajnie, Daphne zauważyła:

– Znowu spotykamy Smitha.

– Dzień dobry państwu – powitał ich stangret.

– Dzień dobry, Smith! – ucieszył się Hugh. – Czuję konia.

– Tak. Jest tutaj.

– Nie śmiecie się, ale czy mógłbym go pogłaskać?

– Mam lepszą propozycję. Niech go pan dosiądzie.

– Chyba żartujecie! – Hugh nie mógł uwierzyć, że to możliwe.

– Smith nie żartuje. – Daphne popchnęła go lekko. – Pan Pitts znalazł dwa konie wierzchowe, jednego dla ciebie, drugiego dla stajennego, który wybierze się z tobą na spacer.

Hugh z wrażenia zaniemówił.

– Ruszajcie. Pan Pitts zarecza, że ten koń jest niespotykanie posłuszny. Na pewno nie zrzuci cię wprost w żywopłot.

Hugh roześmiał się.

– Pomogę panu wsiąść – zaoferował się Smith. – Oto strzemię.

Włożył stopę w strzemię i bez żadnej trudności wsiadł.

Kilka sekund później odjechali, a Daphne patrzyła w ślad za nimi. Hugh jechał tak pewnie, jakby nie miał na oczach bandaża. Jej serce przepełniała radość. Czy człowiek zawsze czuje się tak radośnie, gdy uda mu się sprawić komuś przyjemność? Tymczasem miała wrażenie, że to ona została przez kogoś niewiarygodnie hojnie obdarowana.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czy czas rekonwalescencji może być przyjemniejszy? Od czterech dni Hugh codziennie wybierał się rano na przejażdżkę konną, a potem począwszy od śniadania, spędzali razem z Daphne cały dzień. Spacerowali, grali na fortepianie, rozmawiali, a wieczorami czytywała mu londyńskie gazety albo książki opisujące egzotyczne miejsca, które zamierzał odwiedzić. Po kolacji siadywali w bawialni. On raczył się brandy, ona piła tylko herbatę. Wystrzegą się alkoholu, pamiętając, jak wskutek jego nadmiaru straciła nad sobą panowanie i doszło do owego pocałunku. Daphne nie wiedziała, że Hugh myślał o tym nieustannie. Jej bliskość pobudzała jego zmysły i nic nie mógł na to poradzić. Gdyby nie ten fakt, czas, jaki ze sobą spędzali, można by nazwać idyllą.

Tego poranka było nie inaczej. Poszli z Daphne do stajni, gdzie już czekał z osiodłanym koniem Henry. Hugh pożegnał się z nią i ruszyli. Wjechali na pole, gdzie puścili koniom wodze i pozwolili im się wygalopować do woli.

Hugh uwielbiał to. W jednej chwili zapominał o bandażach na oczach. Czuł wiatr na twarzy i ruchy konia pod sobą. Pędzili przed siebie.

Życie jest piękne...

Gdy tylko to pomyślał, koń potknął się. Hugh rzuciło do przodu, uderzył twarzą o koński kark, bandaż na oczach przekrzywił się. Cudem utrzymał się w siodle, ale zrobił coś, czego robić nie powinien. Otworzył oczy. Zobaczył biały bandaż, ale zaraz obie gałki oczne przeszył tępy ból, który znał z pierwszych dni po pożarze.

Naraz usłyszał tętent zbliżającego się konia Henry'ego.

- Wszystko w porządku? O mało pan nie spadł.

- Nic mi nie jest - odpowiedział Hugh. - Widzieliście, co się stało?

- Coś spłoszyło konia, ale nie zauważyłem co.

- Mniejsza o to. Jedźmy.

Hugh nie przyznał się, że wypadek napełnił go obawą, czy nadzieja na odzyskanie wzroku, którą żył, nie okaże się płonna. Przed powrotem do domu zdążył jednak ochłonać, tym bardziej że tego dnia spodziewał się wizyty doktora Wynne'a. Podczas śniadania również zachował spokój. Daphne nie musi wiedzieć, że być może jej starania o zapewnienie mu najlepszych warunków opieki okażą się bez znaczenia.

- Przed południem wybieram się do miasteczka - poinformowała go. - Monette prosi mnie, żebym z nią poszła. Zaniedbywałam ją ostatnio.

- Zaniedbywałaś swoją pokojówkę? To śmieszne.

- Ona nie zna Anglii i tutejszych zwyczajów. Zresztą, jak podejrzewam, ma mi chyba coś do powiedzenia. Nic tak nie rozwiązuje języka jak przechadzka. Powinnyśmy wrócić przed wizytą doktora Wynne'a.

- Idźcie, doskonale sobie poradzę - zapewnił ją, choć wiedział, że prawdopodobnie zamknie się w sypialni i będzie zamartwiał aż do przyjazdu lekarza.

Kiedy wreszcie usłyszał, że wróciła, wstał z fotela na biegunach i wyszedł na schody.

- Jesteś, Hugh! - powitała go radośnie. Musiała mieć zaróżowione policzki od długiego spaceru. Czy będzie mu kiedyś dane ujrzeć taki widok?
- Wróciłaś? Znalazłyście w miasteczku coś godnego uwagi?
- Piłyśmy herbatę w przyjemnej herbaciarni i zajrzałyśmy do wszystkich sklepów.
- Tylko zajrzałyście? Nie wierzę, że nic nie kupiłyście. Moja matka nie potrafi wyjść ze sklepu bez sprawunku.
- Kupiłyśmy materiał na sukienkę dla Monette i kilka drobiazgów. W cukierni odkryłyśmy prześliczne wyroby z marcepanu. Poczęstujemy się nimi podczas popołudniowej herbaty. Mam nadzieję, że zdążyłyśmy wrócić przed wizytą doktora Wynne'a.

- Tak, przysłał wiadomość, że wpadnie nieco później.

Hugh był już zmęczony czekaniem. Na szczęście, pomyślał, w towarzystwie Daphne czas nie będzie się już tak dłużył.

- Poczekaj na mnie w bawialni. - Daphne minęła go na ostatnim stopniu. - Pójdę się przebrać.

Usiadł przy fortepianie. Czas upływał niemal niepostrzeżenie, kiedy ćwiczył gamy i melodie, których uczyła go Daphne. Wydawało mu się, że nie minęło więcej niż kilka minut, kiedy weszła do bawialni.

- Carter poda zaraz herbatę. Spróbujemy tych marcepanowych smakołyków. Słyszę, że robisz postępy w grze. - Stała mu za plecami. - Zdziwiająca.

- Sam się nie mogę nadziwić.

- Pograsz jeszcze?

- Nie. - Zdjął dłonie z klawiatury i położył je na kolanach. - Może byś mi poczytała?

- Chcesz kontynuować *The Annual Register*^[2]?

- Tak. - Znaleźli w domu tom z roku tysiąc osiemset ósmego, zawierający opis podróży niejakiego Ashe'a wzdłuż brzegów rzeki Missisipi.

- Czy ten Ashe to jakiś krewny twojego męża? - zapytał Hugh.

- Jego nazwisko brzmi Ashe, nie Asher - odpowiedziała.

- Aha. No to czytamy...

Wynne zjawił się dopiero przed kolacją.

- Miałem ciężki dzień - tłumaczył się. - Cieszę się, że panią widzę, pani Asher. Mam nadzieję, że zdrowie pani dopisuje.

- Owszem, dziękuję. Zaproponowałabym panu herbatę, ale pan Westleigh nie może się już pana doczekać. - Daphne przemawiała tonem wzorowej pani domu, mimo wszystko nie potrafiła jednak do końca ukryć niecierpliwości.

- Chętnie skorzystałbym z zaproszenia, droga pani, niestety dzisiaj nie mogę. Mam nadzieję, że ponowi je pani w późniejszym terminie. Mam jeszcze jedną wizytę, zanim będę mógł wrócić do domu na kolację. Jak się pan czuje, panie Westleigh? - zainteresował się wreszcie pacjentem doktor Wynne. - Mam nadzieję, że trzymał pan cały czas oczy zamknięte.

- Dzisiaj je otworzyłem, na bardzo krótko co prawda, ale były jakiś czas otwarte.

- Hugh! - wykrzyknęła Daphne.

- Obluzował mi się bandaż podczas jazdy konnej. To był odruch.

- Pan jeździ konno? - z niedowierzaniem zapytał doktor.

- Nie sam.

- Hm! - Odchrząknął. - A kiedy otworzył pan oczy, poczuł pan ból?

- Tak. Bardzo ostry. Otworzyłem je tylko raz i na bardzo krótko.

- Dobrze... popatrzmy więc. - Wynne nie brzmiał optymizmem. Usunął bandaż, a Hugh poruszył powiekami.

- Niech pan nie otwiera oczu. - Wynne zbliżył do twarzy Hugh palącą się świecę.

- Czy widzi pan światło? - zapytał doktor.

- Widzę. Tak jak podczas pierwszego badania.

- Powieki dobrze się wygoiły - stwierdził doktor. - Nie wdała się żadna infekcja. -

Hugh usłyszał, jak doktor przeszukuje torbę. - Wpuszczę panu do oczu trochę maści i ponownie je zabandażuję. Maść zadziała chłodząco.

Po tej czynności doktor ponownie obandażował oczy Hugh.

- Doszło do wtórnego urazu. Miejmy nadzieję, że nie powstała trwała szkoda, ale o tym dowiemy się nie wcześniej niż za tydzień. - Doktor zamknął torbę. - Muszę już iść.

Hugh usłyszał szelest spódnic Daphne i domyślił się, że wstała, by pożegnać doktora.

- Żałuję, że nie mogę pozostać nieco dłużej, droga pani - usprawiedliwiał swoje odejście doktor.

- Widzę, że jest pan bardzo zapracowany - odpowiedziała.

Hugh słyszał, jak oddalają się ku drzwiom. Doktor nie powiedział na do widzenia nic na otuchę, za to nie szkoda mu było czasu na wymianę uprzejmości z Daphne. Tak czy inaczej, nie miał wyboru, musiał uzbroić się w cierpliwość.

Daphne odprowadziła doktora do drzwi wyjściowych i biegiem wróciła do bawialni.

- Hugh! Dlaczego mi nie powiedziałeś? - zawołała.

- Nie wiem. Zresztą co by to dało?

- Wyobrażam sobie, jak się zamartwiałeś. - Przyklękła przed nim, uchwyciła jego dłonie.

- Nie przeczę.

- Biedny... - odparła z westchnieniem.

Pochylił głowę i ciężko odetchnął. Daphne dotknęła czołem jego czoła. Nie powinna tak otwarcie ujawniać współczucia.

Usłyszeli pukanie, a w następnej chwili Carter oznajmił, że kolacja jest na stole.

- Chodźmy, musisz być głodny! - Daphne pociągnęła go za rękę, by wstał.

Przy stole próbowała go rozweselić, a on udawał, że jej się to udaje, chociaż czarne myśli go nie opuszczały. Po kolacji w bawialni naląła brandy dla niego i odrobinę dla siebie.

- Poczytać?

Rocznik nie należał do jej ulubionych lektur, ale Hugh był zainteresowany jego treścią, a ona chciała, żeby zapomniął o swoim zmartwieniu choćby na chwilę.

- Tak, jeśli chcesz - odpowiedział bez entuzjazmu.

Napełniła ponownie kieliszki i otworzyła księgę.

- Zatrzymaliśmy się na cenie złota w Abisynii.

Nie odezwał się, a ona zaczęła czytać. Monotonia jej głosu zadziałała na oboje usypiająco. W pewnej chwili Daphne zreflektowała się, co czyta.

- Co o tym sądzisz? - zapytała.

- O czym?

- O tym, co właśnie przeczytałam. Powtórzę: „W Abisynii mąż i żona mogą rozwiązać małżeństwo za obopólną zgodą. Dzielią między siebie cały dobytek i to wystarczy do rozstania. Abisyński Kościół sankcjonuje ten zwyczaj”.

- Dlaczego cię to tak zainteresowało, Daphne? - zapytał.

- Bez powodu.

- Ale właśnie na to zwróciłaś szczególną uwagę...

- Nie wiem. - Nie chciała się przyznać. - Może dlatego że rozwód jest u nas czymś wstydlivym i trudno go dostać w Anglii.

- A czy ty chciałaś się rozwieść ze swoim mężem?

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedziała nerwowo.

- Opowiedz mi o swoim mężu i małżeństwie.

Nie chciała o tym mówić. Miała się przyznać, że mąż był dla niej dobry, że jej dogadzał, a mimo to ona nie była dobrą żoną dla niego? Jej zachowanie w małżeństwie nie świadczyło o niej najlepiej.

- Czy zaszkodzi to naszej przyjaźni, jeśli odpowiem, że nie chcę na ten temat rozmawiać?

- Naturalnie, że nie. - Wbrew zapewnieniu obruszył się jednak i upił łyk brandy. Ona zrobiła to samo.

- Proszę, zrozum mnie, Hugh. Nie chcę rozmawiać o swoim małżeństwie. Ty też nie chcesz rozmawiać o swoich oczach.

- Masz rację. - Wstał. - Nie chcę rozmawiać o swoich oczach, bo nie ma o czym. Albo będę ślepy, albo nie. - Sięgnął po laskę. - Idę na górę. Nie jestem dzisiaj w nastroju na towarzystwo.

- Nie gniewaj się, Hugh. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Wolałabym, żeby na naszej przyjaźni nie ciążyła przeszłość. I nie martwmy się tym, co zgotuje nam przyszłość, pozostanmy przy teraźniejszości... cieszymy się tym, co ona przynosi.

- Nie gniewam się. - Przykrył dłonią jej dłoń. - Mam nadzieję, że przyjdzie czas, że nabierzesz do mnie tyle zaufania, by mi wytłumaczyć, dlaczego bywasz taka smutna... ale masz rację, dzisiejszy wieczór nie jest najodpowiedniejszą ku temu porą. Najpierw ja muszę się wziąć w garść.

Jego smukłe i silne palce splotły się z jej palcami. Daphne zakreśliły się łyzy w oczach. Dawno nikt jej nie dotykał, nie obejmował ani nie pocieszał. Ostatnią taką osobą była szwajcarska zakonnica. Daphne, łkając jak skrzywdzone małe dziecko, w jej ramionach szukała zrozumienia i przebaczenia. Teraz bardzo pragnęła, by Hugh objął ją i pocieszył, lecz wiedziała, że na to nie zasługuje. Wyrzuciła wiele krzywdy jego rodzinie, a teraz go oszukuje.

Wypuścił jej dłoń i przesunął palcami wzdłuż ramion, szyi, a potem twarzy. Jego dotyk był gorący i delikatny. Podniecający. Nie czuła tego przy żadnym mężczyźnie.

Upuścił laskę na podłogę i obiema dłońmi objął jej twarz.

- Tak bardzo chciałbym cię zobaczyć - wyszeptał.

Wiedziała, że wówczas nie zechciałby jej dotknąć. Przeczuwała, że teraz ma jedyną szansę, aby dał jej to, czego całym sercem łaknęła. Nie zamierzała się opierać.

Muskał kciukami jedwabistą skórę jej policzków, a ona czuła, że ten dotyk pozostanie z nią na zawsze. Ale to jej nie wystarczało. Pragnęła go całą sobą. Chciała od niego dostać coś cenniejszego niż pocieszenie. Chciała jego całego.

Zarzuciła mu ramiona na kark, wspięła się na palce i skłoniła go do pochylenia głowy. Nigdy tak mocno nie pragnęła żadnego mężczyzny. Ani męża, ani nawet Xaviera. Jego usta były tak blisko jej ust, że czuła zapach brandy. Wreszcie pocałował ją, ale zaraz przerwał i odsunął się od niej.

- Lepiej powiedzmy sobie dobranoc - powiedział i schylił się w poszukiwaniu laski.

Zawiedziona, przykucnęła i pomogła mu ją znaleźć. Ich głowy ponownie znalazły się obok siebie.

- Hugh? - Dotknęła jego ramienia.

Musnął pieszczotliwie jej twarz, jeszcze delikatniej niż za pierwszym razem.

- Dobranoc, Daphne.

Kiedy odchodził, po jej twarzy spłynęły łzy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zegar wybił jedenastą, a potem dwunastą. Od dwóch godzin Hugh kołysał się w fotelu na biegunach i popijał brandy z butelki przyniesionej przez Cartera. Wnętrze rozświetlał tylko ogień syczący w kominku; dawał dość światła, by osoba widząca nie potykała się o rozstawione w pokoju meble.

Osoba widząca. Tymczasem Hugh wciąż tkwił w świetle ciemności. Ale nie to nie pozwalało mu teraz zasnąć. Myślał o Daphne i o drugim pocałunku, którym się pożegnali. Płonął z pożądania. Marzył o tym, żeby czuć jej nagie ciało pod sobą, otoczyć dłońmi piersi, zatopić się w niej i razem z nią wspiąć się na szczyty miłosnych doznań.

Pociągnął łyk brandy z butelki, nie zadając sobie trudu znalezienia szklanki. Zaczął zastanawiać się, czy nie powinien nazajutrz wyjechać i oddać się w ręce nadopiekuńczej matki. Nieuczciwie postępuje, nadużywając cierpliwości Daphne oraz obarczając ją swoimi zmartwieniami. Carter mógłby wynająć powóz... Wszak chodziło tylko o jeden dzień drogi.

Usłyszał otwierające się drzwi. Być może nadarza się okazja, by zanim nazajutrz zmieni zdanie, poprosić o to lokaja.

- Carter?

Nozdrza Hugh wypełnił aromat róż.

- Daphne! - Wstał. - Co tu robisz? - Zawahał się; miał na sobie tylko spodnie. - Nie mam na sobie ubrania.

- Ja też nie - powiedziała, nie ruszając się spod drzwi.

- Dlaczego...?

- Óóó... Nic nie mów. - Słyszał jej kroki. - Czułam się taka nieszczęśliwa, kiedy mnie dzisiaj zostawiłeś...

Zatrzymała się na wyciągnięcie ręki. Zapragnął jej dotknąć.

- Musiałem, Daphne. My... nie możemy...

- Myślałam o tym... Wdowy cieszą się pewną swobodą.

Była też kobietą, pomyślał, a kobiety miewają dzieci.

- Łączy nas duchowa bliskość, prawda? - nie przestawała mówić. - Nie moglibyśmy stać się sobie bliscy również w sensie fizycznym?

- Och, Daphne. Za dużo ryzykujemy.

- Nikt się nie dowie. Z wyjątkiem służby, naturalnie. Monette i Carter nie plotkują, zapewniam cię, a pozostali zostaną tutaj po naszym wyjeździe. Nikogo nie obchodzi, co robimy.

Podeszła bliżej i oparła dłonie na jego ramionach.

- Nie boję się plotek. Nie to miałem na myśli.

- Nie dbam o to. - Zaczęła bawić się włosami na jego karku. - Proszę, Hugh. Mamy tylko tydzień. Dlaczego nie mielibyśmy go spędzić naprawdę razem?

Czy zdoła odrzucić taką pokusę? - zastanowił się, tymczasem Daphne zsunęła dłonie na jego pierś.

- Za tydzień wyruszysz w swoją podróż, a ja wrócę do domu.

- Mogę być niewidomy.

Objęła go i przytuliła się do niego.

- Nie mów tak. Musisz zobaczyć te wszystkie piękne rzeczy, które napotkasz na drodze w swoich podróżach. Życie nie może obejść się z tobą tak niesprawiedliwie!

Miała na sobie tylko koszulę nocną. Dzielił ich jedynie skrawek cienkiego materiału. Hugh pragnął jej aż do bólu.

- Czuję twoje pożądanie, Hugh - szepnęła. - Pokochaj mnie.

Nie umiał odmówić. Porwał ją w ramiona i zaniósł na łóżko. Wiedział dokładnie, ile kroków musi zrobić, żeby tam trafić.

- Jesteś pewna, Daphne?

- Jestem.

Jej serce biło tak gwałtownie, że bała się, że rozsadzi jej klatkę piersiową. Zdejmował spodnie, stojąc obok łóżka, a ona ściągnęła przez głowę nocną koszulę i odrzuciła. Koszula musnęła w locie jego ramię. Złapał ją.

- Chciałbym móc cię zobaczyć - powiedział.

- Dotknij mnie! - Wyciągnęła ku niemu ramiona. - Poczuj.

Uklęknął nad nią i sięgnął ku jej głowie. Przeczesał palcami rozpuszczone włosy. Były gładkie i chłodne.

- Masz dłuższe włosy, niż myślałem - zauważył. - Lekko kręcone. Jaki jest ich kolor?

Daphne zawahała się, czy powiedzieć prawdę. Ale czy mógł ją rozpoznać tylko na podstawie koloru włosów? Zapewne nie. Wiele kobiet miało jasne włosy.

- Blond - odpowiedziała. - Jestem blondynką.

- Tak sobie ciebie wyobrażałem.

Bawił się przez chwilę jej włosami, okręcał je wokół palców i przeczesywał. Następnie przeniósł dłonie na jej twarz. Gładził ją tak jak rzeźbiarz miękką glinę, kiedy chce jej nadać kształt utrwalaony w swojej wyobraźni. Czy mógł wyczuć dotykiem to, co inni widzą oczami? Czy jej twarz będzie odpowiadała jego wyobrażeniu, czy mu się spodoba? Daphne chciała, żeby ją podziwiał i też w każdym geście, każdym dotyku czuła podziw. Ze wzruszenia jej oczy napełniły się łzami, kiedy badał kontur jej uszu, by delikatnie przesunąć dłonie na szyję, a potem wzdłuż ramion na piersi. Muskał brodawki jak gdyby niechcący, lecz wkrótce pieszczota stała się bardziej natarczywa.

- Czy to ważne, żebyś poznał mój wygląd? - zapytała głosem zabarwionym zniecierpliwieniem, ale i satysfakcją.

- Czy ważne? - Przesunął dłonie w górę i w dół po jej tułowiu. - To jedyny sposób, żeby cię poznać.

- Podobam ci się? - zapytała mimowolnie.

Schylił się, złożył na jej ustach oszałamiająco długi pocałunek. Jeśli było w niej jeszcze jakieś napięcie, roztopiło się jak masło pozostawione w pobliżu gorącego pieca.

- Bardzo mi się podobasz, Daphne - szepnął z ustami przy jej ustach. - Podobasz mi się od chwili, kiedy się po raz pierwszy obudziłem w tym pokoju.

Daphne nie posiadała się ze szczęścia. Nie miał wtedy pojęcia o jej wyglądzie, a mimo to podobała mu się. Przesunęła dłońmi wzdłuż jego pleców. Pod skórą wy-

czuwała grę mięśni. Jakie to podniecające, pomyślała, ta energia drżącą w męskim, silnym ciele.

Nie mogła się powstrzymać, żeby nie porównywać go z Xavierem, który kiedyś w jej wyobrażeniach jawił się jako uosobienie doskonałości. Hugh był od niej daleki, ale w jego atletycznej, surowej męskości wyczuwała nieodpartą, przyciągającą siłę. Nie mogła już dłużej czekać. Chciała go poczuć, ale nie śmiała wyrazić słowami tak lubieżnej potrzeby. Chwyliła jego dłoń i skierowała ją tam, gdzie najbardziej pragnęła doświadczyć jego dotyku.

Zrozumiał. Pocałował ją namiętnie, ułożył się na niej i jednym ruchem wypełnił ją sobą. Podobało się jej, że nie był delikatny ani ostrożny. Poruszał się pewnie i umiejętnie, a z każdym ruchem fala pożądania wzbierała w niej i unosiła coraz wyżej, aż ich ciałami w tym samym momencie wstrząsnął dreszcz rozkoszy.

- Daphne - wyszeptał.

Wzbierały w niej słowa wdzięczności i radości, których jednak nie potrafiła wypowiedzieć na głos. Wszystko to zawarła w przeciągłym i czułym pocałunku.

Tej nocy kochali się jeszcze kilka razy. Wreszcie zaspokojona i zadowolona odpoczywała, wsłuchana w jego równy oddech i ciche, jednostajne bicie jego serca.

Hugh wreszcie wyzbył się napięcia, jakie towarzyszyło mu od pożaru. Był tam, gdzie chciał być najbardziej. Obok Daphne.

- Daphne - powtórzył kolejny raz. - Było cudownie.

- Mmm. - Wydała z siebie dźwięk, który wziął za potwierdzenie. - Zawsze miałam przecucie, że nie dostąpiłam dotąd najwyższego spełnienia - odezwała się. - Teraz jestem tego pewna.

Czytała w jego myślach? Właśnie zastanawiał się nad jej przeszłością.

- Nie mów, że nigdy nie doświadczyłaś czegoś podobnego z innym mężczyzną - odpowiedział, nie dowierzając.

- Czegoś podobnego jak to? - roześmiała się cichutko. - Nie...

Nieprawdopodobne, a przecież była stworzona do miłości. Czy jej mąż był głupcem? Inni również?

- Do tej pory mąż był jedynym mężczyzną, z którym się kochałam.

Co łączyło ją z mężem oprócz łóżka? Hugh był pewny, że między nim a Daphne powstała wyjątkowa więź. Tej nocy należeli tylko do siebie.

- Opowiedz mi o mężu - poprosił, chociaż obiecywał sobie, że nie będzie o to wypytywać. Intrygowało go również, dlaczego wyjechała do Szwajcarii.

- Mąż był znacznie ode mnie starszy. Więcej niż dwukrotnie, mimo to wciąż był względnie młodym mężczyzną. W dniu ślubu miałam zaledwie siedemnaście lat. Był to dla mnie bardzo korzystny związek. On był bogaty i cieszył się wysoką pozycją... Nasze intymne pożycie nie układało się jednak najlepiej.

- Byłaś z nim nieszczęśliwa? - Czy stąd ten smutek, który w niej wyczuwał?

- Nieszczęśliwa? - Musiała się zastanowić. - Nie, nie byłam nieszczęśliwa. Byłam młoda i głupia.

- Nie uwierzę. - Hugh uważał Daphne za osobę bardzo rozsądną.

- Kiedyś byłam inna... - powiedziała ze smutkiem.

- Co masz na myśli?

- Byłam rozpieszczona. Mąż spełniał wszystkie moje zachcianki, a ja nie znałam

umiaru. Upłynęło dużo czasu, zanim nauczyłam się zadowalać tym, co przynosi życie.

- Był jeszcze inny mężczyzna? - Hugh się nie mylił.

- Tak - przyznała z wahaniem. - Był, ale nie w takim sensie, jak sądzisz. Do niczego między nami nie doszło.

- A co z dziećmi? - nie potrafił powstrzymać zapytania.

- Nie zostałam pobłogosławiona dziećmi. Może i lepiej...

- Dlaczego lepiej?

- Nie byłabym dobrą matką.

- Byłabyś. - Przytulił ją. - Pomyśl, jak dobrze się mną opiekujesz.

- Kiedyś taka nie byłam.

- Opowiedz o tym. - Pocałował ją w skroń. Chciał wszystko zrozumieć i pocieszyć ją.

- Mam już dość rozgrzebywania przeszłości. - Wyswobodziła się z jego ramion. -

Chcę myśleć jedynie o teraźniejszości.

Przygarnął ją do siebie, a ona usiadła nad nim rozkrokiem, pochyliła się i zamknęła mu usta długim, gorącym pocałunkiem, który go ożywił na nowo.

- Tym razem ci daruję - powiedział - pod warunkiem że znowu mi się oddasz.

- Wedle rozkazu! - Parsknęła.

- To prośba, nie rozkaz - sprostował.

Kiedy osunęła się na niego wyczerpana, tak jak on przedtem na nią, powiedział z ustami w jej włosach:

- Myślałem, że za pierwszym razem było tak wspaniale, że nie mogłoby być wspanialej, ale pomyliłem się. Nigdy nie czułem się tak dobrze, Daphne.

- Myślałam, że było ci dobrze z wieloma kobietami.

- Nie z tak wieloma, jak by ci się wydawało. - Roześmiał się. - I nie tak dobrze jak z tobą.

Osunęła się na materac i przytuliła do jego boku. Milczała tak długo, że Hugh uznał, że zasnęła, ale wtedy zapytała:

- Czy byłeś kiedyś zakochany, Hugh?

- Nie - odparł. Przeżywał młodzieńcze zauroczenie, ale nigdy nie darzył uczuciem żadnej kobiety. - Byłem za bardzo zajęty wojskiem, a potem obowiązkami względem rodziny. Nie miałem do tego głowy.

To nie była prawda. Od zakochania odstręczał go widok matki uwikłanej w niešťęśliwy związek z rozpustnym ojcem.

- Wydaje mi się, że wielu oficerów zakochiwało się nawet w czasie wojny. A jeśli nie kochałeś, to mogłeś ożenić się dla pieniędzy.

Tak jak ona? Nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby być do tego zdolny.

- Zakończmy ten temat. - Nie chciał jej zasmucać. - Robimy to, co w danym czasie uważamy za słuszne. Nie jest tak?

- Możliwe - odpowiedziała niepewnie.

- Ja to wiem.

Objął ją. Ku własnemu zdziwieniu po raz pierwszy w życiu pomyślał, że nadszedł czas, aby się ustatkować. Wizja przygód, których spodziewał się doświadczyć w po-

dróży, zbladła. Czy możliwa jest lepsza przygoda niż związenie się z tą kobietą, zbudowanie z nią wspólnego, szczęśliwego życia? Tak czy inaczej, odpowiedź na to pytanie musiała poczekać, aż doktor Wynne zdejmie bandaż. Cóż bowiem mógłby jej zaoferować jako niewidomy?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kolejny tydzień był najszcześniejszym okresem w życiu Daphne. Ale wszystko, co dobre, ma swój kres. Nadszedł ostatni dzień, który mieli wspólnie spędzić, i nie mogła uwolnić się od rozdzierającej serce myśli o rozstaniu.

Przez ostatni tydzień chodziła pijana ze szczęścia i z rozpacz. Kochali się jak w transie, znikły między nimi wszelkie bariery. Daphne z nikim nigdy nie była tak blisko. Hugh stał się jej częścią. I pozostanie nią na zawsze, chociaż ona wkrótce go opuści. Wszystko już przygotowała. Wyjaśniła Monette, Carterowi i Smithowi, że muszą wyjechać, zanim bandaż zostanie zdjęty. Poprosiła też Tollera, aby przekażał Hugh list i umówiła wizytę doktora Wynne'a na przedpołudnie. Naumyślnie nie poinformowała o tym Hugh, który spodziewał się lekarza dopiero pod wieczór.

Rano ubrała się i zeszła do jadalni, ale nie miała apetytu. Wciąż wyrzucała sobie, że nie odnalazła w sobie odwagi, aby wyznać Hugh prawdę. Opatka z Fahr miała rację. Jedno kłamstwo pociąga za sobą cały łańcuch kolejnych. Gdyby Daphne na początku przyznała się, że nazywa się lady Faville, a nie pani Asher, on prawdopodobnie natychmiast wyjechałby do Londynu i nie wydarzyłoby się to, co ich tak do siebie zbliżyło w ciągu ostatniego tygodnia. Daphne nigdy jednak nie będzie żałowała. Hugh nie polubił jej dla wyglądu, ładnej buzi i krągłych piersi. Dostrzegł wartość w niej samej i za to zawsze będzie mu wdzięczna.

Usłyszała stukanie laski. Nadchodził. Daphne osuszyła oczy i przywołała na twarz uśmiech. Odegra swoją rolę do końca.

Hugh galopował rano po polach, nie bacząc na ryzyko. Od kilku dni nie denerwował się. Chciał związać swoją przyszłość z Daphne i od tego dnia zależało, czy to jej zaproponuje.

Wszyscy domownicy byli podenerwowani. Wyczuwał, że Daphne udawała wesołość. Mówiła głosem guwernantki, a po śniadaniu wymówiła się obowiązkami pani domu i opuściła go. Hugh poszedł do bawialni i zaczął ćwiczyć gamy.

W pewnym momencie do pokoju wsadził głowę Toller.

- Przyszedł doktor Wynne, proszę pana.

- Tak wcześniej? Poproś panią Asher, niech natychmiast przyjdzie. I wprowadź doktora do bawialni.

- Dobrze, proszę pana - odpowiedział lokaj spiętym głosem.

Hugh wzruszył się, że nawet służący martwili się jego przyszłością.

- Witam, panie Westleigh. Pani Asher dzisiaj nie ma? - Doktor wpadł do pokoju w wielkim pośpiechu.

- Posłałem po nią - odrzekł. - Wcześniej pan przyszedł.

- Zbyt często przychodzę za późno - zauważył doktor.

Hugh nie zrozumiał, o co chodzi doktorowi.

- Życzy pan sobie poczekać na panią Asher? - zapytał.

- Bardzo chciałbym się z nią przywitać, ale tym razem się spieszę.

- Przepraszam, nigdzie nie mogę znaleźć pani Asher - oznajmił Toller, który wró-

cił do pokoju.

- Szkoda. Zaczynamy więc - zaproponował doktor. - Wyobrażam sobie, że nie może się pan doczekać wyniku badania.

Hugh był zawiedziony nieobecnością Daphne. Liczył na nią, ale wolał, aby nie była świadkiem jego rozpaczki, kiedy po usunięciu bandaża spełnią się jego najgorsze obawy.

- Zaczynamy - zdecydował wreszcie.

Usadowił się w fotelu. Doktor usiadł naprzeciwko. Hugh słyszał, jak otwiera torbę i czegoś w niej szuka. Nożyczki.

- Proszę trzymać oczy zamknięte - polecił Wynne. - Toller, proszę zasłonić okna - zwrócił się do lokaja. - Nie potrzeba nam tyle światła.

Doktor rozciął bandaż z tyłu głowy Hugh. Palcami przytrzymał opatrunki osłaniające powieki.

- Niech pan nadal nie otwiera oczu.

Hugh z trudem podporządkowywał się poleceniu doktora. Jego oczy poruszały się pod powiekami. Nie wiedział, czy to dobry objaw, czy zły. Doktor ostrożnie uchylił powieki.

- Jak do tej pory, wszystko wygląda dobrze - powiedział.

Hugh zobaczył światło, wiedział jednak, że to wcale nie świadczyło o tym, że będzie widział.

- Proszę teraz bardzo powoli unieść powieki, ale jeśli będzie temu towarzyszył ból, proszę je od razu zamknąć - instruował doktor.

Hugh ostrożnie otworzył oczy i po raz pierwszy od dwóch tygodni czynił to świadomie. Czuł ból, ale taki, jakby spojrzął w słońce. Nie rozróżniał żadnych szczegółów. Wszystko było rozmazane. Zamrugał powiekami i świat zaczął nabierać kształtów. Miał przed sobą pomarszczoną twarz starszego człowieka.

- Widzę pana, doktorze - oświadczył z uśmiechem.

- Brawo!

Hugh spojrzął na wysokiego i szczupłego młodego mężczyznę po swojej prawej stronie.

- Toller!

- Tak, to ja, proszę pana. - Lokaj się uśmiechnął.

Doktor Wynne zebrał pocięte bandaże i schował do wysłużonej skórzanej torby nożyczki.

- Niech pan na razie oszczędza oczy, młody człowieku. Przez kilka dni proszę unikać silnie nasłonecznionych miejsc. I niech pan nie czyta za dużo. Pańskie oczy muszą dużo odpoczywać. Trzeba je przyzwyczajać do wysiłku stopniowo. Na powiekach pozostało jeszcze kilka blizn po oparzeniach, ale z czasem znikną.

Hugh rozejrzał się po pokoju. Jego umeblowanie było raczej przeciętne i z lekka podniszczone. Fotele miały zielone obicia, w takim samym kolorze były zasłony okienne. Dokładnie wiedział, w którym kącie szukać fortepianu i pod którą ścianą znajdowała się szafka z alkoholami.

- Jakie to wspaniałe uczucie widzieć - westchnął.

- Czas na mnie. - Doktor Wynne wstał z fotela. - Proszę przekazać ode mnie wyrazy szacunku pani Asher.

Hugh towarzyszył doktorowi do holu.

- Dziękuję, doktorze Wynne. - Hugh wyciągnął z kieszeni kilka złotych monet i włożył je w dłoń lekarzowi, ale ten nie przyjął zapłaty.

- Pani Asher już mi przysłała wynagrodzenie. Tak hojnie, jak hojnie obdarzyła ją urodą natura.

Hugh wiedział, że Daphne jest piękna. Wyczuł to, a zaraz zobaczy ją na własne oczy.

- Idę poszukać pani Asher - oznajmił Tollerowi, gdy zamknęły się za lekarzem drzwi frontowe. Nie krył podniecenia. Postanowił ją zaskoczyć, objąć i poprosić, by została jego żoną.

- Pani Asher nie ma w domu, proszę pana - odpowiedział Toller, wręczając Hugh zapieczętowany list.

Bez słowa złamał pieczęć i rozłożył kartkę papieru. Była zapisana równym, ładnym charakterem pisma. Wielkie litery miały ozdobne kształty. Takiego pisma mógł się spodziewać po Daphne.

Najdroższy Hugh!

Kiedy będziesz czytał ten list, moje serce będzie się wrywać ku Tobie. Wiedz, że żadne słowa nie są w stanie oddać, jak jest mi smutno. Wyjechałam. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, wiem tylko jedno: tak jest najlepiej. Nie próbuj mnie szukać, bo i tak nie uda Ci się mnie znaleźć.

Nie ma żadnej pani Asher. Nie jestem tą osobą, za którą się podawałam. Tylko moje uczucie do Ciebie było szczere. Dziękuję Ci za najcudowniejszy tydzień w całym moim życiu. Jego wspomnieniami będę się karmiła aż do końca.

Zapomnij o mnie i bądź szczęśliwy.

Będę Cię zawsze kochała.

Daphne

Wyjechała? Nie, to niemożliwe.

Przetarł oczy, ponownie przeczytał list. I po co był mu wzrok? Żeby czytać coś takiego? Nie było wątpliwości. Wyjechała. Spojrzał na Tollera. Chłopak też był załamany.

- Nie wiedział pan, że wyjeżdżają? Wyjechali razem. Pani Asher, pan Carter i pan-na Monette... Powozem jaśnie pani.

Dlaczego Hugh nie słyszał, jak odjeżdża powóz? Musiał czekać w pewnej odległości od domu. Oszukała go z całą premedytacją.

- Pani zostawiła nam wszystkim listy z podziękowaniem i pieniądze. Zapłaciła wszystkim za dwa lata pracy zamiast za dwa tygodnie. Tylko tyle wiem. Mamy panu służyć tak długo, jak pan będzie potrzebował. Dom jest do pana dyspozycji bez ograniczeń czasowych.

Jaka wspaniałomyślna... Dla służby. Tylko dlaczego jego ograbiła z tego, czego najbardziej potrzebował?

- Dziękuję, Toller - wydusił z siebie Hugh; był na wpół przytomny. - Dam znać, jeśli będę czegoś potrzebował.

Chłopak ukłonił się i wyszedł. Hugh czuł się tak samo zdezorientowany jak wtedy,

kiedy po raz pierwszy obudził się w tym domu. Uniósł do oczu list. Przeczytał go po raz kolejny.

Pięknie brzmiące słowa, ale równie fałszywe jak opowieść, którą go karmiła od początku. Co mogło w nich być prawdziwego? Miłość? Jaka to miłość, która kłamie, porzuca bez pożegnania i słowa wyjaśnienia?

Hugh załkał na głos z bezsilnej wściekłości.

Zmiał w dłoni list. Do diabła z nią! Może i lepiej, że nawet nie wie, jak ona się nazywa.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Mimo że niebo pokrywały grube chmury, z których w każdej chwili mogło lunąć, Hugh postanowił nie odkładać wyjazdu. Nie powstrzymałyby go nawet ostrzeżenia doktora Wynne'a. Wypakował płaszcz z kufra podróżnego, który miał być dostarczony pocztą do domu jego matki w Londynie, i kupił konia. Przed wyjazdem wypłacił również sowite gratyfikacje służbie. Daphne, jeśli takie było jej prawdziwe imię, nie była jedyną osobą skłoną do hojności.

Obrzucił ostatnim spojrzeniem miejsce, gdzie ważyły się losy jego przyszłości, pożegnał ze służącymi i dosiadł konia, na którym jeździł od blisko dwóch tygodni. Niech pada, nawet gdyby miało rozerwać się niebo, nic go nie powstrzyma. Chciał opuścić Thurnfield jak najszybciej. Potrzebował odetchnąć, tęsknił za wolnością. W powozie czułby się jak w trumnie, zamknięty sam na sam ze swoimi myślami.

Od Londynu dzielił go niecały dzień drogi. Jechał bez pośpiechu, nie zmieniając koni. Pozostał przy swoim starym przyjacielu, który dawał mu tyle pociechy wtedy, kiedy jej najbardziej potrzebował. Gdy jednak przypomniał sobie, że stało się to za sprawą Daphne, nie wiedział, jak sobie z tym poradzić.

Liczył na to, że w drodze będzie mu łatwiej odegnąć myśli o Daphne. Mylił się. Stale mu towarzyszyła i wszystko zdawało się mu o niej przypominać. Nawiedzały go też pytania. Dlaczego go oszukiwała? Jak mogła być tak nieszczerą? Czy Toller miał dla niego dwa listy, każdy na inną okoliczność?

Przeklęta kobieta. Mogłaby równie dobrze go otruć. W Hugh wzbierała wściekłość. Tylko w ten sposób mógł się obronić przed rozpaczą.

Takie myśli towarzyszyły mu do momentu, gdy stanął nad Tamizą, za którą widać było kopułę katedry Świętego Pawła. Po drodze zdążył podjąć kilka decyzji. Po pierwsze, nie zamierzał wspominać rodzinie o pożarze ani o Daphne, a także o kłopotach ze wzrokiem. Jeśli ktoś zauważy ślady na skórze, wytłumaczy, że się oparzył, nachylając nieostrożnie nad świecą. Po drugie, postanowił rozluźnić więzi z rodziną i wyjechać. Zrealizuje wcześniejszy zamiar i wyruszy w podróż dookoła świata. Jest wolny i może robić, co mu się podoba.

Przeprawił się na drugi brzeg rzeki i skierował ku Mayfair. Mijał znajome budowle wzdłuż znajomych ulic. Ich widok sprawił mu większą przyjemność, niż przypuszczał. Na Piccadilly przejechał obok Maskarady. Korciło go, żeby tam zajrzeć, ale po całym dniu podróży bolały go oczy. Skierował się więc do stajni Westleighów przy Brooks Mews i oddał konia pod opiekę stajennych. Od stajni dzieliło go już tylko kilka kroków do Davies Street. Drzwi domu zastał zamknięte. Zastukał kołatką.

Otworzył Mason, kamerdyner rodziny.

- Kogo widzę! Panicz Hugh! Czy uprzedzał pan o swoim przyjeździe?

- Nie, ale nie róbcie sobie zbytniego kłopotu. - Hugh domyślił się, że chodziło o przygotowanie jego pokoju.

- Pan bez bagażu? - Mason zerknął za drzwi.

- Kufer nadejdzie pocztą - odrzekł. - Matka w domu?

- W domu. Zdaje się, że siedzą z generałem Hensenem w salonie - powiedział Mason i odebrał z rąk Hugh sakwojaż.

Wiecznie obecny w ich domu generał był kochankiem lady Westleigh.

- Pójdę się przywitać.

Hugh rozejrzał się po ścianach holu obwieszonych portretami rodzinnymi i przypomniał sobie inny, dużo mniejszy, obudowany dębową boazerią, po którym aż do wczoraj poruszał się wyłącznie po omacku. Zapukał do drzwi salonu.

Matka i generał siedzieli na sofie i oglądali kalejdoskop.

- Hugh! - Matka uniosła głowę i rozjaśniła się w uśmiechu. Nieoczekiwanie poczuł wielką radość, że ją widzi. Może narzucała swoją wolę dzieciom, ale zawsze kierowała się ich dobrem. Wstała i nadstawiła policzek do pocałunku.

- Dobrze, że wróciłeś cały i zdrowy. - Generał wyciągnął dłoń do Hugh.

- Mizernie wyglądasz... - Matka musnęła jego policzek wierzchem dłoni. - Co to za blizny?

- Nic strasznego. - Hugh uchylił się przed dotykiem ręki matki. - Parę iskieł trafiło mi w twarz.

- Powinieneś uważać, Hugh. Z ogniem nie ma żartów.

- Moja droga, on nie jest dwuletnim chłopczykiem - zauważył z uśmiechem generał. - Był na wojnie.

Hugh raczej za Hensenem nie przepadał, musiał jednak przyznać, że był przyzwyczajonym człowiekiem i szanował matkę. Nie mógł go potępiać. Sam też uwiódł pewną wdowę...

- Masz rację, mamó. Nie jestem w nastroju na pogawędkę. Chciałem się tylko przywitać. - I zobaczyć cię, dodał w myślach. - Muszę zdjąć strój podróżny. - Wskazał zakurzone spodnie.

- Zrób to. - Matka usiadła z powrotem na sofie. - Przy okazji, dobrze się składa, że wróciłeś. Wieczorem na kolacji będzie cała rodzina.

Kolacja rodzinna? Hugh miał nadzieję, że dzień czy dwa spędzi we względnym spokoju. O ile można liczyć na spokój pod dachem matki.

- Kto się zapowiedział?

- Wszyscy! - wykrzyknęła z radością.

Hugh umył się i wyjął z sakwojażu czyste ubranie. Wciąż bolały go oczy. Pomyślał, że dobrze będzie się zdrzemnąć. Położył się w samych spodniach na łóżku i momentalnie zasnął.

Ocknął się, słysząc pukanie do drzwi.

- Dochodzi pora kolacji - poinformował go Higgley, lokaj matki. - Lady Westleigh mnie przysyła, żebym pomógł panu się ubrać.

- Rany, zasnąłem! - Hugh usiadł na łóżku i potarł oczy. Ból nie ustąpił.

Higgley podał mu świeżą koszulę.

- Powiedz, Higgley, co słyhać w domu - zapytał Hugh, wkładając ramiona w rękawy. - Jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Hugh i Higgley razem dorastali. Byli prawie rówieśnikami, często bawili się ze sobą jako chłopcy. Od kiedy Higgley zaczął służbę u Westleighów, łączył ich rodzaj zmywy. Higgley opowiadał Hugh zasłyszane sekrety rodzinne, a Hugh go chronił

i od czasu do czasu wsuwał mu do kieszeni kilka monet. Pilnował też, by jego kariera się rozwijała.

- Nic pana nie ominęło. Generał Hensen przesiaduje u jaśnie pani od rana do wieczora, ale to dla pana na pewno żadne zaskoczenie. - Higgley strzepnął z kamizelki Hugh niewidoczny pyłek.

- A co u mojego brata i jego żony? - zapytał Hugh, zapinając spodnie.

- Pan hrabia jest bardzo zajęty w Izbie Lordów. A pani hrabina wreszcie... spodziewa się dziecka. No i dobrze, bo pańska matka zaczynała się już niecierpliwić. Mnie się wydaje, że sama hrabina nie była szczęśliwa, widząc, jak przychodzą na świat dzieci pańskiej siostry i pana Rhysdale'a...

Higgley uwielbiał komentować sprawy rodziny. Pod pewnym względem przypominał Tollera. Hugh pomyślał, że będzie mu brakowało tego chłopca, tak jak brakowało mu Higgleya. Cieszył się, że wrócił do domu.

- A co u twoich rodziców? - zapytał. Rodzice Higgleya też kiedyś służyli u Westleighów, ale na starość zamieszkali na wsi. Należeli do tej grupy, która ucierpiała na bankructwie Westleighów, gdyby Ned i Hugh nie znaleźli sposobu na uratowanie rodzinnej fortuny.

- Wszystko w porządku. Mama zajmuje się hodowlą kwiatów i uważa, że jej rabaty dorównują pięknnością rabatom pałacowym, a ojciec jest bardzo dumny ze swojego ogrodu warzywnego, jego zdaniem, najlepiej urządzonego w całym hrabstwie.

Rozmowa zeszła na pozostałych członków rodziny Higgleya, tymczasem Hugh dopiął guziki kamizelki i włożył zakiet. Pogawędka z lokajem wprawiła go w tak dobry nastrój, że pozwolił mu nawet zawiązać swój krawat, chociaż zazwyczaj robił to sam. Na koniec przygładził szczotką włosy i włożył buty.

Z salonu dochodziły odgłosy ogólnej wesołości. Rodzina była już w komplecie. Hugh zapomniał, że jeszcze nie tak dawno pragnął samotności i spokoju. Energicznym krokiem otworzył drzwi.

- Hugh! - Ned ruszył w jego stronę z wyciągniętą dłonią. Twarz brata była poranna zmarszczkami i naznaczona zmęczeniem. Czyżby odziedziczenie rodowego tytułu i obowiązki lorda tak postarzało?

Hugh nie zdążył przywitać się z Nodem, gdy podbiegła do niego Phillipa. Blizna nie zniknęła z jej twarzy, ale nie ona rzucała się w oczy, lecz szczęście promieniujące z jej oczu.

- Prześlicznie wyglądasz, Phillipo! - zawołał Hugh i uzmysłowił sobie, że chyba po raz pierwszy powiedział siostrze coś miłego. Pocałował ją w policzek, ten z blizną, i mocno ją uściskał.

Za plecami Phillipy stał jej mąż, Xavier, wieloletni przyjaciel rodziny.

- Widać, jak służy jej macierzyństwo - zauważył.

Służyło, jak najbardziej. Była uosobieniem kobiecości. Zupełnie nie przypominała chudej, skromnej dziewczyny, której kiedyś Hugh niemal nie zauważał.

- Xavierze, cieszę się, że cię widzę - zwrócił się do szwagra.

- Musisz do nas wpaść - odparł Xavier. - Zobaczysz naszą małą córeczkę. Ona i Phillipa są jak dwie krople wody. - Champion pęczniał z dumy.

- Wpadnę. - Hugh pomyślał, że na pewno wygospodaruje trochę czasu przed wyruszeniem w podróż.

W następnej kolejności przywitał się z Adele, żoną Neda.

- Moja droga, pięknie wyglądasz!

Zachichotała, słysząc komplement. Hugh zdziwił się, że nagle poczuł do niej przyływ sympatii i przestało go drażnić, że jest taka głupiutka. Była bardzo młoda, nie miała nawet dwudziestu lat. Pomyślał jednak, że najważniejsze, że kochała Neda. Nawet teraz wpatrywała się w niego jak w obrazek.

Co się z mną dzieje? - zapytał się w duchu. W ciągu tygodnia spędzonego z Daphne stałem się bardzo sentymentalny. A może wskutek porzucenia szukam pocieszenia w rodzinie, wśród tych, którzy mnie kochają?

Hugh wziął Adele za obie ręce, cofnął się o krok i obrzucił jej postać pełnym aprobaty spojrzeniem.

- Zmieniłaś się. Wyglądasz olśniewająco. - Oczywiście wiedział dlaczego dzięki informacjom od Higgleya.

- Dlatego że się powiększam - rzekła konspiracyjnym tonem i zarumieniała się. - Będziemy mieli dziecko!

- Czy to nie jest wspaniała wiadomość? - do Hugh dotarł z odległości kilku kroków głos matki. Słyszała wszystko, co mówiono w całym pokoju. Nic nie uchodziło jej uwagi. Również to go rozczuliło.

- Rzeczywiście, cudowna. - Hugh uściskał dłonie Adele. - Bardzo się cieszę z twojego szczęścia.

Mówił szczerze. Wiedział, że potomek Neda stanie się dla Adele całym światem.

Przypomniał sobie, jak podejrzewał Daphne, że wyjechała urodzić nieślubne dziecko i jak mało o niej wiedział. Szybko porzucił jednak te ponure rozważania i pocałował Adele w policzek. Ned otoczył ją ramieniem, a wtedy matka przywołała ich gestem.

Hugh mógł wreszcie podejść do Rhysa i Celi. Ich relacje bywały w przeszłości bardzo trudne, głównie z winy Hugh. W wieku chłopięcym burzył się, że ojciec spłodził nieślubnego syna, zdradziwszy matkę. Winą za to obarczał Rhysa. Ilekroć się spotykali, wszczynął z nim bójkę. Obecnie jednak darzył szacunkiem swojego przyrodniego brata. Mówił prawdę, kiedy opowiadał o nim Daphne...

Cholera! - zganił się w duchu. Dlaczego ciągle o niej myśli!?

- Jak się masz, moja trzecia siostrze? - zwrócił się do Celi, całując ją w policzek. Celia była wdową po baronie, zanim wyszła za Rhysa.

- Czekam na komplement - odpowiedziała z dostrzegalną ironią. Hugh przechylił głowę, niepewny, czy się nie przesłyszał.

- Phillipa wygląda prześlicznie, Adele pięknie - i jedno, i drugie jest prawdą - a co o mnie powiesz?

Obejrzał ją od stóp do głów. Ze swoim wzrostem i szczupłą figurą nie mieściła się w obowiązującym kanonie urody. Ale jej oczy błyszczały inteligencją. Należała do tych kobiet, które zyskiwały, kiedy lepiej się je poznało. Niegdyś nikt nie zwróciłby na nią uwagi, a i ona odnalazła miłość.

- Jesteś wyjątkowa... - odpowiedział.

- To mi wystarczy. - Roześmiała się i wsunęła dłoń pod ramię męża.

Hugh objął wzrokiem wszystkich obecnych w pokoju. Bolały go oczy, czuł zmęczenie po niemal całym dniu w siodle, a w jego sercu szalała burza emocji. Wśród nich

najsilniejszy był gniew.

Przez krótki moment wydawało się mu, że miłość jest również w jego zasięgu, ale to wrażenie rozmyło się jak poranna mgła.

Przy stole rozmawiano o dzieciach, obradach parlamentu, sprawach związanych z prowadzeniem Maskarady, fabrykach maszyn parowych Rhysa i sklepach Xaviera. Ned i matka chcieli się dowiedzieć, jak udało się Hugh zamknąć sprawy ojca w Brukseli i ile to kosztowało. Nikt nie zapytał o jego sprawy osobiste i wtedy uzmysłowił sobie, że rzadko się nim interesowali.

Tymczasem podano deser. Na stole pojawiły się patery z ciastami, owocami i, ku konsternacji Hugh, z wyrobami z marcepanu. Mason i Higgley rozlewali do kieliszków szampana. Kiedy napełnili wszystkie, generał Hensen wstał.

- Wasza matka i ja mamy coś do zakomunikowania - oznajmił.

Przy stole ucichło.

- Chciałbym, żebyście wiedzieli, że za sprawą waszej matki stałem się najszcześliwszym z ludzi. Zgodziła się wyjść za mnie.

- Och! - klasnęła w dłonie Adele. - Jaka wspaniała wiadomość!

- Kiedy zamierzacie się pobrać, mamó? - Ned zmarszczył brwi. - Nie minął jeszcze rok od śmierci ojca. Ślub nie może się odbyć w okresie żałoby. Rodzina nie potrzebuje kolejnego skandalu. - Ned w miarę możliwości dbał o reputację rodziny. Pod tym względem zupełnie nie przypominał ojca.

- Naturalnie, poczekamy rok - zapewniła matka. - Postanowiliśmy ogłosić nasze zaręczyny już teraz, żebyśmy mogli widywać się bez narażania się na złośliwości.

Hugh podejrzewał, że plotki już dawno powstały, ale nie mógł winić ani matki, ani generała za to, że postanowili chwycić szczęście.

- Mamó, jeśli to cię uszczęśliwi, to wszystkiego najlepszego - powiedział.

- Bardzo mnie to uszczęśliwi - zapewniła, obdarzając generała rozkochanym spojrzeniem.

- Wzniesmy toast! - Hensen uniósł kieliszek. - Zdrowie waszej matki! Oby nigdy nie pożałowała swojej decyzji i obym ja zdołał otoczyć ją szczęściem.

Gratulacjom i życzeniom nie było końca. Wszystkim zawsze zależało na pomyślności matki, byle nie mówiła im, jak mają żyć. Pod tym względem miała wiele na sumieniu, zwłaszcza wobec Phillipy. Niekiedy była nawet okrutna. Phillipa jednak wybaczyła jej i teraz zdawała się o niczym nie pamiętać.

Wkrótce panie wycofały się do salonu, a Hensen dotrzymał im towarzystwa. W jadalni pozostali Hugh, Ned i Rhys, którym Mason podał brandy. Higgley tymczasem usunął ze stołu patery z ciastem, pozostawiając tylko owoce i marcepan.

Hugh wziął w palce dwa kawałki marcepanu, jeden uformowany w truskawkę, drugi gruszkę, i zmiażdżył je na bezkształtną masę. Zapach marcepanu i brandy przeniósł go do bawialni w małym wiejskim domku, gdzie spędzał wieczory z Daphne.

Cholera! Czy on kiedykolwiek przestanie o niej myśleć?!

- Cieszę się, że jesteśmy razem - do świadomości Hugh przebił się głos Rhysa. - Chciałbym omówić z wami sprawy związane z Maskaradą. Nie mam czasu na prowadzenie klubu, więc poprosiłem Xaviera, by przejął ode mnie wodze... ale on także

nie może.

- Przykro mi, ale naprawdę nie zdołam wziąć na siebie kolejnego obowiązku - potwierdził Xavier. - Mnie także brakuje czasu.

- Tak nie może być! - Ned obrzucił zaniepokojonym spojrzeniem siedzących przy stole mężczyzn. - Nie możemy zrezygnować. Wciąż potrzebujemy pieniędzy z klubu. Nasza sytuacja finansowa jest daleka od stabilizacji. Jeden rok mniejszych zbiorów, a znowu się zadłużymy.

- Dłużej nie mogę prowadzić klubu - powtórzył Rhys. - Prawie nie widuję Celi i dzieci.

- Ja nie mogę się tego podjąć - podniósł głos Ned. - Po pierwsze, nie uchodzi, by par Anglii kierował domem gry, a po drugie, mam dość pracy w naszym majątku i w parlamencie. A teraz jeszcze przyjdzie na świat dziecko... Pozostajesz ty, Hugh. Musisz przejąć klub! - Skoncentrował wzrok na bracie.

- O nie! - zaprotestował Hugh. Od roku po wyjściu z wojska nie robił nic innego, jak tylko wykonywał polecenia brata bądź matki. - Mam inne plany.

- Jakie? - zapytał Ned. - Czy może być coś ważniejszego od pomnażania majątku rodziny i dbania o pomyślność wszystkich zależnych od nas ludzi?

Z tego punktu widzenia podróż dookoła świata rzeczywiście wydaje się egoistyczną zachcianką.

- Musisz nam pomóc. Tylko ty możesz to zrobić - naciskał Ned.

- Trudno wyobrazić sobie lepszego kandydata - dodał Xavier. - Poprowadzisz klub bez najmniejszych trudności.

- Zawsze możesz zwrócić się o radę do mnie - wtrącił Rhys. - Nigdy ci jej nie odmówię.

- A kiedy Rhys będzie poza miastem, możesz liczyć na moje wsparcie - dorzucił Xavier.

- Musisz się zgodzić - nalegał Ned. - Ty jeden spośród nas masz czas, żeby się tym zająć.

- Ale... - próbował oponować Hugh, lecz Ned nie dopuścił go do słowa.

- Umówmy się na jutro, pokażę ci księgi rachunkowe. Nie możemy zrezygnować z prowadzenia klubu. Wciąż grozi nam niewypłacalność. Ojciec naraził nas w Brukseli na wielkie wydatki, o czym sam wiesz najlepiej. Musisz to zrobić dla rodziny, Hugh.

Hugh przymknął powieki i zaczął powoli sączyć brandy. Jeszcze tak niedawno to samo robił wieczorami w zaciszu wiejskiego domku z Daphne. Westchnął i zamrugał powiekami. Trzy pary oczu wpatrywały się w niego z wyczekiwaniem.

Nie widział sensu się sprzeciwiać. Nie cieszyłby się podróżą, wiedząc, że pozostawił rodzinę w potrzebie. Poznał gorycz odrzucenia. Zresztą, byłby równie nieszczęśliwy w Londynie, jak i w podróży. Niech rodzina cieszy się szczęściem, skoro on nie może.

Pociągnął głębszy łyk brandy.

- Dobrze. Zgadzam się.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Daphne zajrzała do kalendarza. Właśnie upłynął miesiąc, od kiedy opuściła Hugh. Nie wiedziała, jak jej się udało przeżyć tyle czasu i nie umrzeć z rozpacz. Myślała o nim nieustannie. Zadawała sobie wciąż te same pytania. Czy jest na statku płynącym ku nieznanym brzegom? Czy w powozie uwożącym go na kontynent? Może wędruje po szwajcarskich dolinach? A może stoi przed wysmaganymi do białości deszczem i wiatrem skalnymi urwiskami nad opactwem w Fahr? Gdziekolwiek jest, życzyła mu szczęścia i miała nadzieję, że już o niej zapomniał.

Dopijała poranną czekoladę i przeglądała listę spraw do załatwienia. Nabrała zwyczaju przygotowywania takich list na każdy dzień tygodnia. Dzięki temu była stale zajęta. Gdyby w ten sposób nie wypełniała sobie czasu, nie pozostawałoby jej nic innego, jak poddać się melancholii.

- Dzięki za dobrą radę - powiedziała na głos do nieżyjącej opatki, która nieustannie powtarzała, że szczęście sprzyja tym, którzy mają ręce zajęte pracą. Daphne od pracy nie stroniła, ale szczęście i tak pozostawało poza jej zasięgiem.

Mąż zostawił jej niewielki majątek ziemski w Vadley. Kiedy po jego śmierci kuzyn przejął odziedziczony w Faville pałac, przeprowadziła się tu na czas żałoby, ale po jej odbyciu wyjechała do Londynu, gdyż tam przebywał Xavier. Nie zadomowiła się w Vadley do tej pory, ale teraz zamierzała to uczynić.

Już następnego dnia po przyjeździe poprosiła rządcę, pana Quigga, aby pokazał jej majątek. Chciała, wzorem matki Hugh, nawiązać znajomość z dzierżawcami i wszystkimi pracownikami, poznać ich nazwiska i sytuację rodzinną.

Była zszokowana tym, co zobaczyła. Domy dzierżawców wymagały remontów, ludzie z trudem wiązali koniec z końcem, dzieci były niedożywione. Gotówka, jaką na utrzymanie majątku ulokował w banku mąż Daphne, nie wystarczała. Teraz jednak to ona ponosiła za to odpowiedzialność.

Napisała do banku za pośrednictwem swojego plenipotenty w Londynie i zażądała dodatkowych środków. Pieniądze zostały przysłane i przystąpiono do najpilniejszych prac. Jej plenipotent zapowiedział przyjazd do Vadley. Spodziewany był właśnie tego dnia.

Drogi pan Everard, pomyślała Daphne. Był jej bardzo oddany, a ona bez skrupułów kiedyś to wykorzystywała. Domagała się, żeby niemal co wieczór towarzyszył jej w Maskaradzie w czasie, kiedy zabiegała o względy Xaviera.

Daphne bała się czekającego ją spotkania. Everard był jej żywym wyrzutem sumienia. Jego widok przypominał, jak nagannie kiedyś postępowała. Gdyby nie to, ona i Hugh mogliby teraz być razem. Ale też mogli równie dobrze nigdy się nie spotkać. Niezbadane są wyroki boskie, przypomniała sobie słowa opatki.

Wejście Monette wyrwało Daphne z zadumy. Pokojówka przyszła pomóc w porannej toalecie.

- Monette! Płakałaś? - Daphne zauważyła zaczerwienione oczy dziewczyny.

- Troszeczkę, proszę pani.

- Dlaczego? Musisz mi powiedzieć! - Daphne miała oczy na mokrym miejscu, więc

natychmiast poczuła wzbierające pod powiekami łzy. – Co cię trapi, Monette?

– Tęsknię za kimś. To wszystko.

Daphne była pełna zrozumienia dla niej; radykalnie zmieniła swoje życie i przyjechała z nią do obcego kraju.

– Za kimś z Fahr? Mnie też brak tamtejszych siostrzyczek.

– Nie o to chodzi. – Pokręciła głową Monette. – Oczywiście, tęsknię za nimi, ale nie chciałabym tam wrócić. Nie płaczę z ich powodu.

– Więc z czyjego? – Zostawiła w Szwajcarii kogoś, bez kogo jest jej tak ciężko?

– Tęsknię do domku w Thurnfield. Do tamtejszych ludzi. Dobrze mi tam było.

– Mnie też się tam podobało – powiedziała cicho Daphne.

– Nie wiem, jak może pani wytrzymać bez pana Westleigha. Wiem, co panią z nim łączyło. Dlaczego go pani zostawiła?

– Tłumaczyłam ci, nie miałam wyjścia, musiałam. Nie wolno mu było dowiedzieć się, kim jestem.

– Ale zrobiła to pani wbrew swojej woli...

– Tak. Nie chciałam go opuścić. Ale musiałam. Dla jego dobra.

Daphne spojrzała z uwagą na odbicie Monette w lustrze nad toaletką.

– Ale ty nie płaczesz za panem Westleighem?

– Nie... – Monette zaczerwieniła się. – Płaczę za Tollerem.

– Za Tollerem? – zdziwiła się Daphne.

– Zaprzyjaźniliśmy się. Pamięta pani, kiedy wybrałyśmy się razem do miasteczka, wypytywałam panią, czy kobiety mogą się przyjaźnić z mężczyznami.

– Pamiętam. – Daphne myślała wówczas, że Monette, wychowaną w żeńskim klasztorze, interesuje natura jej relacji z Hugh.

– Pytałam z myślą o Tollerze. Polubiłam go, ale inaczej niż Mary i Ann.

– Rozumiem. – Daphne aż za dobrze wiedziała, na czym polega różnica.

– A teraz mi go brak! – wybuchła płaczem.

Daphne wstała i przytuliła ją.

– Już dobrze... – Ledwie powstrzymywała łzy.

– Chciałabym, żeby Toller tu był – zawodziła Monette.

– Mogę po niego posłać – wyrwało się Daphne, zanim zdążyła się zastanowić nad tym, co mówi, i nie mogła się już wycofać. – Mogę napisać do Thurnfield i zapytać, czy nie zechciałby podjąć u mnie pracy. Czy to by ci odpowiadało?

– O tak!

Daphne podała pokojówce chusteczkę.

– Otrzyj łzy i rozchmurz się. Napiszę jeszcze dzisiaj.

Daphne zaadresowała list na ręce pana Brilla, agenta pocztowego w Thurnfield, który, była tego pewna, dołoży wszelkich starań, by list dotarł do Tollera. Ledwo skończyła, a pod oknami zaturkotał powóz. Przyjechał pan Everard.

– Milady, jestem zaszczycony, że mnie pani zaprosiła. – Do pokoju wszedł zaanon-sowany przez Cartera gość.

– Panie Everard – Daphne wyciągnęła do niego rękę – cieszę się, że pana widzę. – Nie była to do końca prawda, ale starała się, by w jej ton nie wkraść się nawet cień nieszczerości.

- Carter, proszę, podaj herbatę - zwróciła się do lokaja, który czekał w drzwiach.
- A może woli pan najpierw odpocząć po podróży? - zapytała gościa.
- Chętnie napiję się herbaty - odpowiedział. - Odsapnę później, w gospodzie.
- W gospodzie? Nie chcę o tym słyszeć. Zostanie pan tutaj. Mamy dla pana przygotowany pokój.
- Tutaj? - Everard rozejrzał się ze zdziwieniem, jak gdyby Daphne proponowała mu przenocowanie w salonie. - Nie chcę sprawiać pani kłopotu.
- Nie ma mowy o kłopotcie. Poza tym, będziemy mieli więcej czasu na rozmowy o interesach.
- Niech tak będzie. - Ukłonił się. - Bardzo pani dziękuję.

Wymienili uprzejmości, po czym przeszli do spraw związanych z majątkiem. Daphne zastanawiała, się kiedy zacznie ją upominać, że szasta pieniędzmi na remonty domów dzierżawców i pracowników. Wytrzymał do momentu podania herbaty.

- Jak pani wie, bardzo zmartwiła mnie pani decyzja w sprawie naruszenia zdeponowanego w banku kapitału - powiedział.
- Nie naruszyłam go - zaprotestowała.
- Pani wybaczy. Użyłem niewłaściwego słowa. Miałem na myśli zmniejszenie kapitału. Obawiam się, że może pani nie rozumieć tego mechanizmu. Zmniejszony kapitał nie odrasta. Najlepiej jak jest ulokowany na cztery procent albo zainwestowany, a na bieżące potrzeby wydawane są dochody.

- Doskonale rozumiem, panie Everard - Daphne starała się zachować bardzo uprzejmy ton. - Lecz potrzebowałam tych pieniędzy na sfinansowanie prac w majątku. Wydaje mi się, że nie tknęłam żadnych zainwestowanych długoterminowo środków, a są one dość znaczne. Nadal można mnie uważać za zamożną wdowę, nieprawdaż?

- Zapewne. Ma pani spory kapitał - przyznał. - Ważne jest jednak, żeby nie wydawać go zbyt lekkomyślnie.
- Remont budynków gospodarczych nazywa pan lekkomyślnością? - zaśmiała się.
- Czy nieruchomości nie stanowią najlepszej inwestycji? Mój mąż zawsze to powtarzał.

Zakłopotany Everard zaczął głośno mieszać herbatę.

- Droga pani wie, jak nie lubię sprzeciwiać się jej osądom, lecz po śmierci męża ja odpowiadam za bezpieczeństwo pani majątku.

Daphne zawstydziała się. Everard był jej bardzo oddany. Do tego stopnia, że zgodził się towarzyszyć jej do Maskarady. Nie pomyślała, że mógłby inaczej oceniać jej decyzje, niż sama je oceniała.

- Jestem panu za to niewymownie wdzięczna - powiedziała zniżonym głosem.
- Może sobie pani wyobrazić, jak się martwiłem, kiedy wybrała się pani w podróż na kontynent i przedłużała swój pobyt w Szwajcarii...

Wiedział, że przebywała w klasztorze. Pisał do niej listy, w których prosił, by wróciła do towarzystwa, a także przesyłał jej sprawozdania finansowe. Odpisywała mu. Zawsze. Był jedyną osobą, z którą utrzymywała korespondencję.

- Pobyt w Szwajcarii dobrze mi zrobił - zapewniła go.
- Nie wątpię...
- Jeśli nie jest pan zanadto zmęczony, po herbacie poproszę rządcę, pana Quigga,

żeby obwiózł pana po posiadłości i pokazał, jak są wydawane pieniądze, o których przysłanie prosiłam. Do naszej rozmowy wrócimy później.

Daphne wiedziała, że Everard nie odmówi. Nigdy jej nie odmawiał.

Spotkali się dopiero przy kolacji. Po podaniu zupy Daphne zagadnęła go swoim najbardziej czarującym głosem:

- Więc co pan sądzi?

- Nie zamierzam kwestionować sensowności podjętych przedsięwzięć, chciałbym tylko zwrócić uwagę na ich skalę.

- Ach tak? - zachnęła się.

- Wyznaję, że zdziwiła mnie pani wyjątkowa hojność wobec pracowników i dzierżawców. Mogła pani ograniczyć się do niezbędnych remontów, nie potrzebowała pani dodatkowo obniżać czynszów i podnosić zarobków.

Kiedyś Daphne byłaby skłonna przyznać mu rację. Przed wyjazdem do klasztoru nie zastanawiała się nad losem innych. Myślała jedynie o zaspokajaniu własnych potrzeb i zachcianek.

- A co sądzi o tym pan Quigg? - zapytała.

- Wyraża się o pani decyzjach z najwyższym uznaniem. Twierdzi nawet, że należało zrobić to już dawno. Mnie jednak leży na sercu pani pomyślność. Nie powinna pani rozdawać majątku.

Dlaczego nie? Dlaczego miałyby nie okazywać ludziom hojności? Cieszyła ją radość innych, poza tym uważała, że musi wynagrodzić im lata obojętności. Nigdy wcześniej nie była tak przekonana o słuszności swojego postępowania. Czuła głęboką satysfakcję.

Nie rozumiała tylko, dlaczego Everard nie upominał jej, kiedy szastała pieniędzmi na biżuterię czy stroje albo przegrywała w karty w Maskaradzie.

Nie poruszyła jednak tego niewygodnego tematu. Zamiast mu przypomnieć, jak przy jego pełnej aprobachie wyrzucała pieniądze w błoto, obdarzyła go uroczym uśmiechem i powiedziała:

- Jeśli pozwoli mi pan od czasu do czasu na zaspokajanie tego rodzaju zachcianek, obiecuję panu, że będę traktowała poważnie pańskie uwagi i sugestie.

- Zawsze może pani na mnie liczyć - zapewnił ją i oblał się szkarłatem.

Przy kolejnym daniu rozmowa zeszła na szczegóły dokonywanych remontów. Everard wyrażał się z uznaniem o jakości prowadzonych prac, więc czas upływał w miłej atmosferze. A kiedy doszło do deseru i lokaje dolali wina, zaś tematy związane z usprawnieniami w majątku zostały wyczerpane, Daphne przeszła na sprawy osobiste.

- A co u pana, panie Everard? Proszę powiedzieć, czy wydarzyło się coś ważnego w pańskim życiu?

- W moim życiu? - Znowu się zaczerwienił. - Wszystko idzie raczej dobrze. Nie mogę narzekać na interesy.

- Cieszę się - powiedziała Daphne. Dawniej nie zainteresowałyby się jego sprawami. Nie wiedziała nawet, czy miał także innych klientów. - Ma pan rodzinę? Przykro mi, że nigdy o to pana nie pytałam.

- A dlaczego miałyby pani pytać, milady? - Spojrzał na nią wielce zdziwiony. -

Prawdę powiedziawszy, w zeszłym roku ożeniłem się.

- Jest pan żonaty? - ucieszyła się, że ten poczciwy człowiek znalazł szczęście, które ją omijało. - To wspaniała wiadomość! Proszę mi opowiedzieć o żonie.

- Pochodzi z dobrej rodziny - odparł poważnym tonem. - Jej ojciec pracuje w banku. Tak się poznaliśmy.

- Ależ nie! - wykrzyknęła. - Proszę mi o niej opowiedzieć! Jest ładna? Dystyngowana? - Ładna i dystyngowana to zapewne cechy pożądane u żony, ale czy czynią z niej dobrego człowieka?

- Nie jest tak piękna jak pani... - Uniósł na nią wzrok.

Daphne nie chciała tego słuchać. Machnęła lekceważąco ręką.

- Ale czy jest ładna? - zapytała ponownie i dopowiedziała w myślach: Kochasz ją? Tak jak ja kocham Hugh? Całą duszą i całym ciałem?

- Jest niebrzydka i rozsądna.

Biedny pan Everard.

- Cieszę się, że tak jest - odparła z uśmiechem.

Pomyślała, że da mu podwyżkę, skoro ma na utrzymaniu żonę, ale nie chciała już kontynuować tego wątku.

- Co nowego w Londynie? - zmieniała temat.

- Niewiele wiem, tyle co z plotek lub z gazet.

Poważnie potraktował pytanie, ale nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Spodziewała się kilku zdawkowych zdań na temat obrad parlamentu i repertuaru opery.

Tymczasem Carter z lokajem sprzątnęli ze stołu i zmienili obrus. Na stole pojawiły się owoce i ciasteczka, a w kieliszkach porto. Everard kontynuował:

- Dżentelmen, o którym chciałaby pani usłyszeć, ożenił się z córką hrabiego Westleigh.

Miał na myśli Xaviera. Czy naprawdę chciała o nim usłyszeć?

- Wiem - przerwała mu.

- Nie prowadzi już klubu. O tym też pani wie? Klubem znowu kieruje Rhysdale. Fama głosi, że tamten dżentelmen jest teraz właścicielem różnych sklepów, jednak nie wiem, ile w tym prawdy.

Daphne nie miała prawa interesować się Xavierem. Nie dawała sobie prawa nawet o nim rozmawiać.

- Przypuszczam, że Maskarada została od tamtego czasu wyremontowana na mój koszt?

- Tak. I nadal dobrze prosperuje, chociaż pianistka w masce już tam nie występuje.

Jasne, że nie. Wyszła za mąż i urodziła dziecko, dodała w myślach.

- To mnie cieszy - odpowiedziała z nieco przesadną radością.

- O ile sobie przypominam, w ubiegłym tygodniu natknąłem się w gazetach na wzmiankę, że Rhysdale opuścił klub. Plotki głoszą, że zastąpił go młodszy brat hrabiego. Najwyraźniej Westleighowie cały czas są cichymi współnikami.

Daphne zaniemówiła.

- Młodszy brat? - zapytała z mocno bijącym sercem. Hugh!

- Tak. - Pokiwał głową Everard. - Stary hrabia Westleigh, znany z licznych skandali, zmarł nagle. Tytuł odziedziczył najstarszy syn. Nie słyszała pani?

- Owszem, słyszałam. - Z trudem nadała głosowi obojętny ton.

- Młodszy brat nowego lorda niedawno powrócił z kontynentu. Ojciec pozostawił tam swoje interesy w opłakanym stanie, a młodszy Westleigh pojechał, by je uporządkować. Mówię oczywiście o Hugh Westleighu. On teraz prowadzi Maskaradę.

Daphne kręciło się w głowie. Przy herbacie w salonie była nieobecna duchem. Kiedy zauważyła oznaki zmęczenia u gościa, uznała, że nadarza się sposobność, by wycofać się do swojego pokoju.

- Drogi panie Everard, mam nadzieję, że mi pan wybaczy. Czuję się zmęczona, chciałabym się położyć.

- Tak, tak. Naturalnie. - Przyjął jej słowa z ulgą. - Ja też się położę. Jutro z samego rana wracam do Londynu.

Podał jej dłoń i wyszli razem z salonu. U stóp schodów Daphne się zatrzymała.

- Muszę jeszcze zamienić parę słów z gospodynią. Życzę panu dobrej nocy.

- Oczywiście. Dobranoc pani. - Ukłonił się i wszedł na schody.

Daphne skierowała się ku drzwiom do pomieszczeń dla służby, lecz ich nie otworzyła. Oparła się o ścianę i czekała. Weszła na schody dopiero wtedy, gdy ucichły odgłosy kroków Everarda.

Nareszcie była sama i mogła pomyśleć o Hugh. Jako niewidomy nie mógłby przecież prowadzić domu gry. Ta praca wymaga bardzo czujnego oka. Ale dlaczego nie udał się w podróż? Co zmieniło jego plany?

Daphne zamknęła oczy. Przypomniała sobie wnętrze klubu. Wyobraziła go sobie chodzącego od pokoju do pokoju, rozmawiającego z gośćmi, doglądającego pracowników. Z pewnością pięknie się prezentuje w wieczorowym stroju pośród bywalców klubu, pomyślała. Nie potrafiła tylko wyobrazić sobie jego twarzy. Zapamiętała ją osłoniętą bandażem.

Na pewno jednak by go rozpoznała. Bardzo jej brakowało jego widoku. Chciałaby zobaczyć, jaki kolor mają jego oczy, jeszcze raz na niego spojrzeć.

Serce Daphne przyspieszyło. Jedyнным miejscem, gdzie mogłaby spotkać Hugh, nie będąc rozpoznaną, jest Maskarada. Zawróciła i zbiegła kuchennymi schodami do pomieszczeń służby. Musiała powiadomić Cartera, że pan Everard będzie miał towarzystwo w drodze do Londynu.

Rano Daphne postarała się zejść na śniadanie tuż przed Everardem. Ucieszył się na jej widok, kiedy wchodził do zalanego porannym słońcem pokoju śniadaniowego.

- Milady, nie spodziewałem się zastać pani przy stole tak wcześnie.

- Chciałam się upewnić, że pana zobaczę.

Zaczerwienił się i nic nie odpowiedział.

- Bo widzi pan - ciągnęła - ja także postanowiłam jechać do Londynu. Na kilka dni. Nie potrzebuje pan korzystać z publicznego dyliżansu. Może pan pojechać ze mną i moją pokojówką.

- Wybiera się pani do Londynu? Tak nagle? Wczoraj nic pani o tym nie wspominała.

- Rzeczywiście, decyzję podjęłam wieczorem... - Zatrzepotała rękami. - Niech się pan częstuje. Mam nadzieję, że kucharka stanęła na wysokości zadania i przygo-

towała coś, co pan lubi.

Everard nałożył sobie jedzenie na talerz i usiadł naprzeciwko Daphne.

- Bardzo proszę, niech pani się nie fatyguje, nie mam nic przeciwko publicznemu dyliżansowi.

- To żadna fatyga.

- Gdybym pojechał przodem, mógłbym uprzedzić londyńską służbę, żeby przygotowała dom na pani przyjęcie.

- To nie jest konieczne. Już wysłałam posłańca. Nic nie wymaga znacznych przygotowań.

- Milady, skąd ten pośpiech?

- Nie ma mowy o pośpiechu. - Kłamała. Nie mogła się doczekać widoku Hugh. - Pod wpływem pańskich opowieści nabrałam chęci ujrzenia Londynu. Po co miałyby pan jechać dyliżansem, skoro może skorzystać z mojego powozu?

- Milady, pozwoli pani na szczerość?

- Oczywiście - przytaknęła, chociaż nie miała zamiaru słuchać jego uwag.

- Czy pani decyzję o wyjeździe przyspieszyły moje słowa o pewnym dżentelmenie? Odradzałbym pani próbę spotkania się z nim.

Rzeczywiście chodziło o pewnego dżentelmena. Ale nie o Xaviera.

- Ależ skąd, panie Everard. Nie zamierzam spotykać się z tym dżentelmenem.

Do pokoju zapukała Monette, wyglądała na zmieszaną.

- Pani wybacz, że przeszkadzam, milady, nie mogę znaleźć masek, o których zapakowanie pani prosiła. Nie ma ich w garderobie.

Wejście Monette pomieszało szyki Daphne. Nie zamierzała wtajemniczać Everarda w plan odwiedzenia Maskarady.

- Może są w kufrze. Niech któraś ze służących pokaże ci, gdzie jest przechowywany. Ale nie rób z tego powodu zamieszania. Kupimy w Londynie wszystko, czego nam potrzeba.

Stare maski i tak wymagały modyfikacji. Chciała, by zakrywały całą twarz.

- Pani chyba nie zamierza odwiedzić Maskarady! - wykrzyknął Everard po wyjściu Monette.

- Bez obaw, panie Everard - odpowiedziała czarującym głosem. - Chcę się tylko upewnić, że remont został zakończony i wewnątrz odzyskało dawną świetność.

- Z przyjemnością sam wykonałbym dla pani to zadanie. O ile pani pamięta, była pani proszona o niepojawianie się tam w przyszłości.

- Wiem. - Zakaz wstępu do klubu był dla Daphne wielce upokarzający. - Dlatego zamierzam udać się tam w masce.

- Widzę, że raczej nie uda mi się wyperswadować milady tej decyzji?

- Niech się pan nie martwi. Obiecuję dobrze się zachowywać - odrzekła i uśmiechnęła się czarująco.

- W takim razie - westchnął - będę pani towarzyszył.

Nie tego chciała!

- Wykluczone! - wykrzyknęła, po czym zniżyła głos. - Jeśli pan pójdzie ze mną, na pewno zostaniemy rozpoznani.

- Nie mogę zatem pani na to pozwolić.

- Poradzę sobie. Udam się z kimś ze służby.

Dwie godziny później byli gotowi do drogi. Powóz zajechał przed dom. Na koźle zasiadał Smith z chłopcem stajennym. Carter miał pojechać na górze wraz z nimi. Everard, Monette i Daphne usiedli w środku.

Monette była ostatnią osobą, która wyszła z domu. Wyglądała, jakby udawała się na szubienicę, a nie na wycieczkę do Londynu, która powinna sprawić jej wielką radość. Daphne odebrała z jej rąk koszyk z jedzeniem na drogę.

- Na Boga, Monette, czym się martwisz? W Londynie kupimy wszystko, czego zapomniałaś zapakować.

- Nie o to chodzi, milady. Myślę o Tollerze. Nie będzie nas w domu, gdy przyjdzie od niego list.

- Uprzedziłam go o tym - Daphne pogłaskała rękę dziewczyny - kiedy pisałam do gospodyni, zapowiadając nasz przyjazd do miasta. Prosiłam, żeby skontaktował się z nami w Londynie. - Nachyliła się do ucha Monette. - Obiecuję ci, nie wyjedziemy z Londynu, dopóki od niego nie otrzymasz wieści. Zadowolona?

- O tak, milady! - rozpromieniła się dziewczyna.

Everard zajął miejsce naprzeciwko Daphne i jej pokojówki. Powóz ruszył. Daphne natychmiast zamknęła oczy i oparła głowę o pokryty czerwonym aksamitem zagłówek siedzenia. Podróż potrwa co najwyżej siedem godzin. Zdążą do Londynu jeszcze za dnia, lecz po zajechaniu do miejskiej rezydencji, którą zostawił jej zmarły mąż, Daphne będzie zbyt zmęczona, by udać się do Maskarady. Poczekaj do jutra.

Już jutro zobaczy Hugh.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Daphne szła do Maskarady z duszą na ramieniu. Towarzyszył jej Carter. Smith miał wrócić po dwóch godzinach. Zamierzała spędzić w klubie tylko tyle czasu, aby nie ryzykować. Mogła nawet nie zobaczyć Hugh, lecz nie chciała zwracać na siebie uwagi innych gości. Wybrała jedną ze swoich najskromniejszych sukien, ciemnoniebieską, do której włożyła czarną maskę. Razem z Monette doszły do niej woalkę. Carter też był w masce i zachowywał się ze swobodą świadczącą o tym, że nie odwiedzał domu gry po raz pierwszy. Daphne postanowiła porozmawiać z nim na ten temat później.

Otworzył im ten sam lokaj, który przed dwoma laty odgrywał rolę odźwiernego. Cummings. Carter zdjął kapelusz i rękawiczki, podał je Cummingsowi jak prawdziwy dżentelmen. Daphne oddając pelerynę, zauważyła, że bacznie się jej przypatrywał.

- Zapraszam państwa do kasy. - Wskazał otwarte na rozcież drzwi do sąsiedniego pokoju.

Kasjerem był również ten sam mężczyzna co dawniej. Nazywał się MacEvoy. Wydawał pewnemu dżentelmenowi żetony z macicy perłowej. Ów dżentelmen, starszy pan, ukłonił się Daphne. Jego też pamiętała.

- Sir Reginald, do usług. - Obejrzał ją od stóp do głów. - W razie potrzeby może pani liczyć na moją pomoc.

- Dziękuję. - Skłoniła głowę. Nie miała zamiaru o to prosić.

- Szanowni państwo, na wypadek gdyby byli państwo u nas po raz pierwszy, pozwolę sobie na kilka słów wyjaśnień - wtrącił MacEvoy. - Goście w maskach mogą obstawiać tylko do wartości zakupionych żetonów. Nie wolno im podpisywać weksli. Czy to jasne?

- Tak - potwierdziła Daphne. Dwa lata temu obowiązywały te same zasady.

Carter wykupił żetony. Czekając, aż je przeliczy, Daphne przyłapała spoczywające na niej spojrzenie MacEvoya.

- Naprawdę nigdy państwo tu przedtem nie byli? - zapytał.

- Nigdy - odpowiedział zgodnie z prawdą Carter. - Gdzie jest wejście do sali gier?

- Po prawej stronie holu. Tam, skąd dochodzi gwar rozmów.

Weszli, a Daphne odetchnęła z ulgą. Carter oddał jej połowę zakupionych żetonów.

- Czy naprawdę będę mógł zagrać za resztę? - zapytał.

- Możesz. I zatrzymaj dla siebie wygraną. Baw się dobrze. Nie musisz dotrzymać mi towarzystwa. Bądź tylko gotowy do opuszczenia klubu za dwie godziny.

Daphne miała wrażenie, jak gdyby nigdy stąd nie wychodziła. Nic się nie zmieniło. Przy stołach gry panował taki sam tłok. W przeciwieństwie do dam, większość panów występowała bez masek. Pokój wypełniał szmer rozmów.

- Widzisz go? - zapytała Cartera, rozejrzawszy się po pokoju.

- Nie. - On też zdążył już dokładnie zlustrować wszystkich obecnych.

Daphne westchnęła ciężko.

- Idź zagrać, Carter. Ja przejdę się po pokoju, zanim zdecyduję, przy którym stole usiądę.

Spacerując pomiędzy stołami, Daphne starała się nie sprawiać wrażenia, że kogoś szuka, a mimo to zwracała na siebie uwagę zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Kiedyś ten fakt cieszyłby ją, dzisiejszego wieczoru wolałaby pozostawać niezauważona. Carter właśnie tasował karty z wprawą wytrawnego gracza. Widać było, że jest w swoim żywiole.

Zatrzymała się przy stole, przy którym grano w faraona. Wiedziała, że musi w końcu okazać zainteresowanie rozgrywką. Krupierką była młoda kobieta. Daphne pamiętała jej imię - Belinda. Kiedyś królowała przy stole do gry w kości.

Daphne postawiła dwa żetony na siódmkę. Tyle dni spędziła w intymnej zażyłości z Hugh. Belinda wyciągnęła kartę z pudełka.

- Dziesiątka. - Grający z jękiem zawodu patrzyli, jak krupierka zgarnia żetony. Kiedy skończyła, wyciągnęła drugą kartę.

- Siódmka!

Daphne uśmiechnęła się. Jej szczęśliwa liczba. Zgarnęła wygraną, pozostawiając dwa żetony na siódmce. W pudełku powinny być jeszcze trzy siódmki. Miała szansę wygrać więcej.

Wtedy uniosła wzrok i zamarła. Obok niej stał Hugh!

Szybko opanowała się i obejrzała dokładnie jego twarz. Nie miał klasycznej urody. Cień zarostu na szczęce dodawał mu uroku tajemniczości. Oczy miał brązowe. Duże i ciemno oprawione. I widział!

Chociaż wiedziała o tym, dopiero teraz uświadomiła sobie to w całej pełni. Cel jej wizyty w klubie został osiągnięty. Nie mogła jednak ot, tak sobie wyjść. Naraz zapragnęła go dotknąć, przesunąć opuszkami palców wzdłuż brwi, przeczesać dłońmi niesforne czarne włosy...

Niestety, musiała zadowolić się wrażeniami wzrokowymi.

- Siódmka! - Belinda wyciągnęła kolejną kartę z pudełka.

Wszystkie oczy, włącznie z Hugh, spoczywały na Daphne, kiedy zgarniała wygraną. Jego zainteresowanie było jednak bezosobowe. Kilku panów położyło żetony na siódmkę. Ona swoje dwa początkowe również. Nie zależało jej na wygranej. Wolałaby nawet przegrać, ponieważ jej przegrana przysłużyłaby się Westleighom, a więc i Hugh. Uważała się wciąż za dłużniczkę tej rodziny. Niemal spaliła klub i naraziła na niebezpieczeństwo życie wielu ludzi.

- Szczęście pani sprzyja - zauważył ktoś obok. Odwróciła się. Lord Sanvers, którego spotkała po pożarze w Ramsgate. Wiedział, że zaopiekowała się Hugh.

- Owszem - odrzekła z bijącym sercem, niepewna, czy ją rozpozna.

Szybko jednak przestała skupiać na sobie uwagę, bowiem przegrała dwie tury z rzędu. Nie spuszczając wzroku z Hugh, przeniosła się do stolika, przy którym grano w kości. Sanvers powędrował za nią.

- Czy my się przypadkiem nie znamy? - zapytał. - Nazywam się lord Sanvers. Przyszła pani sama?

- Nie, towarzyszy mi przyjaciel. A pan? - Daphne uznała słowa Sandersa za impertynenckie.

- Ja tak. I byłbym zachwycony pani towarzystwem. - Rozpromienił się, ona zaś

gorączkowo zastanawiała się, jak uwolnić się od niego.

- Dziękuję. Ale poszukam swojego towarzysza.

Nie czekając na jego odpowiedź, wyszła z sali gier i udała się do jadalni. Spodobało się jej to, co zobaczyła. Na jasnych ścianach odtworzono dekoracyjne sztukaterie. Po pożarze nie było śladu. Fortepian Phillipy Westleigh również stał na swoim miejscu i na jego widok Daphne wspomniała zachwyty malujący się na twarzach gości podczas jej występów. Sama też ją podziwiała.

- Czym mogę pani służyć? - spytał lokaj z tacą z kieliszkami z winem.

Kolejna znajoma twarz, pomyślała, wzięła kieliszek i podeszła do bufetu. Obok stała lampa, taka sama jak ta, którą kiedyś cisnęła o ścianę w przypływie złości. Daphne zamknęła oczy. Przypomniała sobie palące się zasłony i wzdrygnęła się.

- O, tu pani jest! - Oprzytomniała. Znowu zaczepił ją Sanvers. - Czy mogę podać pani talerz?

Hugh zauważył, że Sanvers rozmawia z kobietą, która wygrywała w faraona. Już raz mu uciekła, ale podstarzały uwodziciel nie dawał za wygraną. Kobiety nie przychodziły do Maskarady, żeby uwodzić mężczyzn, lecz żeby grać. Wiedział, że jeśli owa kobieta czuje się nagabywana, nie zechce powrócić. Jego obowiązkiem było również dbanie o komfort gości, a w szczególności kobiet. Powinny czuć się bezpiecznie i swobodnie.

Obserwował ich, żeby się upewnić, czy nieznajoma odpowie na awanse Sanversa. Instynkt go jednak nie mylił. Nie była zadowolona. Hugh przeszedł przez pokój i zbliżył się, pozornie przypadkiem, do gości stojących przy bufecie.

- Zechce pani usiąść przy moim stoliku, *madame*? - podsłuchiwał słowa Sanversa kierowane do damy w masce z woalką.

Hugh poczuł od niej zapach różanych perfum i zamarł. Zamknął oczy i ponownie wciągnął głęboko powietrze. Doszła go jej odpowiedź.

- Miło z pana strony, ale dziękuję za zaproszenie. Nie skorzystam.

Znał ten zapach i głos.

- Ktoś tak piękny, jak pani, nie powinien jeść w samotności - nalegał Sanvers.

- Ktoś tak dobrze wychowany, jak pan, powinien respektować życzenie damy - odrzekła.

Nie było mowy o pomyłce. Osoba, której nigdy nie spodziewał się spotkać, była tutaj. Hugh otworzył oczy.

- Pan wybaczy, Sanvers. - Z mocno bijącym sercem wszedł między nich. Zauważył otwierające się szeroko oczy kobiety i chwycił ją za ramię.

- Muszę zamienić z ową damą kilka słów. Proszę ze mną - rzucił, nie wiedząc, jak powinien się do niej zwracać.

Nie protestowała. Wyszli z jadalni na korytarz, gdzie znaleźli się sami. Dopiero wtedy przemówiła tak dobrze mu znanym tonem guwernantki.

- Proszę się wytłumaczyć!

- Zechce pani udać się ze mną na górę.

Nie zamierzał rozmawiać z nią w tym miejscu. Nie czekając na odpowiedź, poprowadził ją do prywatnych pokojów Rhysa, które teraz sam zajmował. Nie chciał dłużej mieszkać pod jednym dachem z matką i generałem.

Gdy znaleźli się w salonie, zamknął drzwi.

- Jak można tak traktować kobietę? - spróbowała udać oburzenie, choć przeczuwała, że było już za późno.

- Daj spokój, Daphne, czy jak tam brzmi twoje imię. Widzisz moją twarz, co daje ci nade mną przewagę. Odpowiedz na pytanie: co tu robisz?

- A po co ludzie przychodzą do domu gry? Nie rozumiem, dlaczego pozwala pan sobie na tak poufały ton. Nie znamy się... A poza tym nie ma pan prawa mnie przetrzymywać w tym pokoju!

Czy ona naprawdę sądzi, że dam się na to nabrać?

- Zdejmij maskę, Daphne. - Chciał wreszcie zobaczyć jej twarz.

- Nie. Przyszłam tutaj, bo jest to jedyne miejsce, gdzie maskę mogę nosić. - Skrzyżowała ramiona na piersiach. - Nikomu nie pokażę twarzy. Nawet panu.

- Nawet mnie? - Wykonał krok w jej kierunku, a ona cofnęła się. - Więc przyznajesz się, że mnie znasz?

- Do niczego się nie przyznaję.

Wycofała się aż pod ścianę, a on oparł o nią dłonie i zamknął Daphne między swoimi ramionami.

- Po co przyszłaś? Chciałaś się zabawić moim kosztem? A może miałaś jakiś inny plan? Zawsze kryjesz w zanadrzu jakieś niespodzianki?

Naraz wydała mu się mała i krucha. Pamiętał, jak trzymał ją w ramionach, jak dotykem uczył się jej ciała. Zamknął znowu oczy i poczuł, że otacza go jej zapach i ciepło.

Dopiero po chwili przywołał się do porządku i spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem.

- Chciałam przyjść. Bez żadnych ukrytych intencji. Nikt nie miał się o tym dowiedzieć.

Nachylił się nad nią. Ich twarze dzieliło kilka centymetrów. Czuł na ustach jej oddech.

- A zwłaszcza ja - stwierdził. - Odsłoń twarz, Daphne.

- Nie prosz o to, Hugh - wyszeptała. - Pozwól mi odejść, a obiecuję, że nigdy już mnie nie zobaczysz... ani nawet o mnie nie usłyszysz.

- Mam ci pozwolić odejść? Znowu chcesz opuścić mnie bez słowa wyjaśnienia? Czy to, co między nami zaszło, nie daje mi przynajmniej prawa do zadawania pytań? Czy to, co nas połączyło, również było kłamstwem i przez cały czas grałaś?

- Nie wszystko było kłamstwem - odpowiedziała, patrząc mu w oczy, zaraz jednak odwróciła wzrok. - Lepiej będzie, jeśli nie dowiesz się, kim jestem.

Zauważył, że miała błękitne tęczęwki jak bezchmurne wiosenne niebo, usta świeże jak pączek róży, której zapach ją otaczał. Jakże chciał ujrzeć całą jej twarz!

- Lepiej dla kogo? Skąd wiesz, co jest dobre dla mnie? Zdejmij maskę. Jesteś mi to winna.

- Nie. Pozwól mi odejść, Hugh! - Odepchnęła go.

Jej dotyk zelektryzował go. Machinalnie objął ją i przycisnął do piersi. Opierała się, lecz tylko przez krótką chwilę.

- Hugh! Och, Hugh...

Przywarli do siebie i zastygli w bezruchu, chłonąc wzajemną bliskość. Odnalazł

jej usta i zaczął całować je z gwałtownością odzwierciedlającą jego tęsknotę, złość i pożądanie. Odpowiedziała równie namiętnie. Objęła dłońmi jego twarz i wpiła się w jego wargi.

Miał dość dzielących ich barier, sekretów, kłamstw i... zerwał z jej twarzy maskę. Z krzykiem odepchnęła go. Czuł pulsującą w żyłach krew, ciężko oddychał i patrzył, oczom nie wierząc.

Znał ją!

- Lady Faville!?! - wyjąkał.

Nie było mowy o pomyłce. Gładka, alabastrowa twarz z naturalnymi rumieńcami na policzkach, pełne usta, wielkie niebieskie oczy otoczone długimi czarnymi rzęsami. Włosy jak utkane ze złotej przędzy. Kuszące krągłości figury. Cały Londyn ją znał.

Nie mógł sobie wyobrazić bardziej perfidnego oszustwa. Cios był wyjątkowo bolesny. W jednej chwili intymne chwile, które ich łączyły, przestały cokolwiek znaczyć. Hugh nie miał też wątpliwości, że cokolwiek znaczyły dla niej. Znowu ją utracił. Tym razem jednak na zawsze.

Daphne czuła napływające do oczu łzy.

- Mówiłam, żebyś nie dotykał mojej maski! - Wyrwała mu ją z ręki, lecz jej nie włożyła.

- Lady Faville - powtórzył jej imię, które teraz w jego ustach zabrzmiało jak przekleństwo.

- Rozumiem. Zabroniliście mi pokazywania się w waszym klubie i jestem tu po raz ostatni.

Nie odpowiedział, a Daphne kontynuowała:

- Nie bój się, nie podpalę was po raz drugi. Zaraz wyjdę, przekonasz się, że nie mam zamiaru zrobić niczego złego. - Ruszyła ku drzwiom, ale złapał ją za rękę.

- Nie wyjdiesz - powiedział z twarzą wykrzywioną złością. - Nie masz zamiaru zrobić niczego złego, powiadasz? Już zrobiłaś! Nie wyjdiesz, dopóki nie wytłumaczysz się ze swojego postępowania.

- Czy moje motywy nie są dla ciebie jasne, Hugh? - zapytała.

- Nie. Czy to sposób na rewanż za Xaviera? Szukasz sposobu, aby odegrać się na mojej rodzinie? - odpowiedział pytaniem i puścił ją.

- Ani jedno, ani drugie. - Z rezygnacją opadła na najbliższy fotel. - Nie mam nic na swoją obronę, Hugh. Oszukałam cię i nie powinnam się tu pokazywać. Uległam głupiej zachciance.

- Zachciance? Przez dwa tygodnie udawałaś kogoś innego, wiedząc, że gdybym mógł cię zobaczyć, rozpoznałbym cię. Na dobitek poszłaś ze mną do łóżka. Jakiej reakcji się spodziewałaś?

- Wyrzuciłam ci krzywdę. - Nie miała nic na swoją obronę? Nic. Odnosiła wrażenie, że jej serce przeszywa sztylet. Wstała, ale ponownie ją zatrzymał. Był tak blisko, że przypomniawszy sobie, jak stanowili jedność.

- Odchodzę - powiedziała cicho. - I obiecuję, że nigdy nie wrócę.

- Obiecujesz? Twoje obietnice nic nie znaczą!

Daphne nigdy niczego mu nie obiecywała, ale nie widziała sensu się spierać.

- Nieważne, czy mi wierzysz, czy nie. Ale nie powinnam tu się pokazywać.

- Jak mogłaś sądzić, że cię nie rozpoznam?

- Noszę maskę z woalką... Nie wyobrażałam sobie, że mógłbyś skojarzyć, że lady Faville i pani Asher to ta sama osoba.

Świdrował ją błyszczącym wzrokiem. Intensywność jego spojrzenia obudziła w niej niepokój.

- Poznałem cię niemal od razu, Daphne. Tak masz na imię? Czy to też kłamstwo?

- Nazywałam się Daphne Asher, zanim zostałam lady Faville.

- Więc kłamstwo było tylko połowiczne...

- Tak.

Zegar na gzymsie nad kominkiem zabił dwa razy. Oboje wzdrygnęli się.

- Muszę iść, Hugh. Mój powóz miał zajechać właśnie o drugiej.

Usunął się jej z drogi. Szła ku drzwiom na nogach jak z waty. Nie potrafiła odmówić sobie ostatniego nań spojrzenia. Odwróciła głowę. Stał podparty pod boki, odprowadzał ją wzrokiem. Przełknęła łzy i otworzyła drzwi. Na korytarzu włożyła na twarz maskę. Włosy i ubranie miała w nieładzie, ale nie zwracała na to uwagi. Dla większości bywalców klubu była jedną z wielu zamaskowanych dam uprawiających hazard.

Na półpiętrze czekał lord Sanvers niczym myśliwy na zwierzyne.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał.

- Nie pańska sprawa - odpowiedziała chłodnym tonem.

Carter zaraz zjawił się w holu.

- Wymienię pani zetony na gotówkę, milady - zaproponował.

Cummings stał na posterunku przy wyjściu.

- Proszę o nasze okrycia - zwróciła się do niego Daphne.

Patrzyła pustym wzrokiem na drzwi i myślała o tym, aby jak najszybciej wyjść. Później będzie miał dość czasu, żeby się nad sobą użalać. Tę wyprawę do Maskarady będzie musiała dopisać do listy błędów, jakie popełniła w swoim życiu.

Ze schodów zszedł Hugh. Daphne nie spodziewała się, że zechce ją pożegnać.

- Pomogę pani włożyć pelerynę - rzucił Cummingsowi, który wyłonił się z szatni. Zapewne chciał mieć pewność, że ona naprawdę opuści klub. Innego wytłumaczenia Daphne nie widziała.

- Kto z tobą przyszedł? - zapytał tak cicho, że tylko ona mogła usłyszeć. - Chyba nie powiesz, że przyszłaś sama. Byłoby to kolejne kłamstwo.

- Jest ze mną Carter. - Wiadomość zaskoczyła go.

Carter, nadal w masce, wyszedł z pokoju kasjera. Widząc Hugh u boku Daphne, zamarł. Hugh zbliżył się do niego.

- Carter?

- Tak, proszę pana.

- Wychodzimy - wtrąciła się Daphne; musiała przeszkodzić dalszej indagacji.

- Powóz czeka...

Cummings podał Carterowi kapelusz i rękawiczki, a potem otworzył drzwi. Ku konsternacji Daphne Hugh wziął ją pod ramię i wyprowadził przed dom, gdzie na chodniku mieli czekać na powóz. Carter dyskretnie oddalił się parę kroków, pozostawiając Daphne sam na sam z Hugh, z czego ona wcale nie była zadowolona.

- Domyślam się, że to Smith po was zajędzie, o ile służba też nie używała fałszy-

wych nazwisk – odezwał się.

– Wszystkie nazwiska były prawdziwe, włącznie z moim – odparła Daphne. – Po co wyszedłeś, Hugh? Chciałeś się upewnić, że naprawdę odjadę, jak zapowiedziałam?

– Być może... Teraz trudno mi wierzyć we wszystko, co mówisz.

– Rozumiem. Nie mogę mieć ci tego za złe.

Znów zapadła cisza. Stali tak, nie odzywając się, aż wreszcie zajechał powóz. Carter pospieszył otworzyć drzwiczki i opuścił stopnie.

– Dobranoc, Hugh – wyszeptała Daphne.

W świetle zawieszanej nad drzwiami domu latarni wyglądał pięknie i tajemniczo. Miał zagniewaną minę. Stłumiła szloch i jeszcze raz, ostatni raz, na niego spojrzała. Bez słowa pomógł jej wsiąść, kiwnął na pożegnanie Carterowi, który wsiadł za Daphne.

Zamknął drzwiczki i powóz ruszył.

Siedzący naprzeciwko Carter zdjął maskę, lecz milczał.

– Poznał mnie – odezwała się. – Poznał mnie po głosie.

– Tak myślałem, milady.

– Nie przypuszczałam, że tak się stanie. Był na mnie bardzo zły.

– Przykro mi, milady. – Współczucie Cartera było szczere.

– Nie powinnam tu przyjeżdżać. W ogóle nie powinnam opuszczać Vadley.

– Stało się. Ale przekona się pani, że wszystko dobrze się skończy.

Spojrzała na niego zdziwiona i stwierdziła, że to samo zapewne powiedziałyby opatka. Uśmiechnęła się.

– Dziękuję, Carter. Jak ci poszło przy stoliku karcianym? Ja co nieco wygrałam.

– Poszło mi całkiem dobrze.

– Nie byłeś po raz pierwszy w takim miejscu, prawda, Carter?

– Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza, milady.

– Ani trochę. – Któregoś dnia zapyta go o więcej szczegółów. Może to wcale nie przypadek, że znalazła go bez grosza i dachu nad głową w Fahr.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Hugh patrzył za odjeżdżającym powozem Daphne dopóty, dopóki nie zniknął za zakrętem w ulicę St. James. Wciąż nurtowało go pytanie, po co przyjechała. Poznał jedynie jej nazwisko, które tak usilnie starała się ukryć. Ale dlaczego?

Dobrze pamiętał lady Faville. Przychodziła do Maskarady i próbowała usidlić Xaviera. To go odstraszyło od przyłączenia się do liczego grona jej wielbicieli. Szła do celu, nie bacząc na to, że może złamać komuś życie. Później okazało się, że ofiarą jej bezwzględności o mały włos nie padła jego siostra. Jakby tego było mało, z zemsty za to, że nie udało się jej zdobyć Xaviera, podpaliła klub.

Jaki los spotkałby jego rodzinę, gdyby Maskarada spłonęła? Westleighowie utonąliby w powodzi długów.

Ale dlaczego wróciła? Na to pytanie nie znał odpowiedzi.

Wszedł do środka. Cummings stał przy drzwiach jak żołnierz na posterunku, którym rzeczywiście niegdyś był – służył w pułku Rhysa.

- To była lady Faville? - zapytał.

- Tak. - Hugh zdziwił się, że Cummings ją poznał.

- Tak myślałem.

Przez miesiąc, od kiedy kierował klubem, Hugh nauczył się rozpoznawać większość stałych bywalców, jednak daleko mu było do Cummingsa i MacEvoya. Ci dwaj bezbłędnie identyfikowali każdego gościa. Potrafili też z miejsca wypatrzeć oszusta.

- Już tu nie wróci - powiedział Hugh.

Cummings uniósł z niedowierzaniem brew, ale Hugh nie zamierzał go przekonywać. Wiedział, że Daphne nigdy nie pokaże się w Maskaradzie.

Westchnął ciężko i skierował się ku drzwiom do sali gier. Miał obowiązki.

Przebrana w nocną bieliznę usiadła przy toalecie. Monette miała rozczesać jej włosy i zapleść w warkocz. Daphne nie chciała patrzeć na swoje odbicie w lustrze, nie spodziewała się jednak, że Monette to zrozumie.

Toaletka była prawdziwym dziełem sztuki snycerskiej. Miała dwa boczne lustra i kilkanaście szufladek na różne drobiazgi: kremy, róże, szpilki do włosów czy grzebnyki. Oraz na flakoniki różanych perfum.

- Bardzo rozgniewał się na panią? - zapytała dziewczyna.

- To było nieuniknione, kiedy odkrył, że nazywam się lady Faville.

- I dlatego przedtem nie przyznawała się pani do tego?

- Tak.

Daphne miała rację, domyślając się, że Hugh wpadnie w złość nie tylko wtedy, kiedy pozna jej nazwisko, lecz także kiedy się dowie, że przez dwa tygodnie konsekwentnie wprowadzała go w błąd.

Monette usunęła szpilki z włosów Daphne. Złociste loki spłynęły do ramion. Spojrzała na odbicie dziewczyny w lustrze. Miała zaciśnięte usta i zmarszczone brwi.

- Monette, nie martw się, to mój kłopot, nie twój.

- Nie o to chodzi, milady. Prawda, martwię się o panią, nie lubię patrzeć, jak jest

pani taka nieszczęśliwa, ale...

- Ale co, Monette?

Monette przez chwilę w milczeniu szczotkowała włosy Daphne.

- Wracamy do Vadley, prawda? - zapytała.

Daphne zrozumiała.

- Martwisz się, że Toller napisze na londyński adres i jego list nas tu nie zastanie?

Daphne niczego bardziej nie pragnęła niż powrotu do domu i zajęcia się porządkowaniem spraw w majątku. Nie będzie miała czasu myśleć o sobie. Ani o Hugh. Miała jednak miękkie serce i czuła słabość do Monette.

- Nie martw się. - Odwróciła się i ścisnęła rękę dziewczyny. - Poczekamy na list od Tollera. Obiecałam, że pokażę ci Londyn. A poza tym zamówimy liberię dla lokajów i nowe sukienki dla pokojówek.

- Podoba mi się ten pomysł, milady - odpowiedziała Monette z uśmiechem. - A najbardziej to, co się tyczy Tollera.

- Wiem. - Daphne uśmiechnęła się. - Jeśli Toller wyrazi chęć przyjazdu, poczekamy na niego.

Po pożarze w Maskaradzie pan Everard poradził Daphne, by wyjechała na kontynent do czasu, aż ucichnie skandal. Nie było jej w kraju dwa lata. Czy to wystarczająco długo? Nie zamierzała chodzić na przyjęcia ani do teatrów, nie była jednak pewna, z jakimi reakcjami znajomych spotka się w perfumerii Florisa czy na lodach u Guntera.

Postanowiła jednak się nie przejmować. Nie jest już próżna, samolubna ani wyniosła jak kiedyś.

Po powrocie Daphne od razu położyła się, ale nie mogła zasnąć. Leżała zapatrzone w poświatę z paleniska na kominku. Chciało się jej płakać.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie twarz Hugh, a przede wszystkim jego brązowe, pałające gniewem oczy. Czy tak pałałyby w momencie, gdyby się kochali? Powróciły do niej chwile ekstatycznych uniesień, które w skromnym wiejskim domku wiodły ich oboje na szczyty rozkoszy. Będzie żyła tymi wspomnieniami. Nic innego jej nie pozostało.

Podczas śniadania Daphne zmusiła się do zjedzenia choć grzanki z dżemem, żeby nie urazić londyńskiej kucharki, która, chcąc sprawić swojej pani przyjemność, zastawiła bufet najróżniejszymi przysmakami jak solone śledzie, zapiekanka z cielęciny i jajka w koszulkach. Daphne dopijała herbatę, gdy Carter, który znowu wyglądał jak zwykły służący, zameldował gościa.

- Przyszedł pan Everard, milady.

- Tak wcześnie? - Była dopiero dziesiąta.

- Tak, proszę pani. Bardzo mu zależy na spotkaniu.

Daphne źle spała w nocy, wciąż zbierało się jej na płacz i nie miała ochoty widzieć Everarda. Nie potrafiła go jednak odprawić.

- Dobrze. Niech wejdzie do jadalni.

Kiedy pojawił się w drzwiach, zdobyła się na powitalny uśmiech.

- Niech pan siada. Bardzo proszę. - Może jego apetyt wynagrodzi trudy kucharki.

- Jak pani sobie życzy, dziękuję. - Ukłonił się i skierował do bufetu. Z pełnym je-

zenia talerzem usiadł po przeciwnej stronie stołu. Daphne nalała mu herbaty.

- Co pana sprowadza?

Zdążył już napełnić usta, więc uniesionym w górę palcem dał znak, że odpowie, kiedy przełknie.

- Bałem się, żeby nie spotkał pani w Maskaradzie jakiś afront. Mam nadzieję że nie ma mi pani za złe, że się o nią martwiłem.

Daphne uważała, że Everard zanadto interesuje się jej sprawami, ale sama była sobie winna. Przed dwoma laty zmuszała go, by co wieczór towarzyszył jej w klubie.

- Ależ skąd - zapewniła. - Ale nie ma pan powodów do zmartwień. Jestem pewna, że ma pan wiele innych ważniejszych spraw na głowie.

- Nic nie jest dla mnie ważniejsze niż pani dobro. - Odłożył widelec i obrzucił ją poważnym spojrzeniem.

Nie wiedziała, co począć z tak oddanym pracownikiem.

- Jak pan widzi, nic mi się nie stało... A jak się miewa pańska żona? - zmieniła temat. - Ma szczęście, że natrafiła na męża, który przejawia tyle troski o bliźnich.

- Moja żona? - zapytał tonem, jak gdyby zapomniał, że owa kobieta w ogóle istnieje. - Cieszy się dobrym zdrowiem.

- Miło mi to słyszeć. Chciałabym ją kiedyś poznać.

- Naprawdę? - zapytał i podszedł do bufetu po drugą porcję.

- Naturalnie. Dlaczego by nie?

Wziął do ust kolejny kęs, przełknął i zapytał:

- Czy udała się pani wizyta w Maskaradzie?

- Byłam zadowolona, że nie ma śladu po pożarze. Sala restauracyjna odzyskała dawny elegancki wystrój.

- Więc drugi raz już się tam pani nie wybierze?

- Nie, nie wybiorę się - odpowiedziała i zauważyła, że przyjął jej zapewnienie z ulgą.

- Czy mogę wyświadczyć pani jakąś przysługę podczas pobytu w mieście? - zapytał.

- Może pan uregulować moje rachunki. Zamierzam dokonać pewnych zakupów.

Mówiła jak dawna, rozrzutna Daphne. Tym razem jednak chciała wyposażyć domy dzierżawców. Zastanawiała się, czy nie napisać do pana Quigga z prośbą o listę najpotrzebniejszych rzeczy.

- Zna pan jakiś dobry zakład meblarski? - zapytała.

- Meblarski? - zdziwił się.

- Nie, nie zamierzam kupować mebli do pałacu, lecz do domów dzierżawców.

- Trudno mi podać jakiś adres z pamięci, ale dowiem się, jeśli pani na tym zależy.

- Byłabym panu niezmiernie wdzięczna.

Ale czy zakupy pozwolą jej złagodzić ból po rozstaniu z Westleighem?

Hugh obudził się z wielkim bólem głowy. Niewątpliwie taki był skutek opróżnienia całej butelki brandy po zamknięciu klubu. Korciło go, by zamiast śniadania sięgnąć po kolejną butelkę. Powlókł się do kominka i zerknął na zegar. Dziesięć po dwunastej. Południe. Niepotrzebnie wstał tak wcześnie...

Nawet po wypiciu brandy nie mógł spać. Jego myśli wirowały wciąż wokół Daphne. Powróciła złość na to, że go opuściła i oszukiwała. Ale nawet to nie stłumiło uczuć, jakimi do niej zapalał, kiedy tylko ją zobaczył.

Po co wróciła do Maskarady? Wiedziała, że ma zakaz wstępu po tym, co zrobiła przed dwoma laty. Niestety, znowu pozwolił jej wymknąć się bez słowa wyjaśnienia. Ale teraz to bez znaczenia. Wie, kim ona jest, i dowie się, gdzie ją znaleźć.

Otworzył nową butelkę brandy, aby uśmierzyć ból głowy, a następnie nalał wody z dzbanka do miski, umył się, ogolił i ubrał.

MacEvoya zastał w pokoju śniadaniowym.

- Podliczyłem wpływy z wczorajszej nocy - poinformował.

- I jak? - zapytał Hugh, chociaż funkcjonowanie klubu nie było dla niego sprawą priorytetową dzisiejszego popołudnia.

- Lepiej niż poprzedniej nocy o około dwustu funtów.

- Wspaniale. - Musiał przyznać, kwota była całkiem przyzwoita.

Kiedy Hugh i Ned namówili Rhysa, żeby w ich imieniu poprowadził klub, Rhys zatrzymywał dla siebie połowę dochodów, a teraz po jego rezygnacji przypadła mu jedna czwarta. Hugh także otrzymywał jedną czwartą, a połowa szła na potrzeby majątku Westleighów. Jeśli dochody utrzymają się na takim poziomie, Hugh szybko się wzbogaci.

- Klub dobrze prosperuje - zauważył MacEvoy, jak gdyby widział w tym coś dziwnego.

Hugh podejrzewał, że Cummings, MacEvoy i krupierzy nie przypuszczali, że za jego kierownictwa klub będzie równie popularny, a jednak możliwość ukrywania tożsamości przy stoliku karcianym wciąż cieszyła się powodzeniem wśród śmietanki towarzyskiej Londynu.

Z kuchni przyniesiono Hugh talerz z jedzeniem. Nie miał apetytu, lecz zmusił się do zjedzenia czegokolwiek, bo wypita rano brandy paliła go niemiłosiernie. Z radością powitał natomiast dzbanek z kawą.

- Chciałbym cię prosić o pewną grzeczność - zwrócił się do MacEvoya.

- Mianowicie?

- Sprawdź, czy mamy w naszych papierach adres lady Faville.

- Więc to była ona? - MacEvoy pokiwał głową ze zrozumieniem. - Tak myślałem.

Dlaczego wróciła? Chyba nie dla Campiona?

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, ale zamierzam się dowiedzieć.

- Dobry pomysł. I niech pan sprawi, żeby się tu nigdy nie pokazywała. Zresztą może i nie przyjdzie więcej, skoro Campion także tu się nie pojawia...

Humor Hugh uległ pogorszeniu, choć rano sądził, że to niemożliwe.

Po śniadaniu MacEvoy bez trudności odnalazł adres Daphne w księgach klubu. Hugh natychmiast wyruszył. Rezydowała w Mayfair. Gdzież by indziej mogła mieszkać lady Faville?

Dom znajdował się przy Hereford Street, kilka ulic od Grosvenor Square, blisko narożnika Hyde Parku od strony Oxford Street. Z St. James było nieco ponad milę. Hugh postanowił się przejść. Chociaż nocne życie odpowiadało jego ponuremu nastrojowi, słońce i świeże wiosenne powietrze sprawiły, że poczuł się bardzo dobrze.

A może ożywiła go nadzieja na to, że ponownie ujrzy Daphne?

Nie, upomniał się w duchu, ożywia mnie gniew.

To on skłonił go do złożenia jej wizyty. Tym razem nie wyjdzie, dopóki nie dowie się, dlaczego wróciła do Maskarady. Całą noc obawiał się, że szukała Xaviera i wciąż nie wyleczyła się z obsesji na jego punkcie. Jeśli tak, to dlaczego tak bezgranicznie oddawała mu się w Thurnfield? To jedno nie pasowało.

Szedł wzdłuż Park Lane sąsiadującej z Hyde Parkiem. Upajał się zapachem wiosennej zieleni i pierwszych kwiatów. Rozwinięty zmysł węchu był pozostałością z czasów, kiedy żył pogrążony w ciemnościach, niepewny, czy kiedykolwiek odzyska wzrok.

Skreślił w Hereford Street i z łatwością odnalazł jej dom. Podeszedł do drzwi i zastukał. Lokaj, który otworzył, najpierw rozjaśnił twarz w uśmiechu, a potem przybrał oficjalną minę.

- Pan Westleigh?

- Carter? - Hugh po raz pierwszy widział twarz Cartera. W Maskaradzie nosił maskę. - Wierz lub nie, ale cieszy mnie twój widok.

- A ja cieszę się, że pan to mówi. Przyszedł pan z wizytą do...? - Carter nie wiedział, które z nazwisk swojej pani użyć.

- Owszem, przyszedłem zobaczyć się z lady Faville.

- Pan pozwoli, że zapytam, czy milady przyjmuje.

Carter wprowadził Hugh do salonu i wyszedł, by zaanonsować gościa pani domu. Głównym akcentem w wystroju pokoju był portret Daphne czy raczej lady Faville. Dama na portrecie miała chłodny i wyniosły wyraz twarzy, zupełnie niepasujący do kobiety, jaką znał Hugh.

Zamknął oczy i przypomniał sobie skromną bawialnię w wiejskim domu, po której uczył się poruszać po omacku. Ten pokój był o wiele większy, wytworny i kobiecy. Wśród obitych brokatem i aksamitem mebli w kolorze kości słoniowej brak było fortepianu, przez co wnętrze sprawiało chłodniejsze, bardziej bezosobowe wrażenie w odróżnieniu od ciepłej i przytulnej bawialni w Thurnfield.

Zapewne ten pokój bardziej pasował do chłodnej piękności z portretu, której ambicją było zwracanie na siebie uwagi wszędzie, gdzie się pojawiała. Dama ta była zupełnie inna od kobiety, którą poznał w Thurnfield.

Hugh ponownie zamknął oczy, by przypomnieć sobie brzmienie jej głosu, zapach perfum i ciepło skóry. Niestety ta Daphne nie istnieje - jest wytworem jego wyobraźni.

Naraz usłyszał szelest sukni i jej głos.

- Hugh?

Lady Faville stała w drzwiach. Lśniące jasne włosy miała związane z tyłu głowy w prosty węzeł. Różowa suknia podkreślała nieskazitelną cerę i była w tym samym odcieniu, co pełne usta. Owa piękność, tak chłodna i doskonała, nie miała rzeczywiście nic wspólnego z Daphne, jaką znał.

- Po co przyszedłeś, Hugh? - Wciąż stała w drzwiach, jak gdyby bała się wejść.

- Musimy porozmawiać.

Obejrzała się za siebie, jakby chciała uciec, ale zamknęła drzwi i zrobiła krok w jego kierunku.

- Przeprosiłam za przyjście do Maskarady. Nigdy tam już nie wrócę. Zapewniam cię.

- Pamiętam... Ale nie po to przyszedłem.

- Co jeszcze chcesz usłyszeć? - Uniosła głowę w arystokratycznym geście.

- Chcę się dowiedzieć, po co w ogóle przyszłaś - zapytał wprost.

- Miałam ochotę zobaczyć ponownie to miejsce.

- Czyżby? - roześmiał się. - Nie rób ze mnie idioty. Znowu.

- Więc po co, twoim zdaniem, miałam tam przyjść?

- Żeby zobaczyć Xaviera.

- Xaviera?

- Tak, Xaviera - powtórzył. - Na pewno pamiętasz Xaviera Campiona? Męża mojej siostry? Mężczyznę, za którym uganiałaś się tygodniami, co ja mówię, latami. Chciałaś rozbić jego małżeństwo. To też na pewno musisz pamiętać.

- To było dawno temu... - Spuściła wzrok na podłogę, a kiedy go znowu uniosła, wyraz jej twarzy był lodowaty. - Chyba nie przyszedłeś po to, żeby mi przypominać dawne grzechy. Zapewniam cię, że doskonale je pamiętam.

- Chcę wiedzieć, czy przyszłaś do Maskarady dla Campiona.

- Odwiedziłaś mnie, aby zadać to pytanie? - Uniosła głos. - Chcesz wiedzieć, czy nie sprawię nowych kłopotów twojej rodzinie?

Nie tylko po to przyszedł. Chciał wiedzieć, czy wciąż zależało jej na Xavierze? I co znaczyły dla niej wspólne dwa tygodnie w Thurnfield?

Stali tak blisko, że czuł zapach jej różanych perfum.

- Nie sprawię, Hugh. Więcej o mnie nie usłyszycie - odezwała się zrezygnowanym głosem.

Nie była to odpowiedź na jego pytanie.

- Mam ci wierzyć? Skoro przez dwa tygodnie mnie okłamywałaś?

- Nie musisz mi wierzyć - przyznała. - Ale nie będę prześladowała ani ciebie, ani twojej rodziny.

- Obiecujesz, że nie wrócisz do Maskarady, bo dobrze wiesz, że nawet maska nie skryje cię przede mną... Skąd jednak mam mieć pewność, że czegoś nie knujesz?

- Możesz jedynie mi uwierzyć...

- Uwierzyć ci?

- Tak, uwierzyć i zaufać.

Hugh zrozumiał, że popełnił błąd, przychodząc do niej. Czuł, jak przyciąga go do niej jakaś potężna siła, a ona, zamiast się cofnąć, stoi w miejscu i patrzy mu prosto w twarz.

- A uwierzyłybyś mi, gdybym powiedziała, że przyszłam do Maskarady, żeby spotkać ciebie? - zapytała.

Była taka piękna! Cierpiał, nie mogąc jej dotknąć, pocałować...

- Nie uwierzyłybym - odpowiedział z trudem, przyjmując nieprzyjazny ton.

Westchnęła głęboko, a on poczuł się tak, jak gdyby zabrała mu powietrze.

- Wierz albo nie, ale przyszłam spotkać właśnie ciebie. Chciałam zobaczyć, jak wyglądasz bez bandaży, upewnić się, że odzyskałeś wzrok...

- Gdyby ci tak bardzo na mnie zależało, Daphne, nie wyjechałabyś.

- Gdybym została, dowiedziałbyś się, kim jestem.

- Odkryłbym, jak perfidnie mnie oszukiwałaś. To chcesz powiedzieć?

- Tak - znowu się przyznała. - To chciałam powiedzieć.

Czy to możliwe? Czy naprawdę zależało jej na nim?

Zaraz, zaraz, upomniał się w myślach. Nie powinien dać się nabrać na nowe kłamstwo.

- Skąd wiedziałaś, że zastaniesz mnie w Maskaradzie?

- Powiedział mi o tym mój plenipotent, pan Everard.

Hugh słyszał o nim. To ten sam człowiek, który spotykał się z Rhysem i Xavierem w celu uzgodnienia wysokości odszkodowania za zniszczenie klubu.

- Twój plenipotent powiedział ci, że teraz ja zarządzam klubem?

Pokiwała głową.

Chciał jej wierzyć, ale nie potrafił. Gdyby jej na nim zależało, nie oszukałaby go. Nie wyjechałaby.

- Przyszłaś, żeby zobaczyć, czy nie jestem niewidomy, a nie po to, żeby spotkać Xaviera?

- Tak.

- Twój plenipotent mógł ci o wszystkim opowiedzieć. Nie musiałaś sprawdzać sama... Z pewnością nie umknąłby mu szczegół o niewidomym zarządcy domu gry...

Opuściła z rezygnacją ramiona i cofnęła się w stronę kominka.

- Nie musisz sięgać po ironię... Ty nie chcesz mi uwierzyć, ja nie potrafię cię przekonać. Nie wystarczy ci obietnica, że nie będę cię więcej prześladowała? Proszę, idź już sobie, Hugh.

Podszedł do niej i odwrócił ją, żeby spojrzeć jej w twarz.

- Nie pójdę, dopóki mi nie powiesz, dlaczego mnie okłamywałaś! Dlaczego nie przyznałaś się, że jesteś lady Faville? Dlaczego utrzymywałaś mnie w przekonaniu, że jesteś kimś innym? Że spędzone wspólnie chwile coś dla ciebie znaczą?

Jej oczy zaszklily się łzami, zadrżała. Nie wyrwała się, tylko dała mu w twarz, na co zasłużył swoim obcesowym zachowaniem. Zaraz jednak wyciągnęła dłoń i pogłaskała go po policzku.

- Przepraszam, Hugh - szepnęła i ten szept zabrzmiał tak jak wtedy, kiedy leżeli razem w łóżku. Hugh nie mógł dłużej walczyć ze sobą. Przywarł mocno ustami do jej ust i zamknął oczy. Nareszcie obejmował Daphne, jaką kochał.

Otoczyła go ramionami i oddała pocałunek, spragniona jego pieszczot. W czasie miesięcznego rozstania uzmysłowiła sobie, jak bardzo go potrzebuje. Bez niego jej życie straciło wartość. Przywarła do niego mocno i spleceni w uścisku osunęli się na stojący obok kominka szeslong. Zaczęła rozpinać guziki jego spodni, a on podciągał jej spódnice. Wiedziała, że to szaleństwo, lecz nic nie mogło powstrzymać tej nagłej potrzeby połączenia się, przeżycia wspólnie tej ekstatycznej chwili, w której obdarowywali się nawzajem niewypowiedzianą, najwyższą rozkoszą.

Uporali się z garderobą i on zagłębił się w niej z zachłannością, która przyprawiła ją niemal o łzy radości. Otworzyła się na jego przyjęcie tak jak nigdy wcześniej, kiedy się kochali. Nigdy jej pragnienie nie objawiło się równie gwałtownie i nie było równie silne.

Trzymała go mocno w ramionach, jakby się bała, że ktoś może go jej odebrać. Miała wrażenie, że jest jak żeglarz uczipiony do swojej łódki podczas sztormu. Ten

sztorm wywołali oboje, lecz Daphne czuła się tak bezwładna, jakby był dziełem żywiołów, na które żadne z nich nie miało wpływu.

Każdy jego ruch potęgował w niej to wrażenie. Czy on wie, co się z nią dzieje? Czy jego żądza nigdy nie zostanie zaspokojona? Daphne traciła siły z wyczerpania, ale kiedy myślała, że nie wytrzyma ani chwili dłużej, wtedy eksplodował. Z jej ust wyrwał się okrzyk radości, jej ciało wiło się pod nim unoszone kolejnymi falami najcudowniejszej rozkoszy.

Powoli wracali do rzeczywistości. Hugh wstał, a na jego twarzy odbiło się przerażenie. Daphne osłaniała się spódnicami, on tymczasem podał jej chusteczkę, nie patrząc na nią, i poprawiał ubranie.

- Zrobiłem ci krzywdę, Daphne. - Wreszcie podniósł na nią wzrok.

Pokręciła głową, ale z jej oczu spłynęły na policzki pojedyncze łzy. Pochylił się i otarł je kciukami.

- Przykro mi.

- Przykro? - Czyżby żałował?

- Nie powinienem cię tak traktować. Nie jestem z siebie dumny.

Wstydział się?

- Dlaczego więc... - Urwała.

- Dlaczego? Naprawdę nie wiem. Twoja uroda...

Daphne poczuła się tak, jakby wbił jej w serce sztylet po samą rękojeść.

- Oczywiście - prychnęła. Legendarna uroda lady Faville zrobiła swoje. Który mężczyzna nie chciałby zdobyć takiej piękności?

Oprócz męża nie znała żadnego innego mężczyzny do dnia, kiedy kochała się z Hugh. Brzydził się nią za krzywdę, jaką wyrządziła jego rodzinie, i za to, że go okłamywała, ale nie potrafił oprzeć się jej wdziękcom. A ona na to pozwoliła, co gorsza, chciała tego. I było jej z nim dobrze.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Hugh wolał wracać ruchliwą Oxford Street niż spokojnymi ulicami Mayfair. Szedł szybko, żeby jak najprędzej zwiększyć dystans dzielący go od domu lady Faville. Wstydział się swojego zachowania. Nigdy nie uchybił żadnej kobiecie, a teraz do reszty stracił nad sobą panowanie i zachował się jak barbarzyńca. Nic dziwnego, że była wytrącona z równowagi. Co go podkusiło, żeby w taki prostacki sposób dać upust żądzy? A jednak odnosił wrażenie, że w tym właśnie momencie odnalazł dawną Daphne...

Skreślił w Bond Street. Przepychał się pomiędzy ulicznymi sprzedawcami, sprzętaczami i przechodniami. Mijając sklep jubilerski, niemal zderzył się z wychodzącym stamtąd dżentelmenem.

- Bracie! - krzyknął Ned, ale Hugh nie był w nastroju do rozmowy i jedynie bąknął coś nieartykułowanego na powitanie.

- Nie widziałem cię od ponad dwóch tygodni. Jak idzie w klubie...

- Dobrze - zapewnił brata lakonicznie.

- Dokąd zmierzasz? Masz czas? Chodź ze mną do White'a. Napijemy się.

Hugh nie potrafił odmówić, ale nic nie odpowiedział.

- Nie miałem pojęcia - ciągnął Ned - co to za praca zasiadanie w Izbie Lordów. Jakie skomplikowane materie prawne są tam omawiane. Jak ojciec sobie z tym radził, nie wiem.

- Ojciec zaniedbywał obowiązki parlamentarne, zresztą jak wszystkie pozostałe - odpowiedział Hugh.

- Niestety, chyba masz rację. Dla mnie wszystko jest szalenie ważne, nie wyobrażam sobie, żebym mógł nie traktować tej pracy poważnie.

Ned zasługiwał na tytuł lordowski. Zawsze rzetelnie wykonywał swoje obowiązki. Był całkowitym przeciwieństwem ojca. Przez całą drogę do klubu rozprawiał o projektach ustaw, które były przedmiotem debaty. Nie przestał nawet wówczas, kiedy usiedli i zamówili czerwone wino.

W pokoju karcianym roilo się od innych członków parlamentu. Wśród nich Hugh rozpoznawał bywalców Maskarady.

- Jak się miewa twoja żona? - zapytał Hugh, gdy Ned zamilkł, żeby umoczyć usta w kieliszku z winem.

- Adele? - Rysy Neda złagodniały. - Bardzo dobrze, tyle że cierpi na poranne mdłości. Zapewnia jednak, że to częsta przypadłość wśród brzemiennych kobiet.

Hugh pomyślał o Daphne, która nie miała dzieci. Był pewny, że musiało ją to smucić. Co innego lady Faville. Dla niego wciąż były dwiema odrębnymi osobami.

Wypytał Neda o resztę rodziny, a potem zaczęli omawiać kwestie finansowe klubu. Debatowali o konieczności zakupu nowych kości i talii kart, na co nalegał Hugh, zgodnie zresztą ze wskazówkami Rhysa, który twierdził, że tylko w ten sposób można obronić się przed oszustami. Co do wiarygodności klubu, mawiał, goście nie powinni mieć najmniejszych wątpliwości.

Zegar wybił kolejną godzinę, a Ned zerwał się z fotela.

- Muszę iść. Adele czeka.

Pożegnali się na ulicy.

- Cieszę, że cię spotkałem, Hugh. Przy najbliższej okazji wpadnę do Maskarady. Gdybyś czegoś potrzebował, wystarczy, że poprosisz.

Hugh nie wątpił, że Ned rzuciłby wszystko i przyszedł mu z pomocą, gdyby tego potrzebował, mimo że brat nie zapytał go o sprawy osobiste. Ale czy Hugh opowiedziałby mu o Daphne, gdyby Ned zapytał? Wątpliwe.

Ned szybko zniknął mu z oczu w tłumie przechodniów. Nie mając nic lepszego do roboty, Hugh wrócił do Maskarady.

Wieczorem w klubie pojawili się Rhys i Xavier. Po przywitaniu się z pracownikami i niektórymi gośćmi, usiedli we trójkę z Hugh w sali restauracyjnej. Przed nimi piętrzyło się na półmiskach jedzenie. Rozlano do kieliszków wino.

Rhys spróbował potraw i pokiwał głową z uznaniem.

- Widzę, że kucharka trzyma poziom. Dawno nie jadłem czegoś równie smacznego.

Hugh także doceniał kucharkę i dbał o to, żeby o tym wiedziała. Była wdową po żołnierzu z pułku Rhysa i Xaviera i odznaczała się wielką lojalnością wobec jednego i drugiego.

- Właściwie nie mam o czym mówić, nie ma żadnych problemów - zaczął Hugh. - Może wy wskażecie mi coś, na co powinienem zwrócić uwagę?

Wzrok Xaviera powędrował ku fortepianowi.

- Przydałaby ci się pianistka - zażartował. Jego żona, Phillipa, skrzywdzona przez Daphne, ściągała do klubu tłumy.

- Może Phillipa zechce powrócić. Ma wolne wieczory?

- Niestety, wieczorami jest zajęta.

Hugh przyjrzał się Xavierowi. Był rzeczywiście bardzo przystojny. Ze swoimi czarnymi, rozrzuconymi w artystycznym nieładzie włosami, męskimi rysami i przeźrażliwie niebieskimi oczami zwracał uwagę kobiet. Nic dziwnego, że Daphne była nim zafascynowana. Stanowiliby piękną parę.

Na szczęście Xavier był przyzwoity. Nic też sobie nie robił ze swojej urody. Pochodził z arystokratycznej rodziny, ale wbrew oczekiwaniom towarzystwa zajął się handlem. *Pecunia non olet*, jak brzmi znana rzymska sentencja, pieniądze nie śmierdzą. Hugh zapytał Xaviera o Phillipę i dziecko, potem przeszli do interesów.

- Mam już dziesięć sklepów - pochwalił się Xavier. - Najlepiej prosperuje meblarski. Jest zapotrzebowanie na dobre meble w umiarkowanych cenach. Ostatnio zaczęliśmy wytwarzać również fortepiany.

- Znalazłeś dawnego żołnierza, który się na tym zna? - zainteresował się Rhys.

- Nie. Rzemieślnikowi, który zbudował fortepian Phillipy, groziło zamknięcie interesu. Zgodził się przeszkolić do tego fachu kilku byłych wojskowych.

Dobroczyzna działalność Xaviera skojarzyła się Hugh z hojnością Daphne wobec służby w Thurnfield. Westchnął i postanowił zmienić temat.

- Rhys, a jak twoje interesy?

Rhys inwestował w fabrykę maszyn parowych.

- Cały czas staramy się udoskonalać nasze konstrukcje i niektóre maszyny znalaz-

zły nabywców wśród właścicieli fabryk i kopalń. Słyszałeś o lokomotywie parowej kursującej między Stockton a Darlington^[3]. Jestem pewien, że w przyszłości będzie ich więcej.

- Znowu podejmujesz ryzyko?

Ich ojciec nie przyznawał się do nieślubnego dziecka. Chłopak, zdany na własne siły, utrzymywał się z hazardu.

- Tak, lecz znacznie bardziej ekscytujące niż przy stoliku karcianym. Również bardziej pożyteczne.

- Znalazłeś więc w życiu zajęcie, które ci odpowiada? - Hugh w wieku chłopięcym bywał zazdrosny o Rhysa, teraz życzył przyrodniemu bratu jak najlepiej.

- Mam dzisiaj więcej, niż dawniej marzyłem, że będę miał. I nie chodzi o pieniądze.

- Masz żonę i dzieci.

- Mam rodzinę - niskim głosem powiedział Rhys.

- My, Westleighowie, też jesteśmy twoją rodziną - takim samym niskim głosem odpowiedział Hugh. - Nie zawsze tak myślałem, ale zmieniłem się. My wszyscy się zmieniliśmy...

- Owszem. Całe szczęście, że ludzie zdolni są do zmiany - stwierdził z powagą Rhys.

Czy tak jest rzeczywiście? - zastanowił się Hugh. Ludzie naprawdę mogą się zmieniać? Może naprawdę doświadczenie życiowe uwypukla pewne cechy, a inne spycha na dalszy plan... On i Rhys pałali do siebie niechęcią od najwcześniejszego dzieciństwa, a teraz dostrzegali w sobie zalety i nawet polubili się.

Czy za fasadą lady Faville kryje się jego Daphne? Hugh postanowił, że nie spocznie, póki się o tym nie przekona.

- Gdzie mieści się ten twój warsztat, w którym wytwarzasz fortepiany? - zapytał Xaviera.

- Po co chcesz to wiedzieć?

- Być może kupię fortepian.

- Już tu jeden stoi. - Xavier wskazał róg pokoju. - Masz zamiar zrobić komuś prezent?

- Tak.

Hugh nie dojrzał do tego, żeby opowiedzieć braciom o Daphne. Może, darowując jej fortepian, wyrazi przynajmniej wdzięczność za to, że go pielęgnowała przez dwa tygodnie, a także przeprosi za dzisiejsze niegodne zachowanie.

Może wkrótce znajdzie również okazję, żeby ją znowu zobaczyć.

Rano Daphne wstała z łóżka bez trudu, choć prawie nie zmrużyła oka przez całą noc. Dopiero w zaciszu sypialni mogła dać upust rozgoryczeniu, które ją prześladowało przez cały dzień.

Z braku lepszego zajęcia ona i Monette poszły na strych przejrzeć zawartość kufrów. Okazało się, że znalazła wiele ubrań, par butów, rękawiczek, kapeluszy i wierzchnich okryć, tak że mogła zrobić o wiele skromniejsze zakupy. Rzeczy, których nie chciała wziąć Monette, Daphne zaproponowała pokojówkom i służbie kuchennej.

Grzebanie we wspomnieniach nie było wszakże najlepszym sposobem na przetrwanie dnia. Daphne wciąż myślała o tym, jaką kobietą kiedyś była, i bała się, że zmieniała się tylko na chwilę.

Tego dnia postanowiła, że pokaże Monette Londyn i sklepy. Kończyła śniadanie, kiedy Carter zaanonsował gościa.

- Znowu pan Everard, milady.

- Everard? - Był nie dalej jak przedwczoraj. Jego wizyty są stanowczo za częste. Ciekawe, co sądzi o nich jego żona. - Niech wejdzie do pokoju śniadaniowego - powiedziała.

Witając plenipotentę, Daphne starała się być uprzejma, ale zachowawcza.

- Witam pana. Dopiero co się widzieliśmy. Czy coś się stało?

- Nic, absolutnie nic! - Zatrzymał się w drzwiach.

- Proszę, niech pan wejdzie i poczęstuje się śniadaniem. Wyznam jednak, że za chwilę wychodzę. Proszę powiedzieć, co pana sprowadza. Napije się pan herbaty? - dodała, kiedy usiadł.

Przyjął filiżankę z wdzięcznością.

- Przychodzę, żeby panią poinformować, że spełniłem pani prośbę.

Daphne czekała na dalszy ciąg.

- Prosiła pani, abym polecił jej dobry sklep meblowy.

- Przypominam sobie - wykrzyknęła i pomyślała, że wystarczyłoby, żeby przekazał adres lokajowi.

- Nie jestem specjalnie zaznajomiony z tą materią, ale poprosiłem kogoś, kto się na tym zna, żeby panią odwiedził.

Everard był z siebie w widoczny sposób zadowolony. Daphne nie życzyła sobie jednak żadnych wizyt, chociaż wiedziała, że nie będzie mogła wiecznie ukrywać się przed londyńskimi paniami. Ciekawe, kogo naśle na nią Everard.

- Kogo mam się spodziewać? - zapytała.

- Mojej żony - oznajmił.

Daphne nie była zachwycona, ale szybko się zreflektowała.

- Z przyjemnością ją poznam - powiedziała.

- Urządziła nasze mieszkanie i muszę się pochwalić, że ma dobre oko. Potrafi znaleźć dobrej jakości rzeczy za rozsądną cenę. A pani przecież wyraziła chęć poznania jej.

- Rzeczywiście. Wobec tego niech przyjdzie dzisiaj po południu. Będę w domu po drugiej.

- Powiem jej. Nie zawiedzie się pani, milady. Teraz opuszczę panią. - Wstał i uklonił się. - Za pozwoleniem, naturalnie.

- Oczywiście, niech pan idzie. Miłego dnia.

Po wyjściu Everarda udały się z Monette na zakupy. Zaczęły od Oxford Street. W jednym ze sklepów Monette wypatrzyła niebieski muślin. Uprosiła Daphne, żeby go kupiła i pozwoliła jej uszyć w prezencie dla niej suknię. Chciała w ten sposób odwdziaczyć się swojej pani za dobroć, z jaką ją traktowała. Daphne nie potrzebowała nowych strojów, uznała jednak, że nie wolno jej odrzucać daru Monette.

W sklepie zegarmistrza natrafiły na zegar w porcelanowej obudowie, bliźniaczo

podobny do tego, który Daphne umieściła na gzymsie nad kominkiem w pokoju Hugh w Thurnfield. Przełykając łyzy, Daphne kupiła zegar i kazała go dostarczyć do swojej rezydencji.

Kolejnym sklepem na ich drodze była księgarnia muzyczna.

- Chciałabym wejść do środka - oznajmiła Daphne.

W sklepie podszedł do nich właściciel.

- Szukam utworów na fortepian skomponowanych przez kobietę - zwróciła się doń Daphne.

- Przez kobietę? Zna pani nazwisko albo tytuły utworów?

- Nie znam. Podejrzewam, że wydaje swoje utwory anonimowo.

- Pani pozwoli, że poszukam. - Przyniósł tekturową teczkę z nutami i wyjął z niej kilka kartek. - Może chodzi pani o ten utwór?

Daphne spojrzała. Była to sonatina skomponowana przez lady Songstress. Jej serce zabiło szybciej. Tak czasem zwracała się do Phillipy, kiedy nie wiedziała, kim jest zamaskowana pianistka grywająca w Maskaradzie.

- Tak, o to właśnie mi chodziło. Ma pan jeszcze inne utwory tej kompozytorki?

Znalazł kilka, w tym najnowszy, kołysankę.

- Kupuję wszystkie. - To przynajmniej mogła zrobić dla Phillipy.

- Milady? - Monette dotknęła jej rękawa. - Nie ma pani fortepianu. Na co pani te nuty?

Daphne o tym nie pomyślała.

- Czy mógłby mi pan polecić jakiś skład fortepianów? - zwróciła się do właściciela sklepu.

- Owszem. Znam jeden na Duke Street.

- Zamierza pani kupić fortepian? - zapytała po wyjściu na ulicę Monette.

- Chyba tak - odparła z uśmiechem Daphne. Pomyślała, że gra na fortepianie będzie doskonałym sposobem spędzania czasu. I okazją do przypominania sobie, jak kiedyś grała razem z Hugh.

Skład fortepianów znalazły bez trudności. Do obejrzenia było wystawionych kilka gotowych instrumentów. Sprzedawca rozmawiał z trzema dżentelmenami, więc Daphne i Monette czekały. W końcu subiekt do nich podszedł.

- Jest pani zainteresowana kupnem instrumentu? - zapytał.

W tym momencie trzech dżentelmeni odwrócili się. Daphne zamarła. Młody lord Westleigh, Xavier i Hugh.

Hugh zauważył, że Ned i Xavier zeszywnieli na widok Daphne. Ona także wyglądała na zaskoczoną, ale i przerażoną. Jak zareagują Ned i Xavier? Czy nie zechcą, nie bacząc na sprzedawcę i pokojową, wyrządzić jej afrontu?

Nie czekał, przejął inicjatywę i zbliżył się do niej z ukłonem.

- Dzień dobry, Daphne. - Nie mógł nie zwrócić się do niej po imieniu. - Zamierza pani kupić fortepian?

Zanim odpowiedziała, rzuciła niepewne spojrzenie w stronę Xaviera i Neda.

- Tak. Nie mam instrumentu, a chcę znowu zacząć grać. Kupiłam już nawet nuty. - Wyciągnęła ku niemu grubą kopertę.

- Naprawdę? Mogę zajrzeć do środka? - zainteresował się.

Hugh od razu rozpoznał kompozycje siostry.

- Byłam zainteresowana tą kompozytorką. Chciałabym udzielić jej w ten sposób swojego poparcia - wyjaśniła niepewnym głosem.

Hugh nie wiedział, co myśleć. Obejrzał się na Neda i Xaviera. Ned patrzył na nią z odrazą, a Xavier wbił wzrok w podłogę. Ich reakcja zaniepokoiła Hugh. Czy musieli być tacy nieuprzejmi?

- Xavierze, lady Faville przyszła kupić u ciebie fortepian. Ned, pamiętasz lady Faville?

Ned skłonił głowę, lecz nie odezwał się. Xavier podszedł do Daphne.

- Wiedziała pani, że to mój sklep? - Pytanie mogło uchodzić za uprzejme.

- Nie miałam pojęcia - odpowiedziała, autentycznie zdziwiona.

Monette wysunęła się do przodu, jakby chciała osłonić swoją panią.

- Dzień dobry, Monette - powiedział do niej Hugh. - Co słychać?

- Wszystko dobrze, proszę pana. Dowiedziałyśmy się o tym sklepie w księgarni muzycznej.

Dzielna dziewczyna. Stała w obronie swojej pani, chociaż o tym nawet nie wiedziała. Hugh oddał kopertę Daphne. Ich palce zetknęły się na chwilę.

- Nie wiedziałam - szepnęła tak cicho, żeby tylko on mógł usłyszeć.

Pokiwał głową i zwrócił się do ekspedienta.

- Mógłby pan doradzić damie? Który instrument może pan jej polecić?

- Należałoby je wypróbować. Wszystkie zostały wykonane z największą starannością, mogą jednak różnić się dźwiękiem. Także obudową. Ten na przykład - wskazał instrument, którego skrzynia była udekorowana malowanymi różyczkami i złoceniami - mógłby być chlubą każdego salonu.

- Wolalabym coś mniej zdobionego. - Daphne podeszła do instrumentu podobnego do tego, który stał w Thurnfield. - Proszę przewieźć do mojej londyńskiej rezydencji ten. - Podała sprzedawcy adres.

- Nie wiedziałem, że jest pani w Londynie - odezwał się Xavier, kiedy Daphne czekała na wypisanie rachunku.

- Owszem, przyjechałam na zakupy.

- Pani pokazuje mi londyńskie sklepy - ożywiła się znowu Monette.

- Tylko sklepy? - wtrącił sarkastycznie Ned.

- Tylko - odpowiedziała mu Daphne. - Nie jest wykluczone, że odwiedzimy także takie miejsca jak Tower czy opactwo westminsterskie... - Popatrzyła znowu na Xaviera.

Ciekawe, co poczuła, kiedy ponownie go ujrzała, zastanowił się Hugh. Czyżby naprawdę nie wiedziała, że to jego sklep? Zadziwiający zbieg okoliczności.

Z drugiej strony, skąd mogła wiedzieć, że go tu zastanie? Inwestorzy z rzadka odwiedzają swoje sklepy. Czy lord Cavendish przebywa bez przerwy w Burlington Arcade^[4] jak porządkowi, którzy jej strzegą? Nie. Zresztą nie mogła też wiedzieć, że Xavier jest właścicielem sklepu.

Wydawało się prawdopodobne, że rzeczywiście pragnęła pokazać Monette Londyn. Przywiozła dziewczynę ze Szwajcarii i traktowała ją bardziej jak młodszą siostrę niż służącą.

Sprzedawca przyniósł tymczasem gotowy rachunek.

- Zostanie uregulowany natychmiast po dostawie instrumentu - obiecała Daphne.

- Do widzenia, panowie - pożegnała się z Nedom i Xavierem i osobno z Hugh, który odprowadził ją do wyjścia.

- Co to ma znaczyć, Hugh? - Ned zaatakował brata, kiedy ten wrócił do sklepu. - Zachowywałaś się tak, jak gdyby lady Faville była twoją dobrą przyjaciółką. - Pozwól sobie przypomnieć, że omal nas nie zrujnowała.

- Nie wiedziałem, że znowu jest w Londynie - rzucił Xavier, jakby mówił do siebie. - Bóg mi świadkiem, nie chciałbym żadnych nowych kłopotów. Nie pozwolę, żeby jeszcze raz skrzywdziła Phillipę.

- Kłopotów... - zaśmiał się drwiąco Ned. - Delikatnie powiedziane. Hugh, czy ty postradałeś rozum?

W sprawach związanych z Daphne rzeczywiście nie kierował się rozumem, lecz nie widział sensu tłumaczyć się bratu.

- Nie bardziej niż ty, Ned - odpalił. - Skończmy tę dyskusję.

- Przeciwnie, dopiero ją zaczęliśmy.

- Poznałem lady Faville - przyznał się Hugh - i nie sądzę, żeby stanowiła dla nas jakiegokolwiek zagrożenie.

- Poznałeś ją w Brukseli, prawda? Przebywała na kontynencie. Jesteś jednym z jej podbojów? Długo tam bawiłeś... Może nie cały czas zajmowało ci porządkowanie spraw ojca!

- Nie wiesz, o czym mówisz, Ned! - Hugh podniósł głos. - Mogłeś osobiście jechać do Brukseli i samemu sprzątać ten bałagan.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić! - Ned poczerwieniał na twarzy.

- A dlaczego nie? Bo odziedziczyłeś tytuł? Nie zapominaj, że jestem twoim bratem, widziałem cię bez tych parlamentarnych piórek, w które się stroisz. Dawno już nie oberwałeś ode mnie, tak? - Hugh chciał, żeby Ned go wyzwiał na pięści. Chętnie rozkwasiłby mu jego arystokratyczny nos - tak był wzburzony.

Między nich wkroczył Xavier.

- Dosyć. Przestańcie skakać sobie do oczu jak szczeniaki. Lady Faville to mój problem. Kupujesz fortepian? - zwrócił się do Hugh.

- Nie dzisiaj. Zmieniłem zamiar.

- Dobrze. Ja wychodzę. Muszę powiedzieć Phillipie, że lady Faville jest w Londynie.

- Nie mów jej - zaprotestował Ned. - Zdenerwujesz ją.

- Jeszcze bardziej się zdenerwuje, kiedy się dowie, że mam przed nią sekrety.

- Hugh, obiecaj, że nie będziesz miał więcej do czynienia z lady Faville - poprosił Ned brata.

- Mam ci obiecać? - roześmiał się Hugh. - Dlaczego nie ufasz mi, że potrafię zachowywać się, jak należy?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Daphne zorientowała się, że idzie za szybko. Monette ledwo za nią nadążała.

- Przepraszam, Monette. - Zwolniła. - Chciałabym już być w domu.

- Wiem, *madame*. Zdenerwował panią widok pana Westleigha.

- Nie zdenerwował, zdziwił. Nie spodziewałam się go zobaczyć.

Zachowywał się wobec niej przyzwoicie, a nawet uprzejmie. Tym gorzej. Gdyby był niemiły jak jego brat, przepełniałaby ją teraz złość, a nie ból z powodu jego utraty.

- Kim byli pozostali panowie? Widać było, że pani nie lubią - zapytała Monette. - Jeden był zabójczo przystojny. Nigdy nie spotkałam tak pięknego mężczyzny.

Daphne zdziwiła się. Hugh tak przesłonił jej świat, że widok Xaviera nie robił już na niej najmniejszego wrażenia.

- Ten przystojny jest mężem siostry pana Westleigha, a ten drugi bratem pana Westleigha, lordem Westleigh - wyjaśniła dziewczynie.

- Lord? - Monette otworzyła szeroko oczy.

- Hrabia.

- *Mon Dieu* - wyszeptała z podziwem Monette.

W domu Daphne zapowiedziała, że potrzebuje chwili spokoju i prosi, aby jej nie przeszkadzano. Musiała ukoić wzburzone nerwy. Z szuflady biurka wyciągnęła jego chusteczkę, czystą i starannie złożoną. Usiadła z nią w fotelu na biegunach. Kołysząc się, patrzyła w okno, ale nie widziała ani błękitnego nieba, ani pokrytych świeżą zielenią drzew. Raz po raz przeżywała dzisiejsze spotkanie z Hugh. Przypomniła sobie, jakim wzrokiem na nią patrzył. Wyraźnie się zdziwił, kiedy zobaczył, jakie nuty kupiła. Nie wiedział tylko, dlaczego to zrobiła. Ciekawe, co sobie pomyślał.

Nie potrafiła natomiast przypomnieć sobie, co mówił Xavier. Jej dawne zauroczenie ulotniło się bez śladu. Daphne spodziewała się też negatywnej reakcji starszego Westleigha. Zasłużyła na nią i tym bardziej zdziwiło ją, że Hugh wystąpił w jej obronie. Praktycznie zmusił brata do przyzwoitego zachowania. Dlaczego?

Raz po raz zatrzymywała się na tym pytaniu. Z zamyślenia wyrwało ją dopiero pukanie do drzwi.

Do pokoju wsunęła głowę Monette.

- Przyszła pani Everard.

- Ach, tak! Już idę. - Wstała ciężko. Kompletnie o niej zapomniała.

- Chwileczkę - zatrzymała ją Monette. - Nie przebierze się pani?

Daphne obejrzała dół sukni przybrudzony kurzem ulicznym.

- Nie wystarczy wyszczotkować tych plam? Nie chciałabym kazać jej czekać zbyt długo.

Prawdę powiedziawszy, chciała mieć z głowy tę wizytę jak najszybciej. Żałowała, że ją zaprosiła.

- Jeszcze pani włosy - przypomniła Monette po wyszczotkowaniu dołu sukni.

Daphne siedziała cierpliwie przed lustrem i czekała, aż Monette przywróci jej fry-

zurę do ładu. Nie czekała na rozmowę z panią Everard, ale postara się być przyja-
cielska i przełamie swój ponury nastrój. Miała w tym wprawę. Lata bywania na sa-
lonach zrobiły swoje.

Wyszła z pokoju i już na schodach przykleiła do twarzy uśmiech. W salonie pani
Everard stała przed jej portretem. Daphne pomyślała, że jeszcze dzisiaj każe
w jego miejsce powiesić jakiś pejzaż.

- Pani Everard?

Kobieta odwróciła się i dygnęła.

- Jestem lady Faville - Daphne podeszła z wyciągniętą ręką - jak się pani zapewne
domyśla. - Uścisnęły sobie dłonie. - Przepraszam, że kazałam na siebie czekać.

Uścisk dłoni pani Everard był bardzo chłodny. Odpowiedziała tylko jednym sło-
wem: *Madame*.

- Proszę, niech pani usiądzie - Daphne podprowadziła gościa do foteli przy komin-
ku i wskazała miejsce, z którego pani Everard nie musiała patrzeć na jej portret.
Jedna lady Faville powinna jej wystarczyć.

Uśmiechnęła się do kobiety.

- Poprosiłam o podanie herbaty. Zaraz ją przyniosą.

- Nie powinna pani robić sobie kłopotu z mojego powodu - powiedziała pani Eve-
rard, nie patrząc Daphne w oczy.

Była młoda, może nawet nie miała dwudziestu lat. Wyglądała dość przyjemnie,
choć dość pospolicie. Jednak, gdyby lepiej się postarała, mogłaby uchodzić za nie-
brzydka. Brązowe włosy miała ściągnięte do tyłu i osłonięte czepkiem. Suknia, do-
brze skrojona i nienagannie uszyta, była w mało twarzowym kolorze, szarym jak
deszczowy dzień. Oczy również miała szare, a mogłyby nabrać blasku, gdyby ich
właścicielka włożyła coś intensywnie zielonego lub niebieskiego. Daphne miała
w szafie przynajmniej trzy suknie, które wyglądałyby ładnie na tej młodej kobiecie,
ale czy pani Everard przyjąłaby je? Pewnie nie...

- Skądże! - odparła. - To żaden kłopot. Będzie nam o wiele przyjemniej przy her-
bacie.

- Jak pani sobie życzy.

Daphne zrozumiała. Pani Everard nie była zadowolona, że musiała przyjść. Tym-
czasem lokaj przyniósł herbatę. Postawił tacę na stoliku między dwiema kobietami.

- Jaką pani pije? - zapytała gościa.

- Z niewielką ilością mleka.

Można się było domyśleć, że nie zechce cukru. W jej sposobie zachowania nie
było w ogóle słodczy. Wyraz twarzy, nad którym nie do końca panowała, sugero-
wał, że żywi do Daphne niechęć. Taka reakcja nie była Daphne obca. Zdarzało się,
że ludzie nie lubili jej z powodu jej nieprzeciętnego wyglądu.

Podła filizankę pani Everard. Cisza między nimi przeciągała się. Daphne uznała,
że najbezpieczniejszym tematem rozmowy będzie pogoda, ale i ten temat szybko
się wyczerpał.

- Mój mąż dużo o pani opowiada - zaczęła wreszcie właściwą rozmowę pani Eve-
rard.

Aha, pomyślała Daphne, jest zazdrosna.

- Doprawdy? - zapytała.

- O niczym innym nie mówi od czasu, gdy przyszedł list, w którym zapowiedziała pani swój powrót do Anglii.

Daphne wiedziała, jak niebezpieczna może być zazdrość. Ona sama z zazdrości o mało nie spaliła Maskarady.

- Pan Everard bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki - zauważyła.

- Zbyt poważnie, można by rzec. Moim zdaniem, bardziej dba o pani finanse niż o nasze.

- Nie wydaje mi się to możliwe. - Daphne chciała być uprzejma.

- Nie wydaje się pani? - Oczy pani Everard błysnęły nieprzyjemnie.

Daphne poczuła, że musi zachować ostrożność. Uśmiechnęła się dobrotliwie.

- Widocznie pani mąż ma więcej zaufania do pani zdolności gospodarowania pieniędzmi niż do moich. Dzisiaj rano wyrażał się o nich z najwyższym uznaniem.

- Był u pani dzisiaj rano?

- Bardzo krótko - zapewniła Daphne. - Tylko po to, żeby się upewnić, czy będę w domu. Wiedząc, że pani się do mnie wybiera, nie chciał, żeby fatygowała się pani niepotrzebnie. Pytałam go, czy nie zna dobrego stolarza. Odpowiedział, że to pani zna odpowiednie adresy. Z jego opowieści wynika, że umiarkowanym kosztem bardzo gustownie urządziła pani dom.

- Potrzebuje pani nowych mebli w umiarkowanych cenach? - Pani Everard omiotła wzrokiem salon.

Daphne pomyślała, że jeśli uda, że dopuszcza panią Everard do bliższej konfidencji, młoda kobieta okaże się przystępniejsza. Wypróbowała kiedyś tę taktykę na Phillipie Westleigh, kiedy udawała jej przyjaciółkę.

- Powiem pani, dlaczego jestem zainteresowana zakupem mebli, tylko proszę mi obiecać, że nie dowie się o tym pani mąż.

- Nie mam sekretów przed mężem - odpowiedziała z godnością pani Everard.

Tak mówi każda młoda mężatka. Daphne machnęła lekceważąco ręką.

- Dobrze, ale to dla mnie bardzo ważne. Trzeba pani wiedzieć, że przystąpiłam do remontów domów moich dzierżawców. Pomyślałam, że przy okazji mogłabym sprezentować każdemu jakiś mebel. Co pani o tym sądzi? Na przykład biurka dla dzierżawców i komody dla pracujących na polach i stajennych.

- Kupuje pani meble dzierżawcom? - pani Everard z wrażenia rozlała kilka kropli herbaty na spodek.

- I innych mieszkańców moich włości - dodała Daphne. - Widzi więc pani, że potrzebuję solidnych, ale jednocześnie ładnych mebli. Wydaje mi się, że wszyscy ludzie, bez względu na status, lubią się otaczać ładnymi przedmiotami.

- Dobrze. - Pani Everard odstawiła filiżankę na stolik i sięgnęła do swojej torebki. Wyciągnęła kartkę papieru i podała ją Daphne.

- Oto nazwisko stolarza w Cheapside.

- Pracownia meblarska Jeffersa - przeczytała na głos Daphne. - Bardzo pani dziękuję. Jestem pani niezmiernie wdzięczna.

Pani Everard włożyła jedną rękawiczkę.

- Pani wybaczy, muszę iść. Zajęłam już pani zbyt wiele czasu.

- Nonsens. - Daphne wstała. - Było mi niezmiernie miło panią poznać.

Pani Everard również podniosła się, włożyła drugą rękawiczkę.

- Jeszcze jedno - spojrzała Daphne prosto w oczy. - Mój mąż jest pani przesadnie oddany. Chciałabym panią prosić, żeby... - zawiesiła z emocji głos. - On jest dla mnie wszystkim - dokończyła i odwróciła się ku wyjściu.

Daphne zatrzymała ją.

- Lubię pani męża, ale on jest tylko moim plenipotentem. Nikim więcej. Życzę wam obojgu szczęścia.

- Pani ma nade mną przewagę. On mnie nie dostrzega, kiedy pracuje dla pani.

Daphne chciała ją zapewnić, że niedługo wyjeżdża, ale nie odezwała się. To przykre drugi dzień z rzędu usłyszeć, że jej obecność w mieście przysparza tyle kłopotu.

Odprowadziła panią Everard do drzwi. Niemal jednocześnie stanął w nich lokaj, którego nazwiska nie знаła, i zameldował kolejnego gościa:

- Pan Westleigh, proszę pani.

Hugh? Serce skoczyło Daphne do gardła. Pani Everard pokiwała znacząco głową, ale nie mogła przecież znać Hugh. Bardziej prawdopodobne, że znała Phillipę. Możliwe nawet, że jej niemądry mąż opowiedział jej całą historię. Nic dziwnego, że biedna kobieta bała się, by Daphne nie ukradła jej męża.

- Proszę go wprowadzić - poleciła służącemu.

Hugh skinął uprzejmie głową kobiecie w szarej sukni. Ciekawe, co taki gość mógł robić u lady Faville.

Daphne czekała w salonie. - Wejdz, Hugh - poprosiła.

- Przeszkodziłem w czymś? - wskazał głową w drzwi.

- Właśnie wychodziła - odpowiedziała. - Przyszedłeś w sprawie spotkania w składzie fortepianów? Daję ci słowo, że nie wiedziałam, że ten sklep ma coś wspólnego z Xavierem. Poszłabym gdzie indziej.

Była w tej samej sukni w biało-zielone paski co wcześniej, tylko włosy miała opuszczone do ramion i przewiązane wstążką. Na jej twarzy malował się smutek. Nie przypominała zimnej piękności z portretu.

- Dlaczego kupiłaś utwory muzyczne mojej siostry? - zapytał wprost, nie bawiąc się w subtelności.

- Czułam, że jestem jej to winna. Tylko tyle mogłam dla niej zrobić.

Czuła, że jest coś winna Phillipie?

- Zresztą podobała mi się muzyka w Maskaradzie.

- I kupiłaś fortepian, żeby grać jej kompozycje? - dopytywał z niedowierzaniem.

- Kupiłam fortepian, bo nie miałam żadnego w Londynie. Chyba wiesz, jak gra na fortepianie pomaga zabić czas.

- Potrzebujesz zabijać czas w Londynie w szczycie sezonu?

- Nie uczestniczę w wydarzeniach towarzyskich. Nie spodziewam się żadnych zaproszeń.

Hugh zdziwił się. Czyżby skandal z Xavierem i podpaleniem Maskarady do tego stopnia zniszczył jej reputację? Nikt nie chciał, żeby taka piękność stanowiła ozdobę jego przyjęcia?

- Nikogo nie informowałam o przyjeździe do miasta - dodała.

To po co przyjechała? - pomyślał, ale nie zadał tego pytania.

- Nie zamierzam przeciągać swojego pobytu, zostanę najwyżej jeszcze kilka dni.

Gdybym spotkała w tym czasie ciebie lub kogoś z twojej rodziny, to wiedz, że tylko przez przypadek. Zapewniam cię po raz wtóry: nie chcę sprawiać kłopotów.

Sprawiła jednak kłopot jemu. Odwrócił się i zamknął oczy. Nozdrza wypełnił mu zapach różanych perfum. Zapragnął wyciągnąć ręce, objąć ją i przytulić do piersi. Złość, którą do niej kiedyś żywił, niemal wygasła. Tliły się tylko jej resztki. Za to płonąła w nim gwałtowna chęć roztoczenia nad nią opieki.

- Pozostaniesz w mieście jeszcze przez kilka dni, tak? Czy mogę cię odwiedzać w tym czasie? - Starał się nadać głosowi obojętne brzmienie, chociaż wiadomość o jej zamierzonym wyjeździe zmartwiła go.

- Chcesz mnie odwiedzać!?

- Chcę zacząć wszystko od nowa. Poznać cię. Poznać lady Faville. Nie jestem pewny, czy aby na pewno wiem, kim jest...

- Nie wiem, co odpowiedzieć...

- Że chętnie wybierzesz się ze mną na spacer do parku. Choćby zaraz. - Dlaczego nie? Kiedy był niewidomy tak dobrze im się spacerowało.

Popatrzyła z niedowierzaniem, a on odwrócił wzrok.

- Obiecuję, że zachowam się jak dżentelmen. Wczorajsze godne pożałowania zachowanie nie powtórzy się. Pospacerujmy - nalegał. - Jak za dawnych czasów. Jest dość wcześnie i w parku nie będzie tłumów.

Nie było jeszcze trzeciej. Modne towarzystwo nie pokazywało się przed czwartą.

- Daphne? - zniżył głos. - Proszę...

- Moment. Pójdę po kapelusz i rękawiczki.

Serce Daphne przepęłniała radość. Będzie tak jak w Thurnfield. Wesprze się na jego ramieniu, ale tym razem to on ją poprowadzi. Będą rozmawiali i patrzyli na siebie.

W sypialni Monette układała upraną bieliznę.

- Milady, jest do pani list!

- List? Bardzo się spieszę. Przyszedł pan Westleigh i zaprosił mnie na spacer!

- Miło z jego strony - zauważyła cierpko dziewczyna.

- Coś nie w porządku? - Daphne podeszła bliżej.

- Nic takiego, co nie może zaczekać. Pani musi się pospieszyć.

- O co chodzi?

- O list.

- Aha - zrozumiała Daphne. - Od Tollera?

- Zdaje się. Otworzy go pani? Zobacz, co on pisze?

Daphne podeszła do stolika.

- Z Thurnfield! - złamała pieczęć, rozwinęła kartkę, zaczęła czytać na głos. - *Droga lady Faville, z wdzięcznością przyjmuję pani propozycję zatrudnienia. Przyjadę do Londynu w ciągu czterech dni i z miejsca podejmę pracę. Z wyrazami szacunku, Toller.*

- Potrafi pisać ładne listy - rozjaśniła się Monette.

- Rzeczywiście - zgodziła się Daphne.

- Będzie tu w ciągu czterech dni!

- Już tylko trzech, Monette. List nosi wczorajszą datę.

Monette rzuciła się w ramiona Daphne.

- Och, dziękuję pani, *madame*.

Daphne zrobiło się miło.

- Ale niech się pani pospieszy! - Monette wypuściła ją z objęcia. - Pan Westleigh czeka. Już się na panią nie gniewa?

- Już nie. Też jestem szczęśliwa. - Sięgnęła po ten sam kapelusz, który nosiła przed południem.

- Nie, nie. Nie ten, włoży pani ładniejszy. - Monette wyciągnęła z szafy inny, ozdobiony kwiatami z jedwabiu i z szeroką satynową kokardą do przewiązania pod brodą.

- Dziękuję, Monette! - Daphne uściskała przelotnie pokojową i pobiegła ku wyjściu.

Hugh czekał u stóp schodów. Była przyzwyczajona do męskich zachwyty, ale podziw na twarzy Hugh sprawiał jej szczerą przyjemność.

- Idziemy? - Włożył kapelusz i podał jej ramię.

Musieli tylko przeciąć Park Lane, żeby wejść do Hyde Parku przez bramę zwaną Cumberland Gate. Skierowali się w stronę Serpenty. Pora na eleganckie towarzystwo była wprawdzie za wczesna, mimo to w parku mijali sporo ludzi. Guwernantki z dziećmi, urzędników i ekspedientki sklepowe, które zażywały spaceru w przerwie obiadowej. Zdarzało się też spotkać dżentelmenów z modnie ubranymi kobietami, najpewniej nie żonami.

- Brak tutaj tej ciszy, którą mieliśmy w Thurnfield - zauważyła Daphne.

- Tam nie było ciszy - odparł Hugh. - Prawdopodobnie nie zwracałbym uwagi na te wszystkie odgłosy, gdybym nie miał zabandażowanych oczu.

- To były dla ciebie trudne dni.

- Trudne, ale szczęśliwe. Nie żałuję ani jednej sekundy.

- Naprawdę?

- Tylko zakończenia. Kiedy wyjechałaś.

- Popełniłam tyle błędów. - Zniżyła głowę. - Powinam powiedzieć ci, kim jestem, już pierwszego dnia.

- Dlaczego nie powiedziałaś?

- Stchórzyłam. Wiedziałam, że mnie znienawidzisz, jak się dowiesz. Bałam się tego. A poza tym nie chciałam cię zmuszać do przyjmowania pomocy od kogoś, kto wyrządził tyle zła twojej rodzinie.

- I podjęłaś się roli pielęgniarki, na dodatek wydając dużą sumę pieniędzy.

- Nie tak znowu dużą. Na początku myślałam, że to potrwa nie dłużej niż dzień, góra dwa. Nie widziałam nic zdrożnego w udawaniu przez ten czas, że nie jestem lady Faville. Potem jednak...

- Ja nie zgodziłem się na sprowadzenie kogoś z mojej rodziny i utknęłaś.

- Poza tym zdążyliśmy się zaprzyjaźnić... Bardzo zależało mi na twojej przyjaźni.

Ośmieliła się spojrzeć mu w twarz. Zauważyła, że był zdziwiony, ale spoglądał wzrokiem pełnym sympatii.

- Pewna stara kobieta powiedziała mi kiedyś, że nawet drobne kłamstwo pociągnie za sobą kolejne, poważniejsze. Wiedziałam, że robię źle, a mimo to kłamałam.

Doszli do łąki usianej wiosennymi kwiatami. Próbowali przypomnieć sobie ich na-

zwy, ale mieli z tym trudności. Daphne nie była w tym lepsza od Hugh. Może powinna wpisać ogrodnictwo na listę zajęć, którymi będzie sobie wypełniała życie po powrocie na wieś?

- Wiesz, że zatrudniłam Tollera? - zapytała ni stąd, ni zowąd. - Przyjeżdża za kilka dni.

- Toller? Jestem zdziwiony. Był chyba związany z Thurnfield.

- Zdaje się, że jeszcze bardziej związany jest z pewną szwajcarską pokojową... - wyjaśniła Daphne i roześmiała się.

- Coś podobnego! - On także się roześmiał. - Założę się, że nie potrzebujesz jeszcze jednego lokaja.

- Jeden lokaj więcej nie zaszkodzi... - Zaczerwieniła się.

Hugh zamyślił się. Kobieta, z którą spacerował, czerwieniła się na sugestię, że zatrudniła lokaja, żeby zrobić przyjemność pokojowej. Czy to ta sama kobieta, która tak uparcie ścigała Xaviera? Ale rzeczywiście, byłaby z nich piękna para. On ciemnowłosy, ona blondynka o jasnej karnacji. Oboje nieprzeciętnej urody...

- Co czułaś, kiedy zobaczyłaś dzisiaj Xaviera? - zapytał. - Zakładam, że spotkanie w składzie fortepianów było pierwsze od lat.

- Pomyślałam, że zasłużyłam na jego gniew i podejrzliwość - odparła po dłuższej chwili.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

- Nie ustawałaś w próbach zdobycia go przed dwoma laty. Nie czułaś nic więcej?

- Było mi przykro, że musiał się na mnie natknąć. - Powiedziała to bez cienia pretensji.

Hugh przystanął i zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

- Daphne, ja się pytam, czy ty go nadal pragniesz? Czy do niego coś czujesz?

- Nie - odparła pewnie, bez wahania. - Dawno już przestał mnie pociągać.

Uwierzył jej.

- Daphne - wyszeptał. Opanowała go przemożna chęć, by ją pocałować. Chciał poczuć ciepło jej ust i ich smak.

Rozejrzała się dookoła i odsunęła od niego. Stali w nieosłoniętym miejscu. Każdy mógł ich zobaczyć. Uśmiechnął się i nachylił do jej ucha.

- Może później.

Znowu oblała się szkarłatem i wyglądała jeszcze piękniej.

- Chodźmy - powiedziała.

Znajdowali się w połowie drogi do Serpenty, gdy Hugh zauważył inną parę idącą w ich kierunku.

- Cholera! - zaklął pod nosem.

- Co takiego? - zaniepokoiła się Daphne.

- Moja matka i generał Hensen.

- Hensen? Pamiętam, przychodził do Maskarady.

Obie pary dzieliła jeszcze spora odległość, lecz twarze były już rozpoznawalne. Hugh był pewny, że matka ich zauważyła.

- Zejdźmy im z drogi - powiedział Hugh. Obawiał się, że matka mogłaby być równie niemą dla Daphne, co Ned. - Skręćmy w stronę wyjścia na Grosvenor.

Mogli to zrobić, nie sprawiając wrażenia, że uciekają. Ale to był ucieczka.

- Rozumiem - powiedziała Daphne. - Nie chcesz być ze mną widziany.

Miała rację. Nie chciał się tłumaczyć z czegoś, czego sam nie rozumiał, a matka niewątpliwie zażądałaby wyjaśnienia, dlaczego spacerował po Hyde Parku w towarzystwie lady Faville.

Miły nastrój się ulotnił. Daphne podejrzewała, że Hugh myślał jedynie o tym, by wrócić do domu i pozbyć się jej. Znowu poczuła w sercu chłód, ale rozumiała go. Jego matka musiała żywić do niej nienawiść. Każda matka czułaby to samo. Nie tak łatwo uwolnić się od przeszłości. Szkoda, że nie da się cofnąć czasu i zacząć od nowa jako Daphne Asher, wtedy przynajmniej miałyby choć szansę zbudować z Hugh relację.

Odprowadził ją pod drzwi domu.

- Do widzenia, Hugh. - Wyciągnęła rękę. Kolejne pożegnanie.

- Przykro mi, że nasz spacer skończył się tak szybko. Mogę odwiedzić cię jutro? - Wziął ją za rękę i przyciągnął ku sobie.

- Chcesz mnie odwiedzić? - Więc znowu go zobaczy! - Tak, oczywiście, przyjdź.

Schylił głowę i musnął ustami jej usta.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Kiedy Hugh wrócił do Maskarady, wiadomość od matki już na niego czekała. Zapraszała go na kolację. Mógł oczywiście zasłonić się pierwszą lepszą wymówką, spędzić najbliższe dni z Daphne i zignorować rodzinę, ale takie zachowanie wydawało mu się tchórzostwem. Stawi się na wezwanie i wszystko wyjaśni. Jeśli zdoła.

Przyszedł o wyznaczonej godzinie i został wprowadzony do salonu. Zdziwił się na widok Neda z Adele i Xaviera z Phillipą.

- A gdzie Rhys i Celia? Nie należą do rodziny? - zapytał. Żałował, że ich nie ma. Zdołaliby może przemówić matce do rozsądku.

- Rhys musiał wyjechać z Londynu - powiedział Xavier. - O co chodzi, Hugh? Nikt nie wie, po co nas wezwano.

Hugh nalał sobie czerwonego wina z kryształowej karafki na bocznym stoliku.

- Mam nadzieję że wkrótce się dowiemy.

W chwilę potem do pokoju wkroczyła matka wsparta na ramieniu generała Hensena.

- Cieszę się, że wszyscy jesteście. Adele - zwróciła się do synowej - dobrze się czujesz, kochanie?

- Nieźle - odpowiedziała. - Na tyle dobrze, żeby pójść z wami do opery. - Przedstawienie operowe było gwoździem sezonu. Po nim Maskarada zapełni się gośćmi.

- Wspaniale - odparła z uśmiechem. Jej wzrok spoczął na chwilę na Hugh, lecz zwracała się do wszystkich. - Cieszę się, że przyszlście, ponieważ wydaje mi się że mamy problem do przedyskutowania.

- Powiesz, o co chodzi, mamo? - zapytał Ned.

Matka odwróciła się do Hugh.

- Ty im powiedz.

- Co mam im powiedzieć? - zapytał, dobrze wiedząc, o co jej chodzi.

Usiadła w fotelu z wyniosłą miną.

- Nie baw się z nami, Hugh. Powiedz, z kim byłeś dzisiaj w parku.

- Ty im powiedz, mamo. Spodziewam się, że lepiej udramatyzujesz tę historię niż ja.

Hrabina wdowa zmrużyła oczy i zwróciła się do obecnych:

- Generał i ja spotkaliśmy dzisiaj na spacerze w parku Hugh z lady Faville.

- Czy to nie ta sama osoba - wtrąciła Adele - która próbowała podpalić Maskaradę?

- Niedokładnie tak było, Adele - odezwała się Phillipa.

- Hugh! - zawrzał gniewem Ned. - Przebywasz w towarzystwie tej damy, chociaż wiesz, że sobie tego nie życzę?

- Nie pouczaj mnie ani nie mów, co mam robić - odciął się Hugh.

- Jako głowa rodziny śmiem ci przypomnieć, że mam prawo zabierać głos w tej sprawie.

Matka spojrzała z aprobatą na Neda, po czym z poważną miną znowu zwróciła się do Hugh:

- Dlaczego byłeś w towarzystwie tej kobiety?

- A gdybym powiedział, że ubiegam się o jej rękę, to co? - Spojrzał wyzywająco.

- O rękę! - wykrzyknęła matka.

- Czyś ty oszalał? - Ned postąpił w stronę brata.

- Nie wiedziałam, że ją znasz - odezwała się Phillipa. Nie demonstrowała oburzenia jak Ned i matka, a to ona miała do tego prawo.

- Poznałem ją przed powrotem do Londynu - wyjaśnił. Nie dojrzał jeszcze do opowiedzenia całej historii. Wolał, żeby rodzina nie interesowała się jego sprawami tak jak do tej pory.

- Wróciła, żeby rozbić wasze małżeństwo, wspomnisz moje słowo - powiedział Ned do Xaviera.

- Nie chcę mieć z nią nic wspólnego - zastrzegł się Xavier.

- Ona jest niebezpieczna - upajał się swoim oburzeniem Ned.

Kto dał mu prawo ją osądzać? - zastanowił się Hugh, ale pozwolił bratu dokończyć.

- Wybij sobie z głowy ten pomysł. Nie życzymy sobie takiej osoby w rodzinie.

Hugh zapomniał, po kim Ned jest taki zarozumiały. Teraz było jasne - po matce.

- Przypuszczam, że jedynie droczysz się z nami. Ned ma rację. Ona jest niebezpieczna. Swego czasu udało nam się ukryć przed prasą skandal z podpaleniem, ale nie wiadomo, do czego ona jest jeszcze zdolna. Jeśli okazuje ci przychylność, to niewątpliwie dlatego, że chce znaleźć się bliżej Xaviera.

- Jesteś pewna, Honorio? - wtrącił generał odważnie. - Przed laty sprawiała na mnie wrażenie osoby czarującej.

Matka posłała generałowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Proszę nie zapominać, że omal nie spaliła Maskarady - wsparł matkę Ned. - Co by się stało z rodziną, gdyby się jej udało?

- Absolutnie zabraniam ci widywać się z tą kobietą! - wykrzyknęła matka. - Ludzie wezmą nas na języki. Pomyśl też, że jej może zależeć na zrujnowaniu szczęścia Phillipy.

- A co ty o tym myślisz? - zapytał Hugh siostrę.

- Nie wiem, ale mogłoby jej o to chodzić...

- Bez względu na wszystko, ona nie zrujnuje szczęścia Phillipy, ponieważ ja do tego nie dopuszczę - przerwał żonie Xavier i wziął ją za rękę. - Ostrzegam cię, Hugh. Daphne wie, jak używać swojego uroku. Potrafi być bardzo przekonująca.

- Właśnie - poparł go Ned. - Jest dwulicowa.

Hugh musiał przyznać, że w głębi duszy podziela zastrzeżenia rodziny wobec Daphne, z drugiej jednak strony nie znali jej tak dobrze jak on.

- Czy jest jeszcze jakiś inny powód spotkania? - zwrócił się do matki.

- Mało ci tych, które już przedstawiliśmy? - odparła.

Kamerdyner Mason, który niewątpliwie podsłuchiwał kłótnię pod drzwiami, zapukał i zakomunikował, że podano do stołu.

- Dziękuję, Mason. - Matka wstała.

- Mason - Hugh zatrzymał go - podasz mi kapelusz i rękawiczki? Ja nie zamierzam zostać na kolacji.

- Wychodzisz? - zdenerwowała się matka.

- Wiem, że chcesz dobrze, mamó - Hugh podszedł i wziął matkę za rękę - ale nie możesz decydować o naszym życiu. Ty także, Ned. - Odwrócił się do brata. - Nie mogę zostać.

Ned zagroził mu drogę do drzwi.

- Nie chcę ci niczego narzucać, Hugh - powiedział tak cicho, że tylko brat mógł usłyszeć. - Chodzi mi tylko o twoje dobro... i dobro rodziny. Czy nie na tym polega moja rola?

Hugh zapomniał, że Ned dopiero uczył się roli głowy rodziny. Walczyło w nim jednak tyle sprzecznych emocji, że w danej chwili nie stać go było na wyrozumiałość wobec brata. Mimo to złagodniał.

- Wystarczy, Ned - powiedział.

Nie zdążył odejść daleko od domu matki, gdy ktoś zawołał go na ulicy. Phillipa.

- Wszystko dobrze? - zapytała.

- Teraz widzę, jak źle obchodziliśmy się z tobą, kiedy matka usiłowała zmusić cię, żebyś zrobiła to, czego ona sobie życzy, a Ned i ja nie broniliśmy cię. Przepraszam cię za to.

- To już przeszłość.

Hugh spodziewał się, że siostra będzie na niego naciskała w sprawie Daphne, lecz nie zamierzała tego robić.

- Jest chłodno. Wracaj. - Objął ją i zawrócili razem pod dom. - Wiesz, że ona kupiła twoje kompozycje? Przed odwiedzeniem składu fortepianów.

- Naprawdę?

- Powiedziała, że jest ci to winna.

- Dziwne. Wiem, że powinnam coś powiedzieć, ale nie chcę cię do niczego namawiać. Dawniej, w Maskaradzie, kiedy nazywała mnie lady Songstress, odnosiłam wrażenie, że chciała się ze mną naprawdę zaprzyjaźnić. Kiedy jednak odkryła, że on kocha mnie, kobietę oszpeconą blizną, była w szoku...

- I zaproszyła ogień.

- Sama omal nie spłonęła. Jej suknia się zajęła. Była w śmiertelnym niebezpieczeństwie. O wiele większym niż Xavier i ja.

Biedna Daphne. Nic dziwnego, że tak się bała podczas pożaru w gospodzie.

- Niestety, nie potrafię jej wybaczyć, lecz czasami, mój kochany braciszku, czuję do niej litość.

- Litość?

- Tak, czasami mi jej żal.

Hugh ucałował siostrę w policzek, ten przecięty blizną biegnącą od nasady ucha niemal do kącika ust.

- Dzięki, kochana siostrzyczko.

Ona wróciła do domu, a on udał się do Maskarady. W środku unosił się zapach przysmaków, które kucharka szykowała na noc. Cummings, MacEvoy wraz z kilkoma krupierami przygotowywali lokal do otwarcia. Pierwsi goście pojawiali się o jedenastej, ale lokal zapełniał się dopiero po zakończeniu imprez towarzyskich, kiedy ludzie, którzy posiadali więcej pieniędzy niż rozumu, przychodzili szukać silniejszych wrażeń.

Hugh przypomniał sobie, jak pachniało powietrze w parku, jak cieszyły oko młoda

zielen i barwne wiosenne kwiaty. W oświetlonym sztucznym światłem, zamkniętym wnętrzu klubu poczuł się jak w więzieniu. Jak wtedy kiedy oczekiwał na werdykt, pogrążony w ciemności.

- Wszystko gotowe, panie Westleigh - zameldował MacEvoy. - Przygotowaliśmy też nowe pudełko kart do faraona.

W Hugh obudziła się chęć ucieczki.

- MacEvoy, powiedz, dacie sobie dzisiaj radę beze mnie?

- Jasne. Dawaliśmy sobie radę sami wielokrotnie. Ja będę przechadzał się po kasynie, a któregoś z krupierów posadzę w kasie.

- Doskonale. - Hugh włożył z powrotem kapelusz. - Wychodzę. Zobaczymy się jutro.

MacEvoy nie zdawał się zmartwiony tym, gdzie Hugh spędzi noc.

- W porządku. Do jutra. Wszystko będzie pod kontrolą.

Dokąd wybierał się Hugh? W tej chwili nie zastanawiał się nad tym. Chciał poczuć się wolny. Pójść tam, gdzie poniosą go nogi... i oczy. Musiał ochłonać. Uciszyć hu-czące w głowie głosy członków rodziny i własne wątpliwości; zapomnieć o Daphne, zarówno o tej gorącej i kochającej, jak też o zimnej manipulantce.

Szedł w górę Bond Street. Sklepy wciąż były otwarte i na chodnikach było równie tłoczno jak za dnia. Doszedł do Oxford Street i naraz zorientował się, że nieświadomie podążył do domu Daphne. Chciał z nią być na przekór wszystkim. Nie miał już wątpliwości.

Zapukał i otworzył mu Carter.

- Pan Westleigh!

- Wiem, jest strasznie późno, ale może zapytałbyś lady Faville, czy mnie przyjmie?

- Pani czeka w salonie na kolację.

- A czy mogę wejść nieanonsonowany?

- Dlaczego nie? - powiedział lokaj po chwili zastanowienia.

Hugh nie dał mu szansy na zmianę zdania. Wręczył kapelusz i rękawiczki i ruszył do drzwi do salonu. Kiedy wszedł, stała tyłem. Prawdopodobnie myślała, że wchodzi Carter, bo się nie odwróciła.

- Daphne?

- Hugh! - Zawirowała.

Nie znajdował słów, którymi mógłby się do niej zwrócić.

- Coś się stało? - zaniepokoiła się.

- Przychodzę od matki. Zebrała rodzinę, żeby mi wytłumaczyć, że nie powinienem się z tobą widywać.

- Więc nie powinno cię tu być, nie uważasz?

Dlaczego on przerzuca ciężar decyzji na nią, zapytała się w duchu, to okrutne. Podszedł, objął ją i wyznał, co czuje.

- Zrozumiałem, że nie chcę być nigdzie indziej.

Pocałował ją tak, jak gdyby nie całował jej przez całe wieki. Zarzuciła mu ramiona na szyję i poddała się pieścizocie.

Kiedy wreszcie mógł zaczerpnąć oddechu, zapytał:

- Mogę zostać?
- Na kolację? Naturalnie.
- Nie na kolację - odszepnął z ustami przy jej ustach. - Na noc.

Hugh obudził się w objęciach Daphne. Jej ciało było rozgrzane snem, złociste loki spoczywały na jego piersi. Odgarnął je, żeby zobaczyć jej twarz. W pierwszych blaskach świtu wyglądała jak promieniejąca nieziemską urodą Madonna Rafaela. Cóż za odmiana! Jakże była niepodobna do zimnej lady Faville, której znieawidzone oblicze ukazało mu się, gdy zerwał z niej maskę. Teraz miał u boku swoją Daphne, gorącą, oddaną i łagodną. Tych określeń nigdy by nie użył wobec uwodzącej Xaviera bywalczyni Maskarady.

Poruszyła się i otworzyła oczy. Dostrzegł w nich zadumę i tęsknotę.

Odrzucił na bok przykrycie, uniósł się nad nią wpatrzony w jej połyskliwą, kremową skórę, pełne piersi i wąską talię. Rozsypane na poduszce włosy okalały jej twarz złocistą aureolą. Była tą samą Daphne, z którą kochał się w wiejskim domku w Thurnfield. Teraz widział jaśniej niż kiedykolwiek. Kochał ją taką, jaką była w tej chwili, gotową oddać mu się bez reszty.

Pocałował ją i wszedł w nią powoli i delikatnie. Poczuł, jak ona zamyka się wokół niego, i jego podniecenie wzmoгло się. Mimo to poruszał się powoli, niemal opieszale, delektując się tym, że budzi ją ze snu. Jej oddech przyspieszał, biodra unosiły się na spotkanie z nim, jej namiętność rozpalala się na obraz tłącej się w popiele iskry, która może w okamgnieniu wybuchnąć rozszalałym płomieniem. Niech to będzie płomień, w którym oni stopią się w jedną całość na wieki...

Zrozumiał, że Daphne jest jego celem, przeznaczeniem. Z nią każda chwila jest przygodą.

Radość z dokonania tego odkrycia podsyciła ogień pożądania. Kochał się z nią coraz intensywniej i szybciej, aż obydwójce w tym samym momencie doznali spełnienia. Krzyknął z radości, a ona mu zawtórowała. Leżeli potem obok siebie, nic nie mówiąc, jakby w oczekiwaniu, aż dogasną w nich ognie namiętności.

- Powiniennem się ubrać - pierwszy przerwał ciszę Hugh. - Zaraz przyjdzie służąca rozpalić pod kominkiem. Nie powinna mnie tu zastać.

- Nie idź... - Przytulia się do niego.

Usiadł. Spojrzał na nią z góry i znowu poczuł przepelniającą go radość.

- Wyjedź ze mną, Daphne. Jedźmy w świat, tylko ty i ja. Możemy zatrzymać się w Paryżu, Rzymie lub w Wenecji. Pożeglować do Ameryki albo Indii. Gdzie chcesz!

- A co z twoją rodziną? I Maskaradą?

- Już dość życia poświęciłem rodzinie. Powiedz, że ze mną wyjedziesz - wziął jej twarz w dłonie. - Powiedz, że za mnie wyjdiesz!

- Mam za ciebie wyjść?

- Tak.

- Nie mogę, Hugh. Twoja rodzina gardzi mną... i nie bez powodu.

- Nie znają cię tak dobrze jak ja. Ale nie myśl o nich. Nie po to żyję, żeby ich zadowalać. - Objął ją. - Chcę być z tobą, Daphne. Powiedz, że zostaniesz moją żoną

Czekał w napięciu, a ona milczała przez kilka sekund, wreszcie odezwała się.

- Zostanę... Nie potrafię bez ciebie żyć.

Pocałował ją gorąco i wyszedł z łóżka, bo gdyby tego nie zrobił, znowu by się kochali.

- Ubieram się i wychodzę. Zobaczą, komu uda mi się powierzyć zarządzanie Ma-skaradą. Dochody z klubu wciąż są podstawą bytu rodziny.

- A jeśli nie uda ci się nikogo znaleźć?

- Uda się! - Musnął ustami jej usta.

Sięgnął po ubranie, mając nadzieję, że nie wygniotło się zaudto, gdyż przez całą noc leżało na podłodze. Daphne wstała i zawiązała jego krawat w całkiem zręczny węzeł. Jeszcze raz się pocałowali i pożegnali.

- Wrócę wieczorem, a jak nie, to dam ci znać, co udało mi się załatwić. Nie bój się.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Daphne czuła się jak uskrzydłona.

- Nie musi pani mówić, dlaczego jest taka szczęśliwa, milady. Wiemy, że pan Westleigh spędził u pani noc - powiedziała Monette, która przysłała pomóc jej się ubrać i ją uczesać.

- Nie przyznaję się - odparła i roześmiała się Daphne.

- Służba wie o wszystkim, co dzieje się w domu.

- Co ty wiesz, jesteś na służbie dopiero kilka miesięcy.

- Opactwo - dziewczyna spoważniała - nie bardzo różniło się pod tym względem od domu. Tam też były sekrety. Ale ja wolę być pokojową damy. Też będę miała wielbiciela, kiedy przyjedzie Toller.

- Monette, nie powinnaś dopuszczać Tollera do żadnej zażyłości przed ślubem. Ja to co innego. Byłam już mężatką, a ty jesteś dziewczicą i powinnaś poczekać do ślubu.

- Ale mogę się całować, prawda?

Rola mentorki młodej dziewczyny była obca Daphne.

- Całować tak, musisz jednak uważać, żeby nie dochodziło do niczego więcej. Monette, a ty wiesz, co się dzieje między kobietą a mężczyzną, to jest, między żoną a mężem?

- Wiem, proszę pani. Nowicjuszeki rozmawiały o tym często, zresztą widziałam zwierzęta.

- Jest różnica między zachowaniem zwierząt a ludzi.

Daphne poczuła niepokój o służącą. Czy tak czuje się matka dorastającej dziewczyny? Postanowiła, że zaraz po przyjeździe porozmawia z Tollerem. Nie pozwoli nikomu wykorzystać i skrzywdzić Monette.

Na dole Daphne spotkała w holu pana Everarda.

- Zapraszam do pokoju śniadaniowego - powiedziała po przywitaniu się. - Ciekawa jestem, po co pan znowu przyszedł.

- Bardzo przepraszam, milady. - Skłonił się. - Zajmę pani tylko kilka chwil.

Daphne weszła do jadalni pierwsza i od razu skierowała się do kredensu. Nałożyła sobie na talerz plaster szynki i kawałek sera.

- Niech pan się poczęstuje - zaprosiła go.

- Nie zabawię długo. Obawiam się, że chcąc pani pomóc i angażując w to moją żonę, która miała polecić pani pracownię stolarską, naraziłem się na raczej trudne do przewidzenia konsekwencje.

- Jakie konsekwencje? - Daphne usiadła i naląła sobie herbaty.

- Moja żona jest przekonana, że żywię do pani przywiązanie wykraczające poza... granice zawodowe. - Jego żona była najwyraźniej bystrzejsza niż on, jeśli nie dostrzegła tego, co rzucało się w oczy, pomyślała Daphne. - Ona uważa, że przysłałem ją do pani kierowany pewnym zamysłem, a nie dlatego że pani tego potrzebowała.

- Panie Everard, nie prosiłam, ani żeby pan przychodził, ani żeby przysyłał pan żonę. To była pańska inicjatywa. Nie może pan mieć za złe żonie, że nawiedzają ją niepokojące myśli.

- Tak, tak, wiem. Popełniłem błąd.

- Mam nadzieję, że wyjaśnił pan wszystko żonie i ją przeprosił.

- Przeprosiłem. Wiele razy. Ona jednak jest przekonana, że uważam ją za pospolicą i nieinteligentną w porównaniu z panią... Oczywiście, nie ma porównania... Nie porównuję pani z moją żoną...

Daphne mogłaby się założyć, że nigdy nie mówił żonie, że jest piękna i mądra ani że za coś ją ceni. Było jej go żal, gdyż wydawał się szczerze zgnębiony.

- Może za dużo żonie o pani opowiadałem. O pani sprawach. To jest o pani finansowych interesach. Nie, żebym ujawniał jakieś szczegóły. Po prostu opowiadałem o swojej pracy. Pani rozumie?

Co takiego mógł o niej naopowiadać? Czy mógł zapędzić się w swojej szczerości tak dalece, że sięgnął do czasów, kiedy bywała w Maskaradzie? Czy jego żona nie dowiedziała się z tych opowieści, że Daphne próbowała rozbić czyjeś małżeństwo? Jeśli tak, nic dziwnego, że biedna kobieta się niepokoi.

- Panie Everard, jeśli pańską żonę martwi przywiązanie, jakie pan do mnie czuje, nie powinien pan odwiedzać mnie tak często, lecz jedynie wtedy, gdy wymaga tego sprawa rzeczywiście wielkiej wagi.

- To jest sprawa wielkiej wagi - jęknął. - Żona grozi, że mnie opuści.

- Nie mam wpływu na pańską żonę. - Daphne zdawała sobie sprawę z tego, że pani Everard jak wiele innych osób nie lubi jej.

- Ale mogłaby pani wyświadczyć mi pewną przysługę. - Daphne przestraszyła się, że mówiąc to, padnie na kolana.

- O co chodzi? - zaczynał ją męczyć. Jajecznicza na kredensie stygła.

- Niech pani napisze list - złożył przed nią dłonie jak do modlitwy - i w tym liście poprosi ją, żeby spotkała się z panią w pracowni stolarskiej. Niech pani jej powie, że potrzebuje pani jej rady w sprawie zakupów.

Co szkodzi spełnić prośbę? Może pani Everard rzeczywiście będzie lepiej zorientowana, jakie meble przydadzą się dzierżawcom. Dwa lata temu Daphne bezwstydnie wykorzystywała Everarda. Mogłaby w ten sposób mu to wynagrodzić. Nie miała złudzeń, że list i spotkanie w sklepie stolarza sprawią, że pani Everard nabierze do niej sympatii i przestanie być o nią zazdrosna.

- Dobrze. Napiszę taki list, ale musi mi pan coś obiecać.

- Zrobię wszystko, o co pani poprosi, milady. Zawsze robiłem.

Daphne zaczęła do niego przemawiać jak do dziecka. Tonem guwernantki, jak określał ten jej sposób mówienia Hugh.

- Nie wolno panu więcej opowiadać o mnie swojej żonie. Raz dziennie powinien pan jej mówić, że jest piękna. Każdego dnia powinien pan dziękować jej za starania, nawet gdyby wydawały się panu prozaiczne, jak chociażby planowanie, co podać na obiad, czy dopilnowanie, żeby miał pan upraną bieliznę, a dom był posprzątnany.

- Tego sobie pani życzy?

- To nie wszystko. Proszę ją namawiać, żeby sobie kupowała ładne sukienki i kapelusze, a gdy je kupi, proszę jej mówić, że ładnie w nich wygląda.

I powinien pan z nią rozmawiać. Pytać ją ozdanie. Interesować się tym, co jest dla niej ważne. - Dopiero stara zakonnica i Hugh zainteresowali się tym, co jest ważne dla Daphne. Przedtem nikt o to nie dbał.

Everard patrzył sceptycznie.

- Proszę mi obiecać. Inaczej nie napiszę listu, na którym panu zależy, i nie spotkam się z pańską żoną u stolarza. - Zaiste, była bardzo surową guwernantką.

- Zrobię to - obiecał zdesperowany Everard. Na pewno teraz nie był przekonany o mądrości udzielonych mu rad, ale Daphne wiedziała, że zda sobie z tego sprawę, kiedy zobaczy uśmiech żony.

- Niech pan poprosi Cartera, żeby przyniósł papier, pióro i atrament - powiedziała.

Everard pobiegł wykonać jej prośbę. O wyznaczonej godzinie każe zawieźć się Smithowi z Carterem do pracowni meblarskiej Jeffersa na Cheapside. Miała nadzieję, że Hugh nie przyjdzie podczas jej nieobecności w domu. Na wszelki wypadek pozostawi mu wiadomość i poprosi, żeby zaczekał.

Po południu Hugh w sali klubu omawiał z MacEvoyem, Cummingssem i kilkoma krupierami funkcjonowanie domu gry bez niego. Żaden z nich nie widział trudności. Zdaniem MacEvoya wystarczyłaby comiesięczna wizyta kogoś z rodziny Westleighów dla zagwarantowania niezakłóconej działalności klubu w dotychczasowy sposób. Z czasem można by zastąpić Hugh którymś z dżentelmenów, kimś w rodzaju sir Reginalda, częstego gościa w klubie, któremu na pewno przydadzą się dodatkowe fundusze.

Hugh nie mógł się doczekać przedstawienia planu rodzinie. Będą musieli się zgodzić, bo on nie zamierzał już iść na żadne ustępstwa.

Do klubu wszedł Xavier.

- Xavierze! Dobrze, że jesteś! - Wezwał go do siebie ruchem ręki Hugh. - Chcę, żebyś posłuchał, o czym rozmawiamy.

- Czy mógłbym najpierw porozmawiać z tobą na osobności, Hugh? Może wyjdziemy do holu?

- Oczywiście.

Hugh zaniepokoił się. Coś złego przydarzyło się komuś z rodziny? Zdziwił się, widząc w holu Phillipę.

- Co jest? Ktoś zachorował?

- Nic takiego - uspokoiła go Phillipa.

- Dostałem to dzisiaj - Xavier wyciągnął z kieszeni kartkę papieru. - Pomyśleliśmy, że powinieneś to zobaczyć.

Hugh wziął do ręki kartkę i od razu poznał, czyją ręką była pisana. Podobną kartkę papieru otrzymał w Thurnfield. Czytał ją wiele razy. Wystarczająco wiele, żeby zapamiętać charakter pisma.

Proponuję spotkanie dzisiaj o trzeciej po południu w pracowni meblarskiej Jeffersa. Po naszym wczorajszym spotkaniu zrozumiałam neodpartą potrzebę kolejnego, inaczej bowiem mój plan nie ziści się. Zapomnijmy o wszelkich nieporozumieniach. Proszę o wyrozumiałość i liczę na to, że się zobaczymy.

*Serdeczności,
Daphne, lady Faville*

Hugh zmiął kartkę w dłoni.

- Dostałem to przez posłańca - wyjaśnił Xavier. - Mówił, że pewna kobieta zapłaciła mu, żeby mi doręczył ten list.

Phillipa dotknęła ramienia brata. - Tak mi przykro, Hugh.

- Nie! - krzyknęła.

Daphne planowała schadzki z Xavierem? Jak to możliwe? Zaczęła o tym myśleć, kiedy od niej wyszedł dzisiaj rano? Czy może nosiła się z tym zamiarem wcześniej, zanim poprosił ją o rękę?

Cięcie szablą nie mogłoby być boleśniesz niż zdrada. Kolejny raz go oszukała.

- Która godzina? - zapytał.

- Dwadzieścia po trzeciej - odpowiedział Xavier, sięgnawszy po zegarek do kieszeni.

- Ona nadal może tam być. Jadę tam.

Daphne nie zdziwiło, że żona Everarda nie pojawiła się w pracowni meblowej. Nawet przyjęła ten fakt z ulgą. Była przekonana, że sama poradzi sobie z dokonaniem wyboru mebli dla dzierżawców i nie będzie musiała znosić widoku niechętnej jej pani Everard. W dniu, w którym Hugh oświadczył się o jej rękę, Daphne chciała widzieć wokół tylko życzliwych sobie ludzi.

Pracownia podobała się jej. Czuła, że to dobrze prosperujący interes z zadowolonymi pracownikami. Produkty odznaczały się starannością wykonania i dobrej jakości materiałem. Pan Jeffers, mimo że odstraszał widokiem szpetnej blizny na twarzy, był przyjacielski i widać było, że jest dumny ze swojego warsztatu. Był w siódmym niebie, kiedy Daphne zamówiła dziesięć fornirowanych dębina biurka dla dzierżawców i tuzin sosnowych kufrów dla stajennych i parobków rolnych. Daphne i pan Jeffers dobijali interesu, kiedy ktoś wpadł z hukiem do warsztatu.

- Hugh! - wykrzyknęła i uśmiechnęła się z radości Daphne.

- Nie spodziewałaś się mnie zobaczyć, co, Daphne? - wyraz jego twarzy zmroził ją.

Za plecami Hugh stali Xavier z żoną.

- Pan Champion! - Jeffers ruszył, żeby się przywitać.

Xavier dał mu znak, żeby się wycofał, i Jeffers bez słowa zniknął za kotarą oddzielającą warsztat od sklepu.

Daphne stała z bijącym sercem. Stało się coś strasznego. Carter też to musiał wyczuć, ponieważ przyszedł z zaplecza, gdzie do tej pory czekał, i stanął obok swojej pani. Daphne z niepokojem przenosiła wzrok z Hugh na Xaviera i Phillipe.

- Nic nie rozumiem.

Hugh popatrzył na nią z odrazą i podał jej zmiętą kartkę papieru.

- Ależ to jest... Skąd to masz?

- Od Xaviera, to oczywiste.

- A skąd to wziął Xavier? - Oddała list Hugh. - Ja tego mu nie wysyłałam.

- Czy to twoje pismo, Daphne? - Hugh podszedł bliżej z oczami płonącymi wściekłością.

- Nie wiem, jak to wyjaśnić - powiedziała. Był to list, który adresowała do pani Everard.

- Nawet nie próbuj się tłumaczyć. I tak ci nie uwierzę.

Pod Daphne ugięły się nogi. Oparła się na ramieniu Cartera, gdyż inaczej by upadła.

- Ja tego nie wysłałam do Xaviera! Nawet nie wiem, gdzie on mieszka - zwróciła się do niego.

- Potrafiłaś znaleźć mój sklep - odpowiedział. - Mogłaś też znaleźć mój adres domowy.

- Twój sklep? - Więc on był właścicielem również tej pracowni stolarskiej, nie tylko składu fortepianów?

Daphne miała wrażenie, że wałą się na nią ściany tego budynku tak jak mury płonącej gospody w Ramsgate. Hugh nigdy w to nie uwierzy.

Żona Everarda musiała o tym wiedzieć. Czy jednak tłumaczenie, że całą tę intrygę ukartowała żona jej plenipotenty, nie wyglądałoby jeszcze bardziej nieprawdopodobnie? Daphne uznała, że takie tłumaczenie nie ma sensu.

Nikt nigdy nie uwierzy, że piękna lady Faville mogła się zmienić. Kiedyś szalała na punkcie przystojnego Xaviera Campiona, dzisiaj nikomu nie przyjdzie do głowy, że jej przestało na nim zależeć. Xavier się dla niej nie liczył. Liczył się tylko Hugh.

- To bez sensu - szepnęła do siebie, zrobiła jednak wysiłek i spojrzała w oczy Hugh. - Wprowadziłam cię w błąd tylko raz. Udawałam kogoś innego, ale nie okłamywałam cię. Nie zamierzam tego robić i teraz. Nie umówiłam się na spotkanie z Xavierem. Bardzo wstydzę się tego, co robiłam w przeszłości. Poświęciłam dwa lata, żeby się zmienić, i udało mi się to. Nie mam jednak wpływu na to, co ludzie o mnie myślą. Twojej opinii na mój temat również nie umiem zmienić.

Hugh poczuł, że opuszcza go złość. Tymczasem Daphne zwróciła się do Cartera:

- Wychodzimy.

- Dobrze, milady. - Pozwolił, by się na nim oparła, bo wiedział, że jej świat rozpadł się na drobne kawałki. Zaprowadził ją do powozu i pomógł wsiąść. Zanim zamknął drzwiczki i wdrapał się na kozła, zdążył powiedzieć:

- Niektóre czyny mszczą się na nas bez końca, milady, ale musimy nadal żyć, nieprawdaż?

Chyba wiedział z własnego doświadczenia, o czym mówi, pomyślała Daphne i spróbowała się uśmiechnąć.

- Musimy żyć...

Powóz ruszył ku jej przyszłemu samotnemu życiu.

Zanim dojechali do domu, Daphne doszła do siebie, choć nadal cierpiała.

W holu wybiegła jej naprzeciw Monette.

- Milady! Proszę spojrzeć, kto przyjechał! Toller. Cały dzień wcześniej.

- Milady. - Zza pleców pokojowej wystąpił Toller. - Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani mój wcześniejszy przyjazd.

Daphne przywołała uśmiech na twarz. Nie będzie swoim smutkiem psuła szczęścia Monette.

- Cieszę się, że cię widzę, Toller. Przyjechałeś w samą porę. Jutro możemy wracać do Vadley. Dopilnujecie wyjazdu razem z Carterem?

- Wyjeżdżamy z Londynu? - Monette wydawała się zawiedziona.

- Kiedyś tu wrócimy, ale jak najszybciej muszę znaleźć się w Vadley.
- A co z panem Westleighem?
- On o tym wie. On wie - powtórzyła ciszej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Hugh bardzo cierpiał i aby łatwiej sobie poradzić, rzucił się w wir obowiązków. Już nie myślał o porzuceniu Maskarady, ale znowu potrzebował sporo brandy, żeby zasnąć.

Nie reagował na prawie codzienne wezwania matki. Nie widywał nikogo poza klubem. Zresztą rzadko z niego wychodził. Życie towarzyskie sezonu toczyło się bez jego udziału. Londyn szykował się do koronacji króla, ale i to niewiele go obchodziło.

Minął tydzień. Daphne, był tego pewny, wróciła do wiejskiej rezydencji, gdziekolwiek się ona znajduje. Nie dowiedział się, gdzie to jest, i nie interesowało go to.

Tego wieczoru jak co dzień zaczynał obchód od jadalni. Sprawdzał, czy wszystko jest gotowe na otwarcie. Rzucił okiem na nieużywany fortepian. Usiadł na stołku i zamknął oczy. Zaczął wystukiwać palcem melodię *Ostatniej wachty*.

- Przyszedł kapitan Rhysdale - przerwał mu Cummings. Dla Cummingsa Rhys był ciągle kapitanem.

- Gdzie jest?

- W holu.

Hugh nie przypominał sobie, czy słyszał już o powrocie brata do miasta. Dostawał listy od Neda, Phillipy i od matki, lecz nie zwracał sobie głowy ich treścią. Na dole zastał Rhysa jeszcze w kapeluszu i rękawiczkach. Cummings bez słowa podał Hugh jego kapelusz i rękawiczki.

- Idziemy - rozkazał Rhys.

- Nie mogę, muszę pilnować klubu przed otwarciem.

- Zajmą się tym MacEvoy i Cummings. Dostałem od twojej matki zadanie sprowadzenia cię.

- Nie pójdę.

- Owszem, pójdiesz. - Rhys nałożył mu kapelusz na głowę. - Nie zmuszaj mnie do użycia siły.

- Chętnie się z kimś pobiję.

- Wciąż jesteś za słaby, żeby dać mi radę. - Rhys wypchnął brata za drzwi.

Hugh nie opierał się. Kiedyś i tak będzie musiał stawić czoło rodzinie. Dlaczego nie teraz?

Rhys przynajmniej nie zadawał żadnych pytań podczas krótkiego spaceru do rezydencji Westleighów. Xavier zapewne opowiedział mu o Daphne i o jej liście. Niewątpliwie cała rodzina znała tę historię, ale nie wiedzieli o wszystkim. Nie mieli pojęcia, że on i Daphne spali ze sobą i że ona pielęgnowała go, gdy walczył o odzyskanie wzroku. Te wspomnienia zachował tylko dla siebie.

Cała rodzina zdążyła się już zebrać w salonie matki. Wszyscy czujnie przyglądali się Hugh, ale nikt się nie odzywał. Podczas kolacji więcej pił, niż jadł, i ignorował toczące się wokół nieśmiałe, ciche rozmowy. Patrzył na członków rodziny jak na egzotyczne zwierzęta na wystawie w Tower. Już raz czuł się podobnie - wtedy, kiedy go

przekonywali, że Daphne nie można ufać. Naturalnie mieli rację. Z tym obrazem kłóciły się, co prawda, pełne namiętności noce, które z nią spędzał, ale to zupełnie inna historia.

Po kolacji przeszli do salonu, gdzie Hugh usiadł z kieliszkiem brandy, który napełniał raz za razem.

- Adele, moja droga, dostałam list od twojej babki. Zapomniałam ci wcześniej powiedzieć. Mam ci go przeczytać? - Matka wyciągnęła złożoną kartkę papieru.

- Bardzo proszę! - wykrzyknęła Adele z takim zapałem, że Hugh aż się skrzywił.

Matka teatralnym gestem uniosła list do oczu.

- *Droga Honorio...* doprawdy nie wiem, co ją upoważnia do takiej poufałości. Nigdy nie byliśmy po imieniu. A więc... *Droga Honorio...*

Hugh wyprostował się. Coś, czego przedtem nie zauważył, uderzyło go teraz z siłą kowalskiego młota.

- Wstęp - powiedział głośniej, niż chciał. Wszystkie oczy skierowały się ku niemu, on zaś zwrócił się do Xaviera. - W tym liście brakowało wstępu, zauważyłeś?

- W jakim liście? - Xavier patrzył na Hugh, jakby ten oszalał.

- Doprawdy, Hugh - skarciła go matka. - Przez cały wieczór nie odzywasz się ani słowem, aż nagle wyskakujesz z jakąś bzdurą.

- To nie bzdura. - Wstał z fotela i podszedł do Xaviera. - Mówię o liście, który dostałeś od Daphne. Nie miał wstępu.

- Chyba masz rację - odparł niepewnie Xavier.

- Wiem na pewno, że nie miał wstępu - wtrąciła Phillipa. - Pamiętam, że nawet pomyślałam, że to dziwne. Ale jakie to ma znaczenie?

Hugh czuł, że mgła, która zaciemniała jego umysł, rozstępuje się nagle.

- To znaczy, że ten list niekoniecznie miał być przeznaczony dla Xaviera. Powiedz, Xavierze, czy ta notka sprzed dwóch lat miała wstęp?

Xavier oczywiście wiedział, o jaką notkę chodzi Hugh. Tę, w której Daphne wyznaczyła mu *tête-à-tête* w jadalni Maskarady.

- Nie przypominam sobie. - Pokręcił głową.

- Ale ja sobie przypominam - ponownie wtrąciła Phillipa. - Pamiętam każde słowo tamtego liściku. Zaczynał się od słów: *Mój Drogi Xavierze...*

- No to dlaczego nie zaczęła w ten sam sposób? - wykrzyknął Hugh.

Jakim był głupcem! Widział to, co ktoś chciał, żeby zobaczył. List w ogóle nie był przeznaczony do rąk Xaviera?

- Daphne napisała ten list do kogoś innego i ten ktoś odciął wstęp. - Hugh był już tego niemal pewny. Elementy układanki znalazły się na swoim miejscu.

- Hugh! - Do akcji wkroczył Ned. - Znowu bierzesz rozbrat ze zdrowym rozsądkiem. Tej kobiecie od początku zależało tylko na Xavierze.

- Zgadza się z Nedom - pisnęła Adele, jak gdyby zdanie Adele miało jakiegokolwiek znaczenie dla Hugh.

- Wiedziałeś co to była za kobieta - kontynuował Ned.

- Właśnie, była - z naciskiem powiedział Hugh. - Wiem, jaka była, ale ona się zmieniła.

- Co za nonsens! - orzekła kategorycznie matka.

Generał przezornie milczał. Hugh zwrócił się ponownie do Xaviera, puszczając

mimo uszu uwagę matki.

- To był list, który wysłała do kogoś innego.

Xavier pozostawał jednak nieprzekonany.

- Pomyśl, jak to się dziwnie składa: ona pisze list do kogoś, kto odcina wstęp, wiedząc, że jej zaszkodzi, odsyłając ten list do mnie. Dlaczego ktoś miałby sobie robić tyle kłopotu?

- Nie wiem dlaczego. Wiem tylko, że tak się stało.

- Jedyne sensowne wyjaśnienie jest takie, że ten list został wysłany przez nią.

- Wersja Hugh może być jednak prawdziwa. - Do rozmowy włączył się Rhys.

- Można się o tym łatwo przekonać - powiedziała na to Celia. - Idź do niej. Zapytaj jej i posłuchaj, co ma ci do powiedzenia.

- Masz rację, Celio. Jest tylko jeden szkopuł.

- Mianowicie?

- Ona wyjechała z Londynu.

Hugh popędzał konia. Tego samego, którego kupił w Thurnfield. Tym razem jednak jechał do niej.

Z łatwością dowiedział się, gdzie mieszka. Hugh znalazł jej plenipotentę i ku swojemu zaskoczeniu przy okazji rozwiązał zagadkę rzekomego liściku Daphne do Xaviera. Tę notatkę Daphne adresowała do żony Everarda, która z opowiadań męża знаła historię niedoszłego romansu lady Faville z Xavierem. Pani Everard, motywowana zazdrością, odcięła wstęp i przesłała notkę Xavierowi w nadziei, że przysporzy kłopotów Daphne.

Na szczęście Everard nie wiedział o romansie łączącym Hugh z Daphne, a Hugh nie oświecił go. Nie tłumaczył też, dlaczego musi skontaktować się z Daphne. Mimo to Everard poinformował go, że jej wiejska rezydencja znajduje się w Vadley, w pobliżu Basingstoke, dzień drogi od Londynu.

Było już późne popołudnie, kiedy wjeżdżał do miasteczka. Zatrzymał się w gospodzie, by zapytać o drogę do rezydencji lady Faville. Właściciel z miejsca zapałał do niego sympatią i rozgadał się na temat Daphne.

- Lady Faville nie była naszą ulubienicą na początku. Swoimi kapryсами nie ułatwiała życia służbie, ale to się zmieniło. Ludzie ją wychwalają za remonty, jakich dokonała w domach dzierżawców, i za podniesienie wynagrodzeń. A pan jest jej przyjacielem? - zapytał, nalewając dla Hugh kolejny kufel piwa.

- Tak. Przyjaźnimy się - odparł Hugh. Zamierzał pozostać jej najwierniejszym przyjacielem na zawsze.

Wyposażony we wskazówki i życzenia dobrej drogi, Hugh dotarł przed bramę wjazdową i jechał wysadzaną drzewami aleją, na której końcu stał osiemnastowieczny dwór z czerwonego piaskowca.

Zakołatał do drzwi Otworzył Toller.

- Pan Westleigh!

- Toller?! Jestem zaskoczony, ale cieszy mnie twój widok.

- Pani Asher, to jest lady Faville, przyjęła mnie na służbę.

Kolejny dobry uczynek, pomyślał.

- Pani jest w domu? Zapytasz, czy mnie przyjmie?

- Pojechała z wizytą do dzierżawców. Proszę na nią poczekać w salonie.

- Wolałbym wyjechać jej naprzeciw. Mógłbyś mi powiedzieć, jak ją znaleźć? -

Hugh nie starczało cierpliwości, żeby czekać na powrót Daphne.

- Chce pan zrobić jej niespodziankę? Na pewno się ucieszy. - Toller objaśnił, jak trafić do wioski.

Hugh znowu znalazł się na grzbiecie swojego wierzchowca i miał nadzieję, że szybko odnajdzie Daphne.

Po kilku minutach jazdy spostrzegł ją już ze znacznej odległości. Na początku nie był nawet pewny, czy to ona. Miała suknię tak skromną, że mogłaby w niej uchodzić za żonę kogoś z dzierżawców. Na sukni miała biały fartuch, w ręku niosła koszyk. Jej twarz ocieniał słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Hugh podjechał powoli, tak że uchwycił moment, w którym go zauważyła.

- Poznajesz tego konia? - zapytał, kiedy stanął na ziemi.

- Tak. - Pogłaskała zwierzę.

Łagodne przedwieczne światło nadawało ciepły kolor jej policzkom. Niebieskie oczy mogły rywalizować pod względem intensywności z barwą nieba. Nigdy nie widział jej piękniejszej. Zachowywała się jednak bardzo powściągliwie.

- Co cię sprowadza, Hugh? - zapytała.

- Przyjechałem, żeby cię przeprosić - odpowiedział.

Ruszyła przed siebie. On szedł za nią, prowadząc konia.

- Za to, że ci nie wierzyłem. Popełniłem błąd. Przepraszam.

- To bez znaczenia - odparła bez emocji.

- Co przez to rozumiesz? - Przepęłniały go sprzeczne uczucia. Radość, że ją widzi; żal, że źle ją potraktował, i obawa, że mu nie przebaczy.

- To znaczy, że to nic nie zmienia - powiedziała ze smutkiem.

- Wróciłem do ciebie, Daphne - Czyżby było już za późno? - Chcę prosić cię o wybaczenie. Zbyt kurczowo trzymałem się uprzedzeń. Słuchałem podszeptów rodziny. Byłem ślepy, a teraz widzę wyraźnie. Chcę zacząć od nowa. Chcę być z tobą.

Przystanęła i wzniosła ku niemu przepęłnione bólem spojrzenie.

- Pogodziłam się z tym, że nigdy nie uwolnię się od przeszłości. Zawsze będzie stała między nami. Nie mogę wymazać tego, co kiedyś zrobiłam. - Wyciągnęła dłoń, żeby go dotknąć, ale ją cofnęła.

- Ale ty się zmieniłaś. Wszyscy to widzą.

- Tak, zmieniłam się. I nigdy już nie będę taka, jaka byłam. Ale tamta kobieta wciąż jest częścią mnie. I muszę płacić za jej winy. Twoja rodzina nigdy mi nie wybaczy, nawet o tym nie marzę.

- Do diabła, Daphne. Jeśli twoje zachowanie jest niewybaczalne, to moje również. Nie obchodzi mnie twoja przeszłość. Ja ze swoją też zamierzam zerwać. - Próbowała odejść, ale przytrzymał ją za ramię. - Już raz prosiłem cię, żebyś za mnie wyszła, a ty zgodziłaś się. Proszę cię jeszcze raz. Wyjdź za mnie. Będziemy razem, wszystko inne się nie liczy.

Daphne patrzyła w tę ukochaną twarz. Spoglądała w jego pałające uczuciem oczy i cieszyła się, że widzą, gdyż doskonale pamiętała, jak cierpiał, kiedy otaczały go ciemności i laską badał drogę, zanim zarobił kolejny krok.

Bardzo chciała z nim być, ale nie zniosłaby po raz wtóry odrzucenia.

- A co na to powie twoja rodzina, Hugh? Nie wyrzekną się ciebie? - Ona nie miała rodziny. O ile gorzej byłoby mieć rodzinę, która cię nie akceptuje?

- Mogą mnie odrzucić albo się zmienić. Niech robią, co chcą. Ja wiem tylko jedno: nie przedłożę rodziny nad ciebie. Nie mogę znowu cię stracić!

- Nie jestem tego pewna. - Spojrzała w bok.

Zmusił ją, żeby znowu popatrzyła mu w oczy.

- Kocham cię, Daphne. Jeśli potrzebujesz czasu do namysłu, zrozumieć to. Ale pozwól mi być w pobliżu. Wynajmę mieszkanie w okolicy. Daj mi szansę udowodnienia, że ja też się zmieniłem, że ci wierzę. Bezgranicznie!

- Ale ja nie chcę nigdzie wyjeżdżać, Hugh. Chcę zostać tutaj. Tu jest tyle do zrobienia. Niewielkim wysiłkiem mogę naprawdę pomóc ludziom, którzy dla mnie pracują.

- Wydaje mi się, że się zgadzasz - powiedział z uśmiechem. Uniósł ją w powietrze i zawirował nią.

- Żadnych podróży. Zamieszkamy tam, gdzie zechcesz. Wszystko, czego szukałem, znalazłem w tobie.

Pocałował ją, a ona go objęła. Hugh chciał, by trwali tak bez końca.

EPILOG

Dali zapowiedzi w kościele parafialnym w Vadley i u Świętego Jerzego na Hanover Square w Londynie. Daphne nie pozwoliła Hugh wynająć mieszkania w okolicy i zaprosiła go do swojego domu. Spędzali dni i noce, upajając się swoim szczęściem, nie czekając, aż zostaną poślubieni wobec Boga i ludzi.

Hugh wysłał do rodziny zaproszenie, kiedy tylko ustalili datę uroczystości ślubnej. Bolało go, że nikt mu nie odpisał, albowiem naprawdę chciał dzielić z najbliższymi swoje szczęście. Szybko pogodził się jednak z tym, że nie przyjadą. Nigdy w życiu nie był szczęśliwszy niż w ciągu ostatnich tygodni, a spodziewał się, że to dopiero początek.

Daphne w niczym nie przypominała owej zimnej i wyniosłej piękności, którą niegdyś była. Obecnie Hugh dostrzegał tylko jej ciepło i słodycz. W jego oczach stała się przez to jeszcze piękniejsza.

Zapowiadało się, że uroczystość ślubna przekroczy wszelkie oczekiwania, albowiem wybierała się na nią cała okolica. Hugh cieszył się, że inni zobaczą w Daphne to, co on w niej widzi.

W dniu ślubu został wyproszony z sypialni Daphne. Podczas gdy ona przebierała się w nową suknię, on poszedł do kościoła z panem Quiggim, zarządcą majątku Daphne, który swojej pani nie szczędził słów zachwytu. Quigg zgodził się zostać drużbą Hugh podczas uroczystości ślubnej.

Ludzie gromadzili się przed kościołem. Hugh witał się z tymi, których zdążył poznać wcześniej, i zawierał nowe znajomości. W kościele czekał na nich pastor.

Kiedy rozmawiali z duchownym, dał się słyszeć turkot zajeżdżających powozów. Hugh pomyślał, że przyjechała Daphne. Drzwi przedsionka otworzyły się i środkiem nawy wkroczyła wsparta na ramieniu generała Hensena matka Hugh, a za nią szli Ned z Adele, Phillipa z Xavierem i Rhys z Celią. Rodzina stawiała się w komplecie. Hugh ruszył ku nim, ucałował matkę i szwagierki, a braci i Xaviera szczerze uściślał.

- Przyjechaliście.

- To oczywiście, jesteśmy przecież rodziną.

Hugh przedstawił rodzinę pastorowi, po czym usadził swoich bliskich na honorowych miejscach w pierwszym rzędzie.

- Czy pozwoli pan? - zapytał Quigga. - Chciałbym, żeby przy ołtarzu druzbowali mi bracia.

- Nie mam nic przeciwko temu - odrzekł niedoszły drużba.

- Co wy na to? Ned? Rhys? - zapytał Hugh.

- Ja, cóż, oczywiście. - Uśmiechnął się z lekkim wahaniem Ned. - Jeśli sobie tego życzysz.

- Jesteś pewny co do mnie? - zapytał Rhys.

- Chcę obu braci.

Wszystko zostało uzgodnione, kiedy podjechał kolejny powóz. Dały się słyszeć

okrzyki powitalne i oklaski. Ktoś zakomunikował, że przyjechała panna młoda.

Zagrały organy. Hugh zauważył, jak Phillipa opiera policzek na ramieniu Xaviera. Drzwi otwarły się. Weszła Monette i zajęła miejsce przy ołtarzu.

Co pomyśli matka, zastanawiał się Hugh. Druhną Daphne miała być jej pokojowa, a Carter, awansowany do funkcji kamerdynera, miał oddać pannę młodą przyszłemu mężowi.

W wejściu stanęła Daphne i Hugh zapomniał o wszystkim. Miała na sobie prostą niebieską suknię wykończoną koronką, niebieski kapelusz i welon osłaniający twarz. Suknię, może niewytrzymującą porównania z kreacjami od krawcowych z Mayfairu, uszyła Monette.

Daphne zatrzymała się, widząc Neda i Rhysa u boku Hugh, a on dał jej znak, żeby spojrzała na pierwszy rząd ławek, w którym zasiadała jego matka.

Daphne podeszła do niej.

- Jestem zaszczycona i cieszę się państwa przybyciem. - Zatrzymała się przed Xavierem i Phillipą. - Nie wiem, co powiedzieć... brak mi słów.

- Najlepsze życzenia - odezwała się lekko pobladła Phillipa i wyciągnęła dłoń do Daphne. Xavier sztywno skinął głową.

Po przywitaniu się z Nedom i Rhysem Daphne stanęła wreszcie u boku Hugh. Głos zabrał pastor:

- Moi kochani, zebraliśmy się tu...

Później, podczas zaimprovizowanego pośpiesznie śniadania dla rodziny, Daphne siedziała obok Hugh. Z przejęcia nie mogła jeść. W głębi domu guwernantki i niańki pilnowały, żeby dzieci Rhysa i Phillipy były najedzone i zabawiane. Mieszkańcy wioski częstowali się jedzeniem i winem pod gołym niebem. Członkowie rodziny rozmawiali ze sobą jak podczas zwykłego rodzinnego obiadu. Tak przynajmniej Daphne wyobrażała sobie zwykłe rodzinne spotkania.

Odnalazła pod stołem dłoń Hugh i ją uścisnęła.

- O czym myślisz, Daphne? - spytał.

Uniosła wzrok.

- Myślę, że gdzieś tam, w niebie, pewna stara zakonnica uśmiecha się do mnie i szepce: a nie mówiłam?

Hugh nie zrozumiał, ale zniżył ku niej głowę i pocałował ją. Daphne roześmiała się radośnie.

[1] Płynąć na falach rzeki Tick znaczyło w języku epoki regencji tyle, co być zadłużonym (*przyp. tłum.*).

[2] *The Annual Register* - wydawany od roku 1758 do dzisiaj coroczny rejestr brytyjskich, europejskich i światowych wydarzeń, a także noty biograficzne, nekrologi wybitnych osobistości, raporty z procesów sądowych i posiedzeń parlamentarnych, recenzje książek. W wersji on-line można obejrzeć wszystkie opublikowane dotychczas tomy wraz ze spisem treści i indeksami (*przyp. tłum.*).

[3] Uruchomiona w północno-wschodniej Anglii w 1825 roku pierwsza kolej parowa służyła do przewozu węgla; pasażerów zaczęto wozić w 1833 roku (*przyp. tłum.*).

[4] Burlington Arcade funkcjonujący od 1819 roku kryty pasaż handlowy na tyłach Bond Street, którego właścicielem był lord George Cavendish, młodszy brat księcia Devonshire. Porządkowi w charakterystycznych cylindrach i surdutach patrolujący galerię rekrutowali się początkowo spośród weteranów 10. Pułku Huzarów którego lord Cavendish był dowódcą (*przyp. tłum.*).

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Epilog
Przypisy
Strona redakcyjna